

Słodko-gorzka opowieść o spełnionych marzeniach

Magdalena Witkiewicz



SZCZĘŚCIE
PACHNĄCE WANILIĄ



Witkiewicz Magdalena

Szczęście pachnące wanilią

Tomkowi.

Mam nadzieję, że już się pogodziłeś z żoną pisarką.

I że nie będziesz mi kazał się zająć „normalną” robotą.

Gdyby nie Ty, pewnie bym musiała.

Więc doceniam i bardzo za to dziękuję.

TRZECIA CZTERDZIEŚCI TRZY I ZAPALONE ŚWIATŁO

Na czwartym piętrze paliło się światło, a okno było szeroko otwarte. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że była trzecia czterdzieści trzy i to nie ta trzecia, kiedy już prawie kończysz pracę, ale ta trzecia, kiedy normalny człowiek mocniej przykrywa się kołdrą, przytula do męża albo odwraca się na drugi bok, z lekka ziewając.

Kolejna trzecia czterdzieści trzy, kiedy Natalia z zamkniętymi oczami przygotowywała mleko w butelce, by nakarmić drącą się wniebogłosy córkę. Córkę kochała nad życie, ale o tej trzeciej czterdzieści trzy jakby nieco mniej. Nieznacznie mniej, oczywiście. O tej godzinie jednak najbardziej kochała spać.

Córka wołała jeść. Czego też się głośno domagała.

Zatem Natalii nie pozostało nic innego, jak zapewnić swemu dziecku jedną z podstawowych potrzeb w hierarchii Masłowa – nakarmić ją, poczekać, aż się jej odbije, i udać się z powrotem do łóżka na całe szczęśliwe trzy godziny, kiedy to znowu będzie musiała zagwarantować dziecku realizację jego podstawowych potrzeb bytowych.

I tak do matury.

Przynajmniej mama Natalii tak twierdziła. A potem jest jeszcze gorzej.

No, ale wracając do okna.

Mijała czwarta noc z kolei, a okno na czwartym piętrze znowu

było otwarte. I jeszcze to zapalone światło. Gdyby to była upalna lipcowa noc, to by zrozumiała, ale w lutym? Minus piętnaście, a tam otwarte okno.

Podejrzane.

Chwilę jeszcze się nad tym zastanawiała, ale gdy tylko zauważyła, że córka się najadła, odłożyła ją szybko do łóżka i jeszcze szybciej, zapomniawszy o oknie, zasnęła, zabierając całą kołdrę nieprzytomnemu mężowi. No, jakżeby miał być przytomny. Wszak był środek nocy i normalni ludzie (do jakich Krzysztof Kalinowski z pewnością się zaliczał) śpią snem sprawiedliwego.

* * *

Adam Kondracki o trzeciej czterdzieści trzy siedział w garażu. Trudno było mu się rozstać ze swoim kruczoczarnym volvo. Gładził skórzaną tapicerkę, nie mogąc się zdecydować na powrót do domu. To było gorsze niż rozstanie z potencjalną narzeczoną, której nie miał. Miał natomiast żonę, ale ta, wielce na niego obrażona, udała się do teściowej, zabierając ze sobą dwoje ich wspólnych dzieci.

Jeszcze raz uruchomił GPS i sprawdził, że on, właściciel tego czarnego cacuszka, na pewno znajduje się w swoim garażu. GPS to potwierdził. Adam pogłaskał kierownicę i westchnął. Czas iść do domu.

Otworzył drzwi. Już miał wystawić nogę na zewnątrz, gdy nagle olśniła go pewna nader zaskakująca myśl.

Kto powiedział, że nie można spać w garażu?

W swoim dopiero co kupionym, pachnącym jeszcze nowością czarnym szaleństwie?

Tak też zrobił.

Po chwili z garażu znajdującego się przy domku jednorodzinny na gdańskim Nowcu rozległo się miarowe chrapanie.

* * *

Adrianna Olechowska nie spała. Siedziała po turecku na dywanie, popijając czerwone wino, w które to regularnie zaopatrywała się w pobliskiej Biedronce, i liczyła pieniądze.

Za każdym razem wydawało jej się, że jest ich jeszcze mniej. Na podłodze rosły kupki faktur. Ta z zapłaconymi była najmniejsza. Odłożyła ją do segregatora. Zabrała się do drugiej, dużo większej. Zielona karteczka post-it krzyczała czerwonym napisem „DO ZAPŁATY”.

Westchnęła.

Te, które trzeba natychmiast zapłacić, przełożyła na prawą stronę. Te, które jeszcze mogą poczekać, na lewą. Po lewej były te, których termin płatności jeszcze nie upłynął albo wystawione przez wyrozumiałego dostawcę. Coraz mniej było tych cierpliwych.

Siedziała chwilę, wpatrując się w papierowe kupki.

Ta kawiarnia to jej dziecko. Drugie dziecko. Pierwsze, to najważniejsze, jedenastomiesięczny syn, spało w drugim pokoju. Drugie – kawiarnia – miało pracować na pierwsze. Różnie z tym bywało. Po opłaceniu niani, mieszkania i rachunków nie zostawało prawie nic.

W całym domu pachniało wanilią. To biszkopt piekł się właśnie w piekarniku. Zamówienie urodzinowe dla sąsiadki z góry. Zaraz wyłączy piekarnik i pójdzie spać. Krem zrobi jutro. Dekoracje z masy

plastycznej już prawie przygotowane. Znowu będzie małe mistrzostwo świata. Uśmiechnęła się. Praca przynosiła jej tyle radości. Szkoda, że nie szły za tym pieniądze. Musi rozkręcić bardziej ten interes, ale jak przeczekać ten okres rozkręcania? Sponsor by się przydał. Albo mąż. Niestety, niektórzy mężczyźni na mężów się nie nadają. Nadają się tylko do robienia dzieci. Gdyby chociaż płacił alimenty.

– Ada, uważam, że zrobiłem już wszystko, co powinienem zrobić. Prosiłem, byś się ze mną nie kontaktowała. Mogę mieć przez to kłopoty. Nie mogę sobie pozwolić na więcej w obecnej sytuacji.

Słyszała to kilka razy. Potem już nie prosiła. Dziwne, że jej nikt nie pytał, na co ona może sobie pozwolić w obecnej sytuacji. Owszem. Mogła iść do pracy. Na przykład na kasę do pobliskiego supermarketu. Pracowałyby od rana do wieczora, zarobiła trochę pieniędzy, może na nianię by wystarczyło? Ale co z ciastami, tortami, waniliowymi babeczkami z truskawką w środku, które rozpływały się w ustach?

Kiedyś ktoś jej powiedział, że te jej ciasta są jak czekoladki z filmu *Czekolada*. Też czarodziejskie. A ona jest wróżką.

Chciałaby, aby to była prawda. Niestety, jakiś czas temu przestała wierzyć w czary.

Przejrzała jeszcze raz stertę papierów. Z kupki tych, co nie mogą dłużej czekać, wybrała trzy.

Jak wyłączą jej prąd, nie będzie mogła pracować.

Kółko zamknięte.

Wypiła ostatni łyk wina. Spojrzała w okno. Na czwartym piętrze ktoś miał je otwarte. I palił światło. Wietrzenie? W środku nocy? W bloku po prawej też się paliło. Co ci ludzie robią?

No tak. Może jak ona przeglądają rachunki. I martwią się o lepsze jutro.

* * *

O trzeciej czterdzieści trzy Karolina Nogalska również nie spała. Właśnie skończyła czytać pracę magisterską pod tytułem „Poglądy kobiet ze wsi i miasta na temat używania alkoholu” i gdyby nie to, że obiecała sobie, iż zrobi trening z ponętą Mel B z telewizora (a zawsze robiła to, co zaplanowała), sama by zaraz zaczęła spożywać ten alkohol. Na trzeźwo przebrnąć przez te sto pięćdziesiąt stron tekstu napisanego przez jakiegoś mało ambitnego studenta psychologii było prawie niemożliwością.

Ostatnio coraz częściej zdarzały się prace, których po prostu nie mogła czytać. Coraz częściej cisnęło się jej na usta „ta dzisiejsza młodzież”. Była jak najdalsza od moralizowania, ale miała wrażenie, że za jej czasów ta cała psychologia przyciągała ciekawszych ludzi. A teraz przyciąga głównie tych, którzy sami mają problemy. No, ale któż ich nie ma w obecnych czasach? Może to nie kwestia młodzieży, tylko czasów?

Koniec myślenia. Ćwiczenia na płaski brzuch z Mel B były wyjątkowo upiorne. Sama Mel również była upiorna, bo jak można z takim uśmiechem wylewać poty. Karolina nie miała kiedy chodzić do klubu fitness, bo, jak widać, pracowała w godzinach nader dziwnych i czasem zdarzało się, że wolne miała dopiero o trzeciej w nocy, toteż skrupulatnie czas ten wykorzystywała na to, co akurat miała zapisane w granatowym kalendarzu z Małym Księciem. Tym razem czerwonym długopisem napisała tam Mel B.

* * *

Zuzanna Wolicka, lat prawie dziewięć, usłyszała dzwonek

alarmowy budzika dobiegający z drugiego pokoju. Westchnęła. Trzecia czterdzieści trzy. Jak co noc. Za chwilę Milena, objając się o wszystko wokół, założy swój szlafrok i bezszelestnie (a przynajmniej tak się biednemu Milaczkowi wydawało) wyjdzie z łóżka jej taty, Jacka Wolickiego, i uda się do siebie na piąte piętro, by dalej udawać przed wszystkimi, że nie cudzołoży.

A cudzołożyła.

Zuzanna Wolicka strasznie to przeżywała.

Kochała Milenkę, jak tylko mogła, i nie chciała, by ta dłużej grzeszyła, ale sama nie wiedziała, jak temu wszystkiemu zaradzić.

Milenska wcisnęła guzik windy, ziewając. Cały wieżowiec na gdańskiej Zaspie spał. No, może z wyjątkiem Parysa Antonia, setera irlandzkiego, psa arystokraty, który właśnie udał się do kuchni, zimnym nosem otworzył szafkę pod zlewem i z kubła na śmieci wyjął papier po twarożku śmietankowym podwójnie mielonym. Wysunął swój różowy długi język, najpierw kilka razy oblizał papier, po czym wciągnął go do swojego olbrzymiego pyska. Zajrzał jeszcze raz do wiadra, ale nie znalazł nic, co nawet on uznałby za zjadliwe, zamknął z powrotem drzwiczki (zawsze o tym pamiętał), szczeknął dwa razy, bo ktoś się szwendał po klatce schodowej, ale gdy wyczuł, że to istota kobieca, pachnąca truskawkami, zresztą mu bardzo znajoma, udał się z powrotem na swoje posłanie i zasnął. Śniło mu się, że tam na tym papierze było więcej twarogu. A nie tylko te resztki, które wystarczyły mu na jedno kłapanięcie pyskiem. To był cudny sen. Tak cudny, że pies aż się oblizał.

* * *

O trzeciej czterdzieści trzy tej nocy Zofia Kruk spała. Trzymała kurczowo dłoń swojego ukochanego męża Staszka, do którego coraz bardziej czuła się przywiązana. Miała wrażenie, że powoli staje się

dorośla. Wrażenie to było nader dziwne, gdyż Zofia Kruk zbliżała się już do siedemdziesiątki, ale jak to się mówi – lepiej późno niż wcale. To stwierdzenie sprawdzało się zawsze, no może z wyjątkiem spóźniania się na pociąg, ale Zosieńka pociągami jeździła ostatnio coraz rzadziej. W ogóle najchętniej nie ruszałaby się ze swego pięknego domu w Matemblewie, ale przecież musiała doglądać Milenki, co by za dużo głupstw nie wyrabiała. Albo raczej, by zaczęła wreszcie je wyrabiać, bo zostanie starą panną. Bardzo się starała nie ingerować więcej w życie uczuciowe siostrzenicy, po tym jak nieudolnie próbowała ją swatać ze swoim dentystą, no, ale Milenka mogłaby się pospieszyć w zakochiwaniu się w Jacku. Wtedy wszystko byłoby na swoim miejscu. I Milenka, i Jacek, i Zuzanka. Od razu gotowa rodzina. Potem się jeszcze postarają o rodzeństwo dla Zuzanki, najlepiej w liczbie sztuk dwie, a Zofia Kruk sygnie trochę jakimś groszem, by niczego kochanej Milence i jej bliskim nie brakowało.

Już sobie wszystko zaplanowała. Z najdrobniejszymi szczegółami. Wystarczyło tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać. Kusiło ją bardzo, by znowu pomóc szczęściu, ale z tego pomagania nigdy nic dobrego nie wychodziło. Może Zuzankę zaprzęgnie do roboty, jest bliżej i powinna więcej zdziałać na niwie pełnej rodziny Wolickich.



IDZIE NOWE. MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE LEPSZE

Adrianna Olechowska nie mogła spać tej nocy. Niespokojnie kręciła się z boku na bok.

Spojrzała na wyświetlacz telefonu. Dochodziła ósma. Dobrze, że dzisiaj pracowała Ania, jej pracownica. Westchnęła. Dziewczynę też trzeba będzie zwolnić? Przecież sama nie da rady piec, sprzedawać, zamawiać towar i obsługiwać gości. Mama miała rację, nie trzeba było zostawiać ciepłej posadki w księgowości, tylko siedzieć za biurkiem i tęskno patrzeć w szybę z napisem „lokal na sprzedaż” podczas spacerów z wózkiem.

W Gdańsku była sama. Po skandalu, jaki wywołała, wchodząc w ten niezbyt fortunny związek, jej rodzice wybrali życie na wsi, trzysta kilometrów od Trójmiasta.

Szalała za nim. Bardzo. On za nią też. Potem czar prysł. Miała dwadzieścia lat i była wtedy bardzo młoda. Duchem młoda. Wierzyła mężczyznom.

Wydawało jej się, że ona i Konrad będą żyli długo i szczęśliwie. Niestety, on miał inne plany.

Po wspólnych planach został Michaś. Spojrzała na syna i uśmiechnęła się. Z pewnością Michaś zrekompensował jej wszystkie porażki. Z jego ojcem była dwa lata. Gdy zaszła w ciążę, zaczęły się kłopoty. Namawiał, by usunęła, przynosił kasę, umawiał wizyty w prywatnych gabinetach.

Odmawiała.

Cały czas miała nadzieję, że będą razem.

Niestety. Wkrótce powiedział, że nie może tak żyć.

Jak, do cholery?

Przecież było idealnie.

Kupił mieszkanie przy lesie na cudnym osiedlu pełnym młodych ludzi, miał doskonałą pracę. Wprawdzie często wyjeżdżał w delegacje... Dopiero potem zrozumiała, co kryje się za tymi częstymi wyjazdami. Podwójne życie. Było już za późno.

– Nie mogę jej tego zrobić... – powiedział. – Przepraszam, że cię oszukiwałem. Przepraszam.

Potem sobie przypominała te wszystkie dziwne sytuacje i wydawało jej się, że już dawno powinna dostrzec, że nie wychodzi jej ta zabawa w dom. Na szczęście Konrad zostawił im śliczne dwupokojowe mieszkanie z wyjściem do małego ogródka i wyjechał. Nie widziała go od tamtej pory. Kontaktowali się telefonicznie, gdy przypominała o alimentach. Wtedy powiedział, że załatwi sprawę jednorazowo. I prosi, by więcej się do niego nie odzywała.

Bolało.

– Mama – zawołał ktoś z drugiego pokoju.

Uśmiechnęła się. Mając syna, ma wszystko. Da sobie radę.

Jej dewiza życiowa brzmiała: „Jakoś to będzie. Bo jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było”. Nawet napisała sobie to na kartce i przywiesiła na lodówce. Przeciągnęła się. Starła się nie patrzeć na sterty papierów z naklejonymi kolorowymi karteczkami. Jak tylko

przyjdzie niania, pani Irenka, Ada popłaci rachunki. Potem wystawi stare ubranka na Allegro. Zawsze ktoś kupi, a ona będzie miała kasę na następne. Chociaż z ciuchami dla małego nigdy nie miała kłopotu. Gdy wyrastał, zawsze jakimś cudem zjawiały się nowe. To od znajomych, to od krewnych. Zwykle Michał był lepiej ubrany niż ona. Firmowe ciuchy. Jeszcze z metką. Nikt nie musiał wiedzieć, że to był „worek ślicznych ciuszków używanych MARKOWE 30 sztuk” za trzydzieści pięć złotych plus przesyłka.

Dzwonek do drzwi. Pani Irenka.

Pani Irenka była pięćdziesięcioletnią kobietą, która opiekowała się Michałem. Może gdyby Adrianna miała więcej pieniędzy, w roli opiekunki syna widziałaby jedynie francuską guwernantkę, władającą kilkoma językami, ale na razie musiała wystarczyć pani Irenka. Prosta kobieta, ale bardzo kochająca dzieci.

– Spóźniłam się, pani Ado, ale w Lidlu była akurat łopatka za dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Pomyślałam, że Michałkowi krupniczku ugotuję. Duży chłopak już jest, musi zacząć jeść wszystko – mówiła, zdejmując płaszcz. – Poza tym akcja błysk. Oczy jej się rozświeciły. Pani Irenka rozejrzała się po pokoju. – Mogłaby pani, pani Ado, zahaczyć o Lidla. Ja tu pani ogarnę, ale pani nawet nie ma płynu do szyb!

– Nie trzeba, pani Irenko.

Adrianna wolałaby, by pani Irenka poczytała Michałowi jakąś książkę, a nie zajmowała się porządkami domowymi, ale nie można mieć wszystkiego.

– Ma pani czerwone oczy. Złe sny? Za późno te młode spać chodzą. Telewizja do nocy. Moja recepta na dobry wygląd to dziesięć godzin snu – oświadczyła pani Irenka. – I wtedy można wszystko.

Adrianna próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spała więcej niż sześć godzin. Chyba na początku ciąży. Będzie prawie dwa lata.

– Też bym tak chciała, pani Irenko – westchnęła.

– Jak się chce, to się może, pani Ado. Jestem dwa razy od pani starsza, dwoje dzieci odchowalam, to wiem. Położyła beret na półeczkę. – A w cukierni pustki. Ludzi znaczy nie ma. Ta pani pannica siedzi i gazetę czyta. Kupiłam dwie drożdżówki, by nie było nudno dziewczynie. Przecież muszę coś jeść w ciągu dnia. Sam krupniczek nam z Michasiem nie wystarczy.

Pani Irenka nie wyglądała na specjalnie wygłodzoną, wręcz przeciwnie. Jej obfite biodra ledwo mieściły się w wytarte jeansy z modną dziurą na kolanie, a obciążony co chwilę przez nią sweterek obnażał bezlitośnie fałdki na brzuchu i uwydatniał biust, którego naprawdę nie było potrzeby uwydatniać.

Gdy Ada zatrudniła panią Irenkę, stwierdziła, że do miękkiej niani na pewno lepiej się będzie przytulać niż do zupełnie chudej. Chociaż każda myśl o zostawieniu synka z obcą kobietą, a tym bardziej o tym, że Michaś miałby się do niej przytulać, napawała ją strachem. Dlatego część wypieków przeniosła do domu, narażając się na karę sanepidu w przypadku kontroli. Woląla karę instytucji państwowej niż rozłąkę z synem. Pani Irenka wprawdzie nie lubiła, gdy Ada patrzyła jej na ręce, ale Ada nie zaprzętała sobie tym głowy. Piekła swoje ciasta, babeczki i torty w domowej kuchni i miała synka blisko.

Poszła do pokoju syna.

– Mama! – przywitał ją radośnie Michaś. Był bardzo pogodnym dzieckiem, mogłaby go zabierać ze sobą wszędzie, nie sprawiałby kłopotu. Nawet kiedyś, gdy pani Irenka zachorowała, spędzał z nią czas w cukierni. Wstawiła tam tylko kojec, w którym się bawił, i mogła

całkiem spokojnie pracować. Dziecko było niemalże bezobsługowe.

– Baba! – ucieszył się syn, gdy zobaczył panią Irenkę.

Ada zostawiła chłopca z nianią, poszła pod prysznic i po chwili zbiegła na dół do cukierni.

Cukiernia, a właściwie kawiarnia, mieściła się w lokalu usługowym w tym samym budynku na parterze. Ada się śmiała, że mogłaby przebić się z domu do kawiarni i schodzić tam w kapciach. Nie wykluczała zresztą, że kiedyś tak zrobi, ale na razie musiała wyjść z klatki schodowej, przejść kilka metrów i już była u siebie. Lokal, który kupił jej ojciec, był ogromny jak na taką małą cukierenkę i stanowił główny element kosztów utrzymania firmy. W zasadzie były to dwa lokale, trzeba było tylko postawić ściankę działową. Miały nawet osobne wejścia. Może gdyby podzieliła się z kimś tym miejscem, drugą część oddała na inne usługi, to byłoby lepiej, ale na razie nie było chętnego. Lokal po prawej stronie cukierenki zajmowała pani Klaudia, fryzjerka, która szumnie nazwała swoje miejsce pracy „Studium Kreatywnego Fryzjerstwa”. W swojej fryzurze Ada nie widziała do tej pory nic kreatywnego, ale być może dlatego, że nie pozwalała nigdy pani Klaudii puszczać wodzy fantazji.

– To samo, Adusiu?

– To samo – odpowiadała Ada za każdym razem. – Byleby jak najszybciej.

Do fryzjera chodziła regularnie, bo rozliczały się jak za starych dobrych czasów – barterem. Pani Klaudia cięła i fryzowała, a Ada piekla i dekorowała ciasta i ciasteczka na przeróżne okazje w domu pani Klaudii. I wszyscy byli zadowoleni.

Po lewej stronie od cukierenki tworzył się gabinet dentystyczny. Adrianna myślała, że już dawno ruszy, ale wciąż był zamknięty. Czasem

wpadała tam brunetka ciągnąca bądź pchająca dwoje dość rozkrzyczanych dzieci, odsłaniała żaluzje, szamotała się w środku i krzycząc na nie, jeszcze szybciej wychodziła. Kiedyś nawet trafiła do cukierni przy okazji.

– Normalnie zwariuję z wami. Ja wiem, że to niepedagogiczne tak mówić, a tym bardziej wariować przy dzieciach, ale brak mi sił. O, zobaczcie cukiernia. Chcecie coś?

– Taaaaaak! – wrzasnęły dzieciaki. Na oko trzyletni chłopczyk i pięcioletnia dziewczynka.

– Ale ani słowa, bo nic nie kupimy! Zrozumiano?

Dzieciaki przytaknęły.

– Dzień dobry – powiedziała, gdy weszli do cukierenki.

– Dzień dobry – odpowiedziała uprzejmie Ada i uśmiechnęła się.

Kobieta wymownie spojrzała na dzieciaki. Stały z zaciśniętymi ustami.

– A wy co? Nie powiecie „dzień dobry”?

Oboje pokiwali głowami.

– Nie powiecie?

Ponownie pokiwali głowami.

– Boże, przepraszam za moje dzieci. Chleb poproszę. Ten słonecznikowy.

– Coś jeszcze? Mam wspaniałe waniliowe babeczki. Specjalnie dla

dzieci.

– O nie. – Kobieta próbowała być twarda. – Jak nie wiedzą, jak się zachować, nic nie dostaną. Staram się ich wychowywać – powiedziała stanowczo. – Nie powiedziały „dzień dobry”, nie dostaną babeczek.

W tym momencie dziewczynka się rozpląkała. Jej brat, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, zawtórował jej.

– O nie! – powiedziała kobieta. – Zdaję sobie sprawę, że to szantaż. Płaczem nic na mnie nie wymusicie!

– Ale, mama! – chlipała dziewczynka. – My byliśmy grzeczni! Powiedziałaś, że dostaniemy coś dobrego, jeśli nie będziemy mówili ani słowa, a potem nie powiedzieliśmy ani słowa, nawet „dzień dobry”, i znowu mamy karę! – płakała. – Nie opłaca się być grzecznyyyyyyyym!

Kobieta zaniemówiła skonsternowana.

– Ma pani kawę?

– Oczywiście. Duża latte?

Kobieta skinęła głową.

– I babeczki. Dwie. Te z truskawką. A dla mnie ten torcik kawowy. Nie daję rady. Niby już do przedszkola chodzą, ale ciągle chore. Normalnie to bym je puściła, bo katar to, wie pani, nie choroba. Ale potem gadają, że dzieci lekarzy zawsze z gilami do pasa przychodzą do przedszkola. No to ja już jak mają gile, nawet nie do pasa, zostawiam je w domu – mówiła. – Ale obiecuję, jeżeli to jeszcze trochę potrwa, to ja naprawdę będę je tam prowadzić z gilami wiszącymi do kolan.

Ada się roześmiała.

– Nie przedstawiłam się. – Kobieta wstała. – Magda Kondracka jestem. Będę pani sąsiadką, bo od pół roku próbuję tu gabinet dentystyczny otworzyć, ale zawsze coś stoi mi na drodze. Bo wie pani, mąż robi karierę. A ja nie mogę jakoś zacząć jej robić, chociaż papierzyska już prawie wszystkie załatwione.

– Adrianna Olechowska. Właścicielka kawiarni.

– Sama pani piecze te cuda?

– Sama. Po nocach. I dekoruję też. Oraz jem. Złapała się wymownie za pośladki.

– O matko. To jest dopiero talent! Coś mam wrażenie, że jak wreszcie otworzę ten gabinet, to będę szersza niż dłuższa. Magda Kondracka wskazała na pirata na torcie.

– To jest jadalne?

– Wszystko – odpowiedziała Ada z uśmiechem. – To dzisiejsze zamówienie urodzinowe. Polecam się.

– Na pewno skorzystamy.

– Mama, ja nie będę tego jadł, bo Amelka na to patsyła!!!

– Nie rozumiem, Michaś, co z tego, że patrzyła?

– Mama! – ryknął syn Magdy Kondrackiej. – Ja nie chcę takiej babeczki patsonej! Amelka patsyła, patsyła i mi całą ją wypatsyła!

– O losie... – jęknęła Magda.

– Michaś – powiedziała Ada. – Nazywasz się dokładnie tak jak mój syn. Chcesz babeczkę niewypatrzoną?

Michaś pokiwał głową. W oczach jeszcze mu nie zaschły łzy, a minę miał w podkówkę.

– Wybierz sobie.

Chłopiec pokazał palcem na babeczkę z niebieskim lukrem.

– Proszę.

– A ty na nią nie patsyłaś? – zapytał Adę.

– W żadnym wypadku – potwierdziła właścicielka kawiarni.

Michaś łypnął na nią podejrzliwym wzrokiem. Nie bardzo jej wierzył, ale babeczka wyglądała bardzo smakowicie. Zakrył ją serwetką, ukrywając przed wzrokiem siostry. Wszak istniało ryzyko, że znowu mu babeczkę całą „wypatrzy”, a jak wiadomo, takiej „wypatrzonej” nie miał zamiaru jeść.

Kiedy dzieciaki zjadły babeczki, znowu zaczęły się przekrzykiwać jedno przez drugie.

Od tamtej pory pani Magda wpadała czasem po chleb czy ciastka. Raz nawet zamówiła tort dla córki na piąte urodziny. Ada miała kilku stałych klientów. Ale wciąż jeszcze zbyt mało, by bez stresu funkcjonować na tym świecie.

W pozornym spokoju natomiast funkcjonowała Magda Kondracka, która naprawdę starała się znieść męskie klimakterium. Jak wiadomo, kobieta może znieść wiele. I tej myśli się trzymała żona Adama Kondrackiego.



MĘSKIE KLIMAKTERIUM JEST TYSIĄC RAZY GORSZE NIŻ MĄŻ UMIERAJĄCY NA GRYPE

Magdalena Kondracka obudziła się, bo z jednej strony zimne stopy gniotły ją w łopatki, a z drugiej strony w brzuch. Bez trudu poznawała, które jej dziecko akurat zmieniło miejsce do spania, bo Amelka zawsze wciskała nogi pod nią, a Michał kładł nogi u góry. Na przykład na jej twarzy.

Tym razem zdawało jej się, że obce nogi ją zaatakowały i z góry, i z dołu. Czyli podwójny nalot nocny.

Wszystko ją bolało. Bardzo nie lubiła spać w innym łóżku niż jej własne. No i męża, należałoby dodać, chociaż aktualnie była na niego obrażona. Mąż, Adam Kondracki, mężczyzna starszy od niej o kilka dobrych lat, właśnie dobijał czterdziestki, w związku z czym można było u niego zauważyć nasilający się z każdym dniem, a nawet godziną, kryzys wieku średniego.

Albo andropauzę. Czyli męskie klimakterium.

Jedno z dwóch.

Adam Kondracki, jak na prawdziwego mężczyznę przystało, starał się czerpać z życia pełnymi garściami. Wszystko przeżywał maksymalnie. Jak cierpiać, to najbardziej na świecie, jak kochać, to na zabój, jak pić, to tak, by nazajutrz nie pamiętać nic zupełnie z tego niecnego procederu.

Jego żona, Magdalena, nie obraziła się na niego bynajmniej, że pił albo był chory. Nie zostawiłaby męża w potrzebie. Zawsze, gdy

temperatura jego ciała dobijała do trzydziestu siedmiu kresiek, a on kładł się pod kołdrę z miną pełną żalości, trwała przy nim i dogadzała mu, jak umiała.

Tym razem mąż Magdaleny był zupełnie zdrowy na ciele, ale najwyraźniej umysł mu szwankował. Otóż kupił sobie nowy samochód. Taki zupełnie nowy, najnowszy na świecie, prosto z salonu. I jak tylko zajechał nim przed dom, zaczął się na rodzinę wydzierać, że mu tapicerkę brudzi. Gdy już się uspokoił, pozwolił Magdzie wsiąść do środka. Cały zafascynowany objaśniał zdruzzonej kobiecie tajniki nowoczesnych samochodów, gdy nagle kazał jej wychodzić. I to szybko.

Żona była pewna, że żartuje. Ale, niestety, tak nie było.

Zauważył, że ma jeansy, pobrudzi mu jego nową skórzaną tapicerkę, i stwierdził, że powinna usiąść na ręczniczku. Magdaleny Kondracką trafił szlag.

A przynajmniej tak się jej wydawało.

Rozumiała to, że pięć lat temu, gdy kupili nowy samochód kilka dni przed urodzeniem Amelki, Adam, lekarz ginekolog, kazał jej jeździć na ceracie (w razie gdyby wody płodowe odeszły), ale teraz? I to właśnie w momencie, gdy sobie grzecznie siedziała w swoich starych wysłużonych jeansach, w które się wcisnęła pierwszy raz po ciąży. I na dodatek to były te same jeansy, w których byli razem na pierwszym wspólnym wakacyjnym wyjeździe.

Magda sama nie wiedziała, co ją bardziej wkurzyło. Czy to, że mąż nie zauważył jej smukłej sylwetki i naciągniętych spodni na całkiem niezłą pupę, czy to, że wywalił ją ze swojego samochodu. Bo na pewno nie był to ICH samochód. W ICH samochodzie pierwsze co by zrobili, to zerwali z siebie ciuchy (choćby i jeansy) i z dziką żądzą się na siebie rzucili.

Ale skąd.

W samochodzie Adama z białą skórzaną tapicerką wewnątrz trzeba się zachowywać dystyngowanie. Jak u teściowej na imieninach.

O właśnie. Mamusia.

Poprzedniego wieczora Magda Kondracka stwierdziła, że zostawia męża sam na sam ze swoją nową miłością, zabiera dzieci i jedzie do mamy. Oprócz wspomnianego ręczniczka na skórzanym siedzeniu, duży udział w tej decyzji miał lakier do paznokci na jej stopach, a raczej jego brak, ale o tym za chwilę.

Mama Magdy, pani Krystyna Szyc, mieszkała w małej wsi pomiędzy Gdańskiem a Kościerzyną. We wsi nie było prawie nic, prócz kilku domów, nowo wybudowanego sklepu ze wszystkim i małego kościółka.

Żyła sobie w małym domku, który został podzielony na dwa mieszkania. Jedno po śmierci męża zajęła właśnie pani Krystyna, a drugie – przyjaciółka Krystyny jeszcze z lat dzieciennych, Jadwiga. Znały się od zawsze, a ich przyjaźń przebiegała podobnie jak sinusoida. Raz kochały się jak siostry, by zaraz potem się do siebie nie odzywać. Aktualnie były w fazie ostrej kłótni, która wydawała się nie zmierzać ku końcowi, bo Jadwiga pomalowała swoją część domu na kolor wściekłe różowy, który podobał się chyba tylko Amelce, ale cała wieś przychodziła go oglądać.

Krystynie by to nie przeszkadzało, ale że była gospodynią idealną, dbała, by ci przechodnie nie gadali we wsi na temat jej części, więc natychmiast pobiałkowała ściany, uprzątnęła obejście, pomyła okna i naprawdę była już tym wszystkim zmęczona.

Poza utrzymywaniem domu w porządku i sadzeniem kwiatków w ogródku pani Krystyna nie miała już żadnych atrakcji. Córka

przyjeżdżała z wnukami rzadko, więc na szczęście nie przyjeżdżał wcale, więc cały dzień spędzała na czytaniu kolorowych gazet (uważała się za osobę bardzo czytaną) i modleniu się, by jej jedyna córka wreszcie zmądrzała i rozwiodła się z tym Adamem. „Ten Adam” był chyba najgorszą RZECZĄ, jaka jej jedyne dziecko w życiu spotkała.

– Jadziu – zwierzała się przyjaciółce, gdy jeszcze się do siebie odzywały – wiedziałam, że tak będzie. Przecież ktoś, kto ma na imię Adam, nie może być porządny. Już przecież biblijny Adam Ewę wywiódł na manowce.

Jadwiga spojrzała na Krystynę znad robótki.

– Krysiu, chyba coś ci się pomieszało.

– Jadwiniu, jak to? Przecież Ewa zjadła jabłko.

– No właśnie. Ewa. Wąż ją skusił.

– Wąż? – Krystyna się skrzywiła. – I ty, Jadwiniu, wierzysz w takie bzdety? Czy ciebie by jakiś wąż skusił do czegokolwiek?

– No może... – Jadwinia zarechotała rubasznie.

– Jadwiniu! – krzyknęła z oburzeniem Krystyna. – Wiadomo przecież, że kobiety są takie durne, że jak widzą faceta, to zrobią dla niego wszystko. Ja ci mówię. W tę kradzież jabłka na pewno Adam był zamieszany. Skąd wiesz, że nie podsadził Ewy, by sięgnęła po nie? Jak podsadził, to jego wina. Wiedziałam, że nie można ufać Adamom.

* * *

Na początku Adam podobał się Krystynie. Wręcz się przyszłym zięciem chwaliła. Miał dokładnie te wszystkie zalety, których teraz nie

posiadał.

Ale nie chciała o tym pamiętać.

Ważne było to, że jej Magdusia zawsze wracała do domu w momencie kłótni z Adamem, i należało tę chwilę wykorzystać do tego, by być może już nigdy do niego nie powróciła.

Ksiądz Jacek na początku ją rozumiał. Ostatnio jednak jakby jej unikał. Może zapracowany. Ale też był za tym, że trzeba dziecku pomóc.

Dokładnie pamiętała jego słowa, gdy po raz pierwszy wpadła na plebanię.

– Proszę księdza. Krystyna Szyc jestem. Ja muszę z księdzem porozmawiać.

Ksiądz Jacek był wtedy proboszczem w wiejskiej parafii od kilku dni, była to jego pierwsza w życiu tak zaszczytna funkcja i doprawdy nie radził sobie z tym wszystkim. Najchętniej rzuciłby te papiery i poszedł na łąkę, położył się w trawie i podziękował Bogu za ten wspaniały świat, na którym miał szczęście żyć. Oczywiście tak zrobił i czuł się wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, ale chwila ta nie mogła trwać wiecznie. Trzeba było wracać do parafian, którzy to nawiedzali go tłumnie.

– Proszę księdza. Nie wiem, co robić – martwiła się pani Krystyna.
– Zięc mój... Zięc...

– Pani Krystyno, spokojnie. – Ksiądz złapał ją za rękę. – Proszę od początku.

– Bo ja się modłę każdego dnia o rozwód – szepnęła pani Krystyna. – Bo mój zięc... zagląda kobietom pod spódnice – powiedziała

jeszcze ciszej. – I to na goło!

Ksiądz Jacek, szczerze mówiąc, nie miał wcale doświadczenia z zaglądaniem pod spódnicę, tym bardziej na goło, ale naprawdę starał się zgłębić temat, mimo że wyobraźnia podsuwała mu pod oczy niecne widoki, a on usiłował je odrzucić daleko od siebie.

– I pani córka się o wszystkim dowiedziała?

Pani Krystyna pokręciła głową.

– Nie. Ona wiedziała od początku.

– I nic z tym nie robiła?

– Nie... – Pani Krysia machnęła ręką. – Nawet go do tego namawiała – dodała po chwili i wzruszyła ramionami.

Proboszcz był coraz bardziej zdezorientowany.

– Czyli ona to akceptuje? – zapytał zszokowany.

Pani Krystyna pokiwała głową.

– I co ja mam robić?

Ksiądz Jacek nie miał pojęcia. Uznał, że modlitwa jest dobra na wszystko.

– Pani Krystyno, modlić się. Na pewno znajdzie pani rozwiązanie.

Gdy Krystyna wyszła z plebanii, stwierdził, że faktycznie sytuacja jest beznadziejna. Dziwna rodzina. Krystyna natomiast wyszła zadowolona, że ktoś ją rozumie. Wprawdzie nie dał jej gotowej recepty na rozwiązanie problemu, ale utwierdził ją w przekonaniu, że

z pewnością ma rację.

Potem jeszcze kilka razy była u księdza. Za każdym razem znajdowała spokój.

– Niby mają wszystko – zwierzała się proboszczowi. – Adam dużo zarabia.

– A czym się zajmuje? – zapytał ksiądz.

– No, toć mówię księdzu od początku – odparła obruszona Krystyna. – Łapy pod kiecki wkłada.

– Ale zawodowo? – Ksiądz był przerażony.

– Zawodowo. – Krystyna złapała się wpół.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Proboszcz był bardzo zatroskany. – A może by to gdzieś zgłosić?

– A niby gdzie? – zapytała retorycznie Krystyna, rozkładając ręce.
– Wystarczy, że ja księdzu się pożalę i o separację pomodłę. Bo jak mi ksiądz nagadał, to o rozwód już nie.

– Pani Krystyno, ja już sam nie wiem.

– Widzi ksiądz, ksiądz nie wie, a uczony jest, a ja prosta kobieta ze wsi mam wiedzieć?

Wszystko zmieniło się przed świętami. Gdy pani Krystyna zaciągnęła Magdę do kościoła. Magda wtedy z brzuchem była i z małą Amelką.

Ksiądz podsłuchał rozmowę Magdy z koleżanką. Zupełnie niechcący, ale ta rozmowa wiele mu wyjaśniła.

– Podziwiam cię, Magda, że tak szybko zdecydowałaś się na drugie.

– Zdecydowałam? Żartujesz! Mąż ginekolog twierdził, że wszystko okej. I co? I los za nas zdecydował.

Ksiądz Jacek aż się zatrzymał z wrażenia. Nic mu się nie składało do kupy.

– Pochwalony, proszę księdza – pozdrowił go zataczający się sąsiad Szycowej, z szacunkiem ściągając czapkę.

– Panie Bronku, a wie pan, gdzie pracuje mąż Magdy, córki pani Krystyny?

– Chłop Szycówny? Doctorem jest. I to nie byle jakim. Jak moja córka rodziła, co za szybko Jaškowi się na świat spieszyło, to poród odebrał w domu.

– Ginekologiem jest?

– No mówię, przeca.

Ksiądz Jacek był załamany coraz bardziej. Już on sobie z tą Szycową porozmawia. Albo lepiej. Nie będzie z nią wcale rozmawiał. Będzie jej unikał jak diabeł święconej wody.

– Panie Boże, daj mi dużo siły, bym to wszystko zniósł i udźwignął kłopoty moich parafian. I daj mi rozum, bym potrafił ocenić, które są prawdziwe. Amen – powiedział, leżąc wśród stokrotek. Nie wiedział, co będzie robił, gdy zima przyjdzie i łąkę mu śnieg zasypie, ale wierzył, że dobry Bóg pomoże mu znaleźć rozwiązanie i na brak łąki do modlenia się, i na poważne problemy parafian.

* * *

Krystyna Szyc pozostała zatem sama ze swoją nienawiścią. Teraz w ogóle była w kłopotliwej sytuacji, bo nawet Jadwinia z nią nie rozmawiała. Adam Kondracki już do niej nie przyjeżdżał z wyjątkiem Wigilii, kiedy to Krystyna Szyc chwilowo zawieszala broń, bo przecież tradycji musiało stać się zadość i trzeba było się połamać opłatkiem. Teraz wiosna pachniała za oknem, do Bożego Narodzenia jeszcze było daleko, więc w spokoju mogła nie lubić zięcia, której to czynności oddawała się z rozkoszą.

Tym razem córka też przyjechała nagle, bez zapowiedzi i to na dodatek po dwudziestej, zatem Adam musiał jej zaleźć za skórę. I to przyjechała samochodem Adama. Może umarł? Przemknęła jej ta myśl przez głowę. I wcale nie była to myśl smutna, wręcz przeciwnie. Nader radosna.

– Stało się coś, córeczko? – zapytała, starając się ukryć nadzieję.

– Tak, mamusiu. – Krystyna popatrzyła zaciekawiona. Córka nie wyglądała na zasmuconą, a chyba z przyzwoitości by była. Więc jednak chodziło o coś innego.

– Dostałam nowy samochód! – A jednak nie o to chodziło.

– Cześć, Babciu! – Z auta wysypały się wnuki, najpierw Amelka, a potem leniwie Michał.

– Mama chciała nas przejechać! – oznajmił z uśmiechem chłopiec.

– Siebie przejechać – poprawiła Amelka.

– Się przejechać – sprostowała Magda.

– No właśnie, mówię przecież – powiedziała Amelka. – No bo się wkurzyła, bo tata kupił sobie czarnego diabła i świata poza nim nie widzi.

– Czarnego diabła? – Pani Krystyna doszła wreszcie do głosu.

– Samochód, mamó. Nowy samochód sobie kupił.

– A stary już niedobry?

– No, mój się sypał – wyjaśniła Magda.

– Ale ja czegoś tu nie rozumiem, twój się sypał, to dlaczego tobie nie kupił, tylko sobie?

– Bo tata mazył o calnym diable – wytłumaczył babci Michał. – I go kocha bardziej niż nas. I mamusię też.

– Michaś! – syknęła Magda.

Faktycznie. Tak było. Adam kupił sobie samochód i od tej pory całe życie przestało się dla niego liczyć. Naprawdę potrafiła to zrozumieć. Naprawdę się starała. Ale miarka się przebrała w momencie, gdy zadzwoniła pani z przedszkola. A dodajmy, że była już siedemnasta pięć i Magda się relaksowała, siedząc sobie spokojnie na fotelu u kosmetyczki. Od pół roku nie robiła sobie pedicure i czuła, że skoro wiosna już za oknem (był wyjątkowo ciepły luty), to najwyższy czas na czerwone paznokcie u stóp, które to zawsze, ale to zawsze poprawiały jej humor.

Monika już skończyła, na paznokciach u stóp schła ostatnia warstwa lakieru w kolorze łąki burdelowej, jakby to powiedziała mama Magdy, a Magda wraz ze swoją kosmetyczką dopijały kawę. Z tymi czerwonymi paznokciami Magda czuła się królową świata i już zastanawiała się, co z tym poczuciem szczęścia zrobić. Chciało jej się

wszystko. Poczawszy od porządków w domu (co zdarzało jej się bardzo rzadko), aż do uczenia się do kolejnej specjalizacji (a obiecywała sobie, że nigdy więcej). No i zadzwonił telefon. I tak jak Magdzie się chciało, natychmiast się jej odechciało. Po drugiej stronie słuchawki dyrektorka przedszkola zatroskanym głosem pytała:

– Pani Magdo, czy coś się stało?

– A stało się coś? – odpowiedziała mało inteligentnie Magda.

– Dzwonię, bo nikt po dzieci nie przyszedł.

– Jak to nikt nie przyszedł? – Magda zerwała się na równe nogi. – A mój mąż?

– No, nie ma. A nikt nas nie uprzedzał, że przyjdziecie państwo później. Chciałabym już iść do domu. Będzie pani?

– Jasne, że będę. – Magda Kondracka się rozłączyła i natychmiast wybrała numer męża. Oczywiście, jak zawsze, nie odbierał. Na domowym kalendarzu wiszącym przy drzwiach już dawno napisała wielkimi literami, że dziś wyjątkowo odbiera dzieci z przedszkola. Specjalnie zadzwoniła do jego gabinetu, by na ten dzień nie rejestrowano mu wizyt, przypominała mu jeszcze kilka razy w ciągu tygodnia o tym, że ma odebrać dzieciaki. A on co?

Nawet nie odbiera.

– Monia. Lecę. Muszę po dzieci. Zapłacę przelewem.

– Madzia, ale paznokcie!

Magda machnęła ręką, włożyła buty na boscie nogi i pobiegła do samochodu. Jeździła starym nissanem, który jej się już trochę sypał, ale uważała, że póki samochód spełnia zadanie, do jakiego został

wymyślony, czyli wozi ją wte i wewte, to wszystko jest w porządku i nowego się nie dopominała.

Dojechała do przedszkola. Na ich osiedlu nie było żadnego państwowego przedszkola, żadnej szkoły, żadnego sklepu. Dopiero niedawno wybudowali Biedronkę. Dzieci zawoziła do prywatnego przedszkola, chociaż sama miała wątpliwości, czy nauka angielskiego w tak wczesnym wieku coś daje. Jednak dzieciaki miały lepszy akcent niż ona, nawet gdy mówiły o George'u, bracie świnki Peppy, czy prosiły o Snickersa. Zatrzymała się pod bramą z napisem „Kolorowe przedszkole”.

Już gdy wbiegała zadyszana pod górkę, zauważyła dwie sieroty. Znaczą półsieroty. A w zasadzie jej dzieci, które wyglądały dokładnie tak, jakby rozpaczliwie czekały na opiekunów prawnych, którzy je odbiorą z placówki edukacyjnej.

Ku swojemu zaskoczeniu dzieci były zupełnie zadowolone z życia. Czy powinna się tym martwić? Chyba powinna. Bo przecież to nienormalne, że dzieci, które cały boży dzień nie widzą matki oraz ojca, są zadowolone z życia. Patologia normalnie.

Przeprosiła panią dyrektor, która wydawała się nieco mniej rozanielona niż dzieci, i poszła do samochodu. Wielokrotnie próbowała się dodzwonić do męża, ale niestety nie odbierał. Przemknęła jej przez głowę myśl, że coś mogło się stać – zawał, udar, wylew albo inne choroby, które występowały u przepracowanych czterdziestolatków (no PRAWIE czterdziestolatków), ale mąż tak często nie odbierał telefonów, że raczej byłaby zdziwiona, gdyby wreszcie usłyszała jego głos w słuchawce.

Dojeżdżając do domu, usłyszała natomiast głośnie muzykę. No tak. Czasem sąsiedzi zostawiali w domu samego osiemnastoletniego syna i wtedy było nieco głośnie. Tym razem do jej uszu dobiegał kobiecy śpiew, w którym wokalistka dziękowała *very much*. Najdziwniejsze było

to, że śpiew ten dobiegał z jej własnego garażu i na dodatek wtórował mu fałszujący głos jej męża:

Thank you very much.

I wanna say I'm sorry but I'm really not.

Mąż siedział w czarnym volvo lśniącem nowością i śpiewał, podrygując. Co chwilę przełączał przyciski i kręcił jakimiś gałkami.

Magda wyszła ze swojego samochodu. Za nią wybiegły uradowane dzieci z zamiarem zapakowania się do nowego samochodu taty. Bardzo lubiły jeździć z tatą autem, bo tata wtedy włączał muzykę na cały regulator i można było krzyczeć.

– Adam! – krzyknęła.

Oczywiście zajęty samochodem oraz śpiewem mąż nic nie usłyszał.

– Adam! – ryknęła.

Nie zadziałało. Nadal dziękował śpiewnie.

Postukała męża w ramię, dając mu do zrozumienia, że ma ściszyć.

I wanna say I'm sorry but I'm really not.

Próbowała nie brać tego do siebie.

– Co to jest? – Magda wskazała na samochód.

– Samochód. Ładny, nie? – odrzekł jej mąż niemal radośnie. – Volvo. Chodź, przejedziemy się.

- Kupiłeś samochód?
- Przecież twój już był stary.
- No, ale rozmawialiśmy o tym zaledwie tydzień temu!
- Widzisz jak szybko działałam? – Adam był bardzo zadowolony. – Dzieci, nie wchodzić tam w butach! – krzyknął w stronę Michała i Amelki.
- A pamiętasz w ogóle, że masz rodzinę?
- No, oczywiście. Adam próbował objąć Magdę. – I dlatego kupiłem samochód, by bezpiecznie was wozić. Michał! Nie włącz z tym lizakiem do środka! Madziu, chodź, zobacz, jak się siedzi.

Magda usiadła na miejscu dla pasażera.

- Albo wiesz co... – Zmarszczył brwi. – Może lepiej nie, bo masz jeansy...
- Zauważyłeś? – zapytała i uśmiechnęła się. Ostatni raz miała na sobie te jeansy jakieś siedem lat temu.
- No, tak, bo tu są białe skóry, a jeans je brudzi. Może byś jakiś ręczniczek sobie podłożyła?

Magda spojrzała na męża z wyrzutem. Przypomniała sobie, że jest na niego zła.

- Nie odebrałeś dzieci z przedszkola. – Była coraz bardziej zdenerwowana.
- No, przecież ty odebrałaś. – Wydawał się zdezorientowany.
- No, odebrałam, ale po siedemnastej!

– No i? – Adam dalej nie rozumiał.

– Ty miałaś je odebrać. Od miesiąca ci o tym przypominam. Nawet w gabinecie prosiłam, by ci nie umawiać pacjentek!

– No popatrz... – Adam Kondracki się zamyślił. Rzeczywiście, zdziwił się, gdy spojrział w kalendarz pacjentek i tego popołudnia były zupełnie pustki. Fakt, zastanowiło go to, ale uznał, że to doskonały moment, by pojechać po samochód, który czekał na niego przygotowany w salonie już od kilku dni. I naprawdę nie pamiętał, że ma odebrać dzieci z przedszkola. – Ale... Ale to ty je zawsze odbierasz... – tłumaczył się, próbując ratować sytuację. Oczywiście, jeszcze ją pogorszył.

– No właśnie! Zawsze je odbieram, to ty chociaż raz jeden mógłbyś po nie jechać.

Magda weszła zdenerwowana do domu. Rzuciła siatki z zakupami na środek kuchni. Postanowiła się zbuntować całkowicie. Bałagan strasznie jej uprzykrzał życie, ale stwierdziła, że niech jej mąż sobie sprząta. Raz może.

Nalała sobie wody i poszła do salonu. Usiadła w fotelu, dopiero tam zrzuciła buty (wylądowały na środku pokoju).

Wypiła duszkiem wodę i stwierdziła, że trudno. Nie będzie się martwić. Widać tak miało być, a ona i tak się zrelaksowała. Kątem oka spojrzała na paznokcie u stóp.

Przedstawiały obraz nędzy i rozpacz.

Lakier schodził niczym stara farba w szalecie publicznym.

Królowa wszechświata.

Też mi.

Phi.

Miarka się przebrała. Wbiegła po schodach na górę, z szafy wyjęła kilka dziecięcych ubrań, potem spakowała trochę swoich rzeczy i zeszła do garażu.

– Dzieciaki, jedziemy!

– Gdzie jedziesz?

– Do mamy.

– To może chcesz wziąć swój nowy samochód... – Adam naprawdę starał się być miły.

– Oczywiście, że chcę – mruknęła w odpowiedzi Magda.

Wsiadła do swojego starego nowego auta, sprawdziła, czy dzieciaki mają zapięte pasy, i ruszyła. Tylko raz prowadziła ten samochód. Do tej pory przecież należał TYLKO do Adama. Kiedyś wracali z imprezy. Adam pozwolił sobie wtedy na więcej, niż ustawa przewiduje, i wspaniałomyślnie zaproponował jej, by usiadła za kółkiem. Była wtedy w ciąży, więc nic nie piła. Ale on był wystarczająco znieczulony i nic następnego dnia nie pamiętał.

– Wiesz, jak jechać? – wykrzyczał za nią mąż.

– Wiem – syknęła Magda. Dodała gazu i z piskiem opon wyjechała spod domu.

Adam Kondracki miał nadzieję, że żona sobie poradzi. Miał wiele zasad w życiu. Jedną z nich było przekonanie, że wszystko, za co się zabierze, robi najlepiej i w związku z tym nie dopuszczał do wielu

czynności osób trzecich. Nawet jeżeli była to własna żona i własny samochód.

* * *

Karolina Nogalska obudziła się przed dziesiątą. Oczywiście zasnęła w łóżku z tą cholerną magisterką. Z tą o alkoholu. Dawno już się jej to nie zdarzyło. Oczywiście wolałaby zasypiać w łóżku z jakimiś przystojnymi dżentelmenami, ale ostatnimi czasy panował straszliwy nieurodzaj na nich. Same wybrakowane jednostki, które powinny natychmiast poddać się terapii. I ona, Karolina Nogalska, pani doktor psychologii, oczywiście natychmiast by się tej terapii podjęła. Niestety, trzymała się jednej żelaznej zasady – żadnej poufałości z pacjentami. Albo komuś pomaga, albo z nim śpi. No, ale jak już śpi, to potem nie może pomagać i taki biedny człowiek chodzi po świecie z problemami. Ona zaś spotyka się z facetami jedynie na niwie zawodowej. A spać musi z kotem.

Gabinet psychologiczny, który prowadziła w jednej z uliczek równoległych do najbardziej znanej ulicy Gdańska – ulicy Długiej, nie sprzyjał poznawaniu księżąt z bajki, ale też Karolina Nogalska takich oczekiwań nie miała. Marzyła o normalnym facecie, który słysząc, że ma „dr” przed nazwiskiem nie zwieje od razu, gdzie pieprz rośnie, tylko zabawi ją rozmową, niekoniecznie o poglądach kobiet ze wsi i miasta na temat używania alkoholu. Najlepiej jakby z nią ten alkohol wypił, a potem oddał się uciechom cielesnym w jej własnym łóżku.

Łóżko Karolina miała wygodne i przestronne. Uwielbiała swoje mieszkanie. Ogromne dwa pokoje na czwartym piętrze w nowym budynku niedaleko lasu. Młode osiedle, młodzi ludzie. To miejsce miało dobry przepływ energii. Czuła to. Lubiła swoją pracę, ale też lubiła każdego dnia wracać do swojego pachnącego domu.

Mieszkała sobie w towarzystwie kota – wciąż bezimiennego, bo

bała się przywiązać do kogokolwiek – i całkiem było im razem dobrze.

Ona z kolei, w przeciwieństwie do Magdy Kondrackiej, była mistrzynią domowego porządku. Równo poskładane ręczniki miała ułożone w szafie, te dla gości kładła w łazience, zrolowane w małe ruloniki. Na wieszakach w garderobie wisiały ubrania w porządku kolorystycznym, a na górnej półce równo stały kartony z dokładnym opisem zawartości. Kuchnia lśniła czystością, z podłogi można by jeść. Raz w tygodniu zmieniała pościel, co miesiąc myła okna (no chyba, że były brudne wcześniej), a generalne porządki zwykła robić w każdą sobotę. O ile było co robić, bo Karolina Nogalska w każdym kącie miała nieskazitelny porządek. Rytuały to było jej drugie imię. Organizacja pierwsze.

Była bardzo pracowita.

Rano uczelnia, potem gabinet i pacjenci prywatni, często w sobotę i niedzielę prywatna uczelnia. Spłacała kredyt i nie szło to w parze z jej uporządkowanym, nieznoszącym jakichkolwiek zaległości charakterem. Chciała go spłacić jak najszybciej, dlatego tak harowała.

Jak wół.

Oczywiście znajdowała też czas na ćwiczenia fizyczne, bo dzięki temu czuła się lepiej. Godziny treningów były zaskakujące. Często tuż po północy sapała z uśmiechniętą Mel B czy też z Jilian, która to kazała jej wymachiwać kończynami. Zatem wymachiwała. Czasem nawet o trzeciej czterdzieści trzy w nocy.

Za rok miała skończyć czterdzieści lat. Trochę ją to martwiło, tym bardziej że bardzo nie chciała wkraczać w ten dziwny świat sama. Może nawet trochę z tego właśnie powodu przygarnęła ze schroniska szarego kota? Tylko że nie do końca o to chodziło. To nie kot miał wkraczać z nią w życie czterdziestolatki.

No, ale gdzie ma poznawać tych superfacetów? W gabinecie – nie, wśród studentów tym bardziej. Bo znowu wyjadą jej z poglądami kobiet na temat alkoholu.

Pogląd miała jeden.

Mohito w towarzystwie przystojnego bruneta.

Najlepiej wieczorową porą.

Tego ranka, a w zasadzie południa, postanowiła sobie, że tak ciężko pracuje tylko do czterdziestki. A potem będzie chłonać życie. Bo po czterdziestce to życie będzie zupełnie inaczej wyglądało. I w przeciwieństwie do Adama Kondrackiego, o którego istnieniu nie miała jeszcze bladego pojęcia, nie była tym faktem szczególnie ucieszona.

* * *

Natalia Kalinowska była właśnie szturchana łokciem.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że leżała w swoim własnym łóżku małżeńskim, a szturchał ją nie kto inny, jak jej własny mąż. Na początku nie wiedziała, co się dzieje, bo śniła jej się tropikalna wyspa, na dodatek bezludna, i nikt, a nawet nic nie miało prawa zakłócać jej błogiego spokoju. Piękny to był sen, ale jak wszystko, co piękne, musiał się kiedyś skończyć. I skończył – kuksańcem w bok, wymierzonym przez własnego męża, który oświadczył zaspanym głosem:

– Ryczy.

Chwilę potem powrócił w objęcia Morfeusza.

Natalia została mamą już po raz drugi, w związku z czym na

pierwsze ryczenie zwykle nie reagowała. Oczywiście przy małym Mikołaju wyczuwała jego płacz, nim jeszcze w ogóle synek o tym pomyślał, ale przy Zosi czuła się już matką bardziej doświadczoną i uznała, że nie będzie reagować na kwilenie dziecka (tak, to zdecydowanie było kwilenie), a tym bardziej na słowa męża „ryczy”. Przecież tak samo mógł pójść do Zosi, jak ona.

Oczywiście trwały o to batalie, ale jej mąż Krzysztof twierdził, że nie ma cycków, więc z czym do ludzi, znaczy do Zosi. Przecież Zosieńka byłaby rozczarowana, gdyby on do niej przyszedł bez cycków. No, na pewno byłaby. Ale w swoich marzeniach Natalia widziała męża, który przynosi małą Zosieńkę do niej śpiącej, odchyła żonie połą koszuli nocnej, kładzie przy nagiej piersi bobasa, a bobas przez sen (sen matki oczywiście) się najada. Potem troskliwy tatuś zanosí najedzonego bobasa na miejsce, a matka Polka może się wyspać. Chociaż trochę. Chociaż jednej nocy więcej niż trzy godziny.

Niestety, takie sytuacje to opowieści zarozumiałych koleżanek albo fikcja literacka. Właśnie w tę fikcję Natalia coraz częściej uciekała. Zosia miała dopiero tydzień i Natalia od powrotu ze szpitala nic jeszcze nie napisała, ale gdy była w ciąży i Mikołaj spał, oddalała się w krainę wyobraźni i pisała. Oczywiście do szuflady, bo przecież normalni ludzie nie wydają książek. Ale to pisanie do szuflady bardzo ją uspokajało. Było taką formą autoterapii.

Teraz Zosia naprawdę płakała. Trochę czasu upłynie, nim mała się przyzwyczai do życia na tym świecie. Natalia wstała i próbowała małą nakarmić. Od początku były z tym problemy. Naprawdę się starała, ale już dalej nie mogła. Z oczu popłynęły łzy. Nie po raz pierwszy. Oczywiście baby blues, znała to. Ale w przypadku Mikołaja miała pokarm. Co to za matka, która nie może wykarmić dziecka? Przecież gdyby byli w dżungli, umarłoby!

Wzięła Zosię na ręce i poszła do kuchni zrobić mieszankę mleczną.

Wróciła do sypialni, mała natychmiast zaczęła ssać. Mikołaj nie umiał pić z butelki do kilku miesięcy, Zosia załapała od razu

– Krzysiu, śpisz? – zapytała męża.

Oczywiście, że spał. Cóż miał robić o trzeciej w nocy.

– Krzysiu, śpisz? – zagadnęła ponownie. – Krzysiu, obudź się na chwilkę.

– Yhm? – zapytał mąż.

– Krzysiu. Jestem złą matką – oświadczyła Natalia.

Krzysztof otworzył oczy. Jego żona oczywiście miała różnego rodzaju wady, na przykład fatalnie gotowała, ale na pewno nie była złą matką.

– Kiciu... – zaczął i ziewnął.

– Krzysiu. Jestem złą matką – tłumaczyła Natalia, płacząc. – Zobacz, jakbym mieszkała w dżungli, jakbym była w jakimś plemieniu afrykańskim, nie wykarmiłabym dziecka. Umarłaby nam Zosia – płakała już na dobre.

– Umarła? – To obudziło nawet Krzysztofa. Usiadł na łóżku i spojrzał na płaczącą żonę, jak na tę godzinę, całkiem przytomnie. – Coś jest nie tak z Zosią? – zaniepokoił się.

– No nie, teraz jest okej, bo pije mleko albo coś, co nawet mlekiem nie jest. – Natalia wzruszyła ramionami.

– No to wszystko dobrze?

– No właśnie nie! – chlipała jego żona. – Bo gdybyśmy żyli w Afryce, to by umarła.

– Kiciu. – Krzysztof już wyczuł, że to ten stan, kiedy kobietę należy po prostu przytulić, a nie trzeba jej szukać gotowych rozwiązań. Przytulił leżącą żonę, pogłaskał ją. Mała też już spała w ich łóżku.

– Już dobrze? – zapytał po chwili, gdy już czuł, że żona się uspokoiła.

Natalia uśmiechnęła się. Już zasypiała i wszystkie złe myśli odpłynęły.

– A zresztą, kochanie – ciągnął Krzysztof, delikatnie ją głaszcząc – w Afryce kobiety często są w ciąży. Na pewno znalazłaby się jakaś czarnoskóra mamka, która by nam Zosię wykarmiła.

Natalia przerażona usiadła na łóżku.

– Jak możesz tak w ogóle myśleć? – syknęła. Wstała z łóżka, zgarnęła Zosię i wyszła do jej pokoju. Po chwili przyszła po kołdrę i zniknęła za drzwiami sypialni.

Krzysztof patrzył zaskoczony. Przecież chciał dobrze. Doprawdy, on tych kobiet nigdy nie zrozumie. A w szczególności kobiet, które właśnie urodziły dziecko.

Pamiętał, pierwsze sześć tygodni jest najtrudniejsze. A potem byle do matury. Potem to chyba już z górki. Trzeba Zosię za mąż szybko wydać.

Z tą myślą pod gęstą blond czupryną Krzysztof Kalinowski zasnął. Nie miał biedak pojęcia, że jego ukochana żona chlipała do samego rana, trzymając córkę w objęciach, na myśl, że ktokolwiek mógłby wykarmić jej dziecko. Czuła się jeszcze gorszą matką niż godzinę temu.

Do tego koszmarnego uczucia doszło jeszcze inne. Że mąż jej nie rozumie.

Tak długo chlipała, aż w końcu zasnęła. Gdzieś koło szóstej przydreptał do niej dwuipółletni Mikołaj, który wtulił się w nią mocno, wkładając jej zimne stópki pod pizamę. Bezwiednie przytuliła go i czuła się naprawdę szczęśliwa.

Kobiety to zaiste dziwne twory natury.



CUDZOŁOŻENIE NIE JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE

Zuzanna Wolicka postanowiła iść na wagary. Naprawdę z rzadka to robiła, a jak już to w szczytnych celach. Ten cel wydawał jej się bardzo szczytny, bo akurat zobaczyła Zofię Kruk dystyngowanie wychodzącą z taksówki. Oczywiście zaraz obok niej znalazł się Parys Antonio, który wetknął nos w wielką torbę pani Zofii.

Zofia rozejrzała się na prawo, na lewo, czy nikt nie widzi i wyciągnęła coś z torby, czym Parys Antonio natychmiast się zajął.

Zuzanna, zwana przez wszystkich Bachorem, zastukała w szybę i pomachała.

Zofia Kruk uśmiechnęła się. Kochała to dziecko i była bardzo zadowolona, że pomiędzy Jackiem, ojcem Bachora, a jej siostrzenicą Milenką coś zaczyna iskrzyć. Bardzo starała się nie ingerować, bo ostatnie próby swatania nie przyniosły dobrych rezultatów, ale przecież mogła się dowiedzieć, jak sprawy stoją. To przecież nie jest INGEROWANIE.

Weszła do klatki. Na wycieracze przed swoimi drzwiami stał Bachor. Miał bose stopy i był w piżamie w kwiatuszki. Piżama w kwiatuszki do Bachora zupełnie nie pasowała. Gdyby miał on piżamę w trupie czaszki albo koszulę nocną moro, wszystko byłoby okej, ale kwiatki?

– Zuzanko, dobrze się czujesz? – zapytała zaniepokojona Zofia Kruk.

– Zosieńko, ja tylko się martwię. Wejdz na chwilkę, bo mi zimno.

Zofia Kruk weszła do mieszkania. Miała inne plany, chciała pod nieobecność Milenki sprawdzić aktualny rozmiar jej garderoby, bo z Milaczkim to nigdy nic nie było wiadomo, no, ale skoro Zuza jej potrzebuje?

– Zuza, a ty nie masz dziś szkoły?

– Ekhm... No w zasadzie...

– Masz czy nie masz?

– No, mam, ale nie każ mi znowu jeść surowych ziemniaków, Zosieńko. Ja ich nienawidzę.

– Ziemniaków? Czy ja kiedykolwiek kazałam ci jeść surowe ziemniaki?

– No nie, ale po nich się rzyga.

Zofię Kruk na dłuższą chwilę zatkało.

– Wymiotuje – poprawiła.

– O nie, Zosieńko. – Dziewczynka pokręciła przecząco głową. – Wymiotuje się, jak skóreczka od pomidorka przyklei się do brzuszka od środeczka. Złożyła usta w ciup. – A po surowych ziemniakach, nawet tych z dżemem, po prostu się rzyga.

Zofia Kruk nie potrafiła obalić tych argumentów. Dla swojego spokoju wolała nie kontynuować tematu.

– Wejdź, Zosiu, do środka. Bo mi zimno. Poczekasz, aż się ubiorę?

Zosia skinęła głową. Usiadła na tapczanie. Na stoliku leżał

najnowszy katalog biżuterii Kruka. Czyżby Jacek coś szykował?

– Zosieńko! – Zuzanna przybiegła w podskokach. – Kawki?

To dziecko było stanowczo zbyt samodzielne. Nawet na te swoje dziewięć lat.

– Bo ja muszę śniadanie jeść. Podobno to najważniejszy posiłek dnia. Tak mi Milenka powiedziała. A ja jej słucham. Bo wiesz, Zosiu, ja ją bardzo lubię – wyznała i jakby się zasmuciła. – I nie chcę, by poszła do piekła!

Zofia Kruk była coraz bardziej zaniepokojona. Co jak co, ale to, że Milaczek pójdzie do piekła, było najmniej prawdopodobne.

– Wszystko ci, Zosiu, opowiem, poczekaj chwilkę, bo to śniadanie. Chcesz coś?

Zofia Kruk nie chciała. Ale kawy to by się chętnie napiła. Poszła za Zuzanną do kuchni. Tam na stole leżał katalog z biżuterią Apartu. Zdecydowanie Jacek coś kombinował.

– Dobra, owsianka zrobiona. Milaczek mnie nauczył. Wezmę do pokoju.

– A ja sobie zrobię kawy.

– Ja ci zrobię, siadaj, Zosieńko.

Bachorowi bardzo się to podobało. Śmiało mógł rzec, że Zofia Kruk była jej najlepszą przyjaciółką, mimo dzielących ich niemalże sześćdziesięciu lat życia. Ciałem. Bo duchem dzieliło je dużo, dużo mniej.

Zofia Kruk z powrotem poszła do pokoju. W oczekiwaniu na

kawę, oglądała biżuterię.

– Otóż, Zosieńko – zaczęła Zuza, gdy weszła do pokoju. – Ja bym nie chciała, by ludzie szli do piekła.

Zofia Kruk zamarła z filiżanką w dłoni.

– A szczególnie Milenka. Ale ciociu, jest pewne ryzyko, bo ona jest grzesznicą.

Zofia Kruk przełknęła mocniej ślinę.

– Ona cudzołoży – szepnęła Zuza konspiracyjnie.

Zofia wytrzeszczyła oczy na mówiącego dalej Bachora.

– Na religii mieliśmy przykazania. I ja je sobie wszystkie zapisałam. Kiedyś, jak byłam mała, też je miałam, ale jeszcze ich wiesz, nie rozumiałam dobrze. Teraz siostra powiedziała, że jak ich ktoś nie przestrzega, to może pójść do piekła. I wiesz, ja najpierw sprawdziłam, czy tata do piekła pójdzie i nie pójdzie. Bo wszystko robi dobrze. Ale Milenka pójdzie. Poczekaj chwilkę.

Zuzanna pobiegła do swojego pokoju. Po chwili wróciła z zeszytem. Otworzyła gdzieś pośrodku. Zofia Kruk bez okularów widziała niewiele, ale jednak zarejestrowała tabelę.

– Zobacz, Zosieńko. Tu mam przykazania. Zuzanna pokazała pionową kolumnę. – A tu osoby, które kocham – wyjaśniła i przesunęła palcem poziomo w nagłówkach. – To się macierz nazywa. Tu mam plusy i minusy. I tylko Milenka ma minus.

– Zuzanko, ale za co? – zaczęła się zastanawiać Zofia Kruk.

– Zosieńko, ona cudzołoży! – oświadczył zdeorientowanej Zosi

Bachor.

– Ale... Ale... Zofia Kruk zastanawiała się, jak wytłumaczyć pewne rzeczy dziecku. Czy zacząć od pszczołek, czy od kwiatków. Boże, co ją spotkało, dlaczego właśnie ją? – Zuzanko, poczekaj, ja ci to wytłumaczę.

– Zosieńko kochana. Nie trzeba. Ja już wszystko wiem. Wiesz, bo Milenka co wieczór, jak myśli, że ja już śpię, przychodzi do taty, a potem rano wychodzi. I mnie to bardzo martwi. Bo ona przez te kilka godzin cudzołoży.

– Nie da się ukryć – mruknęła Zofia.

– No i trzeba coś zrobić, by tego nie robiła.

– Ale, Zuzanko... Jak ludzie się kochają, to... Lubią się do siebie przytulać.

– Ja to wszystko rozumiem. Powiedz mi tylko, Zosieńko, czy jak ktoś się z kimś ożeni, to wszystko jest wspólne?

– No na ogół tak...

– To całe szczęście. Czyli jak tata ma jedną rzecz i się ożeni z Milenką, to ta rzecz jest ich wspólna?

– No niby tak... Chociaż nie, Zuzanko. To, co było przed małżeństwem taty, to będzie taty.

– O kurczę. To mi plany krzyżuje.

– Jakie plany? – zapytała Zofia Kruk i jednocześnie pomyślała, że nic ją już nie zdziwi, w szczególności, jeżeli chodzi o Zuzankę.

– Zosiu, bo przecież Mila ciągle śpi w cudzym łóżku. Więc sobie pomyślałam, że jak się pobiorą, to łóżko będzie wspólne i wtedy nie będzie cudzołożyc, tylko własnołożyc. Kumasz?

Zofia kiwnęła głową. O matko. To o to chodzi. Odetchnęła z ulgą, że i tym razem pszczołki i kwiatki na nic się nie przydadzą.

– No, ale ty teraz mówisz, że nawet po ślubie to będzie taty łóżko, to ja już nie wiem.

– A gdyby kupili nowe po ślubie, to byłoby ich. Ba, nawet ślubu nie musiałyby być. Mogliby kupić teraz na spółkę to łóżko.

– O matko, ciociu, jesteś genialna! – zawołała uradowana Zuzanna.
– A ja głupia pierścionków szukam i obrączek w katalogach. A powinnam łózek! Nie muszą się żenić!

Zofia Kruk zamarła. Nie takiej przyszłości oczekiwała dla swojej jedynej siostrzenicy.

– Zuzanko, a może niech się chociaż zaręczą, a łóżko dostaną ode mnie w prezencie zaręczynowym?

– A to tak też można?

– Można – stwierdziła z całą pewnością Zofia Kruk.

Zuzanka odetchnęła z ulgą. Dobrze, że ona nad wszystkim czuwa. Przecież to byłoby okropne, gdyby Milenka poszła do piekła. Jakie to by było straszne, że po śmierci ona i jej tata by jej w niebie nie spotkali. Ale wszystko załatwione. Milenka pójdzie tam, gdzie trzeba, tylko musi ten pierścionek z tatą kupić. Bo ci mężczyźni to nigdy nie wpadną sami na tak genialne pomysły.

* * *

Milenka, niczego nieświadoma, właśnie wchodziła do biura. Wchodziła tam po tygodniowej nieobecności, gdyż była na urlopie. Nie spędzała tego urlopu na Karaibach ani innych Seszelach, tylko po prostu w łóżku, w pościeli. A czasem nawet bez.

Zuzanna jako przykładna uczennica chodziła do szkoły, a Jacek z Milenką mniej przykładowie chodzili do łóżka i oddawali się tam rozkoszom cielesnym. Codziennie. To było sto razy lepsze niż Seszele i plaża.

I tańsze, prawdę mówiąc. No chyba, że się weźmie pod uwagę długookresowe skutki takiego wylegiwania się, aktywnego wylegiwania, dodajmy. Ale o tym nieco później.

Milenka całkiem wypoczęta, w doskonałym humorze, aczkolwiek niechętnie, wracała do pracy. Od progu witał ją dyrektor Waław Lubkiewicz, który bez niej nie za bardzo ogarniał biuro i postanowił, gdy tylko Milenka wróci, zostawić całą robotę na jej głowie i udać się gdzieś w ciepłe kraje, zalec na plaży z drinkiem i nie myśleć o niczym. Ani o mamusi, ani o kobietach, które jakoś go nie lubiły ostatnio. Albo on ich nie lubił. Miał ochotę rzucić wszystko w cholerę i wyjechać w siną dal.

Oczywiście zauważył, że Milaczek po tym urlopie wrócił jakby piękniejszy.

Weszła z podniesioną głową w wąskich spodniach, bluzce koszulowej, z odpiętymi dwoma guzikami (co się jej szefowi bardzo spodobało) oraz butach na wysokich obcasach, co już podobało mu się zdecydowanie mniej, bo gdy spojrział na wprost, to akurat widział te rozpięte guziki. Nie to, że widok był niemiły dla oka, wręcz przeciwnie, ale „jej wysokość Milaczek” go przytłaczał. Waław Fryderyk Lubkiewicz był raczej niskiego wzrostu i gdyby to od niego zależało, nie

zatrudniałby nikogo wyższego niż on sam. Wprawdzie ograniczyłoby mu to znacznie wybór tych perełek z potencjalnych pracowników, ale był skłonny się z tym pogodzić.

Milenka rozdawała uśmiechy na prawo i lewo. A Waław Lubkiewicz jakby całe swoje jestestwo przesunął z brzucha do klatki piersiowej. Wprawdzie tkwił w bezdechu przez dłuższy czas i w związku z tym nie mógł powiedzieć ani słowa, ale przez chwilę prezentował się (jak na Waław Lubkiewicza oczywiście) całkiem atrakcyjnie.

– Dobrze wyglądasz, Milenko – stwierdził, gdy zeszło z niego powietrze i wyglądał znowu jak jej szef.

– Dziękuję. Wypoczęłam trochę.

– No tak, a tu nowe wyzwania. Ekhm... Bo ja na urlop lecę.

– Od kiedy? – zapytała przestraszona Milenka.

– No, w zasadzie już dzisiaj jestem na urlopie. Wpisałem twoje zastępstwo. Znaczą „pe-o” jesteś. „Pe-o dyrektora działu analiz”. Nie spieprz tego, dziecko. – Udawał wielce zatroskanego.

Milenka nie miała zamiaru tego spieprzyć. Ani nawet solić. Potraktowała to jako swoją jedyną życiową szansę awansu na drabinie korporacyjnej. Tym bardziej, że plotkowano, iż Waław Lubkiewicz przenosi się do Warszawy. Wyciął szefa ku jego olbrzymiemu zaskoczeniu, przejęła od niego trzy wielkie segregatory i życzyła miłego wypoczynku. Co najmniej takiego, jak miała sama. Rozmarzyła się.

Stop.

Nie czas na fantazjowanie o pościeli.

Cały dzień biegała po korytarzach, załatwiając różne sprawy. Miała rację, szata zdobi człowieka. Nowa bluzka, nowe spodnie, nowe buty. Czowała się po raz pierwszy w życiu, jak prawdziwa bizneswoman, gdy tak biegała korytarzami biurowca i słyszała stukot obcasów. Zmęczona była jak nigdy. Ale był to taki pozytywny rodzaj zmęczenia. Taki, gdy wiesz, że zrobiłaś kawał dobrej roboty i na dodatek jesteś z siebie dumna. Pod każdym względem.

Dopiero po siedemnastej zobaczyła, że dzwonił Jacek.

Odebrała esemesa, że wraca później, Zuza u koleżanki, a on siedzi w jakiejś serwerowni i może nie mieć zasięgu. Faktycznie. Telefon nie odpowiadał. Nieważne. Ważne było to, że była wreszcie zakochana. I to z wzajemnością.

Poukładała papiery na biurku. Czowała całą sobą, że idzie nowe. Urlop dał jej sporo energii, którą miała spożytkować na dalsze cudne życie. I zawodowe, i prywatne. Czowała, że wszystko zaczęło się kręcić i to w bardzo pozytywnym kierunku.

Wracała samochodem do domu, nucąc najnowsze przeboje z RMF MAXX. Mijając drzwi Jacka na parterze, oczywiście zapukała. W razie gdyby wrócił z tej serwerowni. Niestety, nie było go. Wbiegła na piąte piętro. Wszak wiosna, motyle w brzuchu, awans – wprawdzie na chwilkę, ale zawsze.

Postanowiła sobie zrobić kąpiel w pianie. Tak jak to miała w zwyczaju. Podśpiewując, zrzuciła spodnie, poruszając się tanecznym krokiem po pokoju, rozpięła bluzkę i rzuciła ją na tapczan. Wyśpiewała jeszcze jedną zwrotkę z Sylwią Grzeszczak i spoglądając na swoją koszulę, zamarła.

Zamarła w półobrocie. Potem, niczym w zwolnionym filmowym tempie, zamknęła oczy, by je zaraz szybko otworzyć. Z tyłu, od kołnierzyka odchodziła czarna żyłka. Na tejże żyłce był przyczepiony

woreczek, a w nim dwa białe guziczki – w razie, jakby się „guzik odpruł temu misiu”, tfu, tej koszuli – oraz instrukcja, że należy ją prać w temperaturze nie większej niż czterdzieści stopni.

Z Milenki samozadowolenie oraz uśmiech spłynęły niczym piorun po piorunochronie. Szybko i niemalże bezszelestnie.

– O kurde – wyszeptała.

Od razu sobie przypomniała, jak głupia, zadowolona z siebie stuknęła tymi obcasami, wdając się w inteligentne rozmowy z wszystkimi, począwszy od kuriera aż po dyrektora. I pewnie szła szybko, a za nią powiewał ten woreczek.

I temperatura prania czterdzieści stopni.

Pe-o dyrektora, kurczę.

Wielka pani.

Bizneswoman jak z koziej dupy trąba. Powiedziałyby Zofia Kruk.

I najgorsze, że miałyby stuprocentową rację.

* * *

Adam Kondracki był mężczyzną bardzo przezornym. Jego żona podejrzewała, że to nie przezorność, a zwyczajna mania prześladowcza.

Pierwszej nocy, kiedy Adam Kondracki nie spał w garażu, tylko w łóżku z własną żoną (niestety), postanowił zabezpieczyć doskonale swój nowy samochód przed czającymi się wszędzie złodziejami.

Złodzieje z pewnością czyhali, aż nadarzy się okazja, by ukraść

nowe czarne cacuszko i wywieźć jak najszybciej za wschodnią granicę.

Jak wiadomo, Adam Kondracki samochód kochał miłością bezmierną i postanowił się zabezpieczyć przed straszliwą traumą, jaką mogłaby być kradzież jego czarnego diabła.

Wjechał do garażu. Następnie swój nowy samochód zastawił starym. Pod klamkę drzwi postawił jeszcze łopatę. Uważał, że już nic więcej nie może zrobić.

Najchętniej spałby jeszcze kilka dni w swoim samochodzie. Był bardzo wygodny. Bał się jednak, że żona może uznać, że to nie jest do końca normalne. Prawie spokojny poszedł spać.

Jakże byłoby wielkie jego zdziwienie, gdyby odkrył, że wprawdzie zastawił swoje volvo nissanem, wprawdzie zablokował klamkę łopatą, ale zapomniał zamknąć drzwi do garażu na klucz. Na szczęście odkryła to jego żona, a że męża bardzo kochała i nie chciała mu psuć humoru, więc mu o tym nic nawet nie wspomniała.

Magda Kondracka miała jedynie dziką satysfakcję, gdy jej mąż się puszył, mówiąc „pan Bóg strzeże strzeżonego”.



STRAJKUJĄCE NIANIE PRZYCZYNĄ ROZWOJU BIZNESU

Cukierenkę na osiedlu Myśliwskim kupił Adriannie tata. Był to jedyny prezent, jaki dostała od swojego ojca. Potem się okazało, że nie do końca był to prezent od ojca... Ktoś mu dał na to pieniądze...

Na początku była przekonana, że złapała pana Boga za nogi, jednakże potem okazało się, że w zupełności wystarczyłby jej mniejszy lokal – mniej ogrzewania, mniej sprzętania i przede wszystkim mniej uciekających pieniędzy.

Ale jej były facet uznał, że ma to wynagrodzić jej wszelakie alimenty na syna na całe jego życie, więc lokal był słusznego rozmiaru. A w zasadzie dwa.

Dwa bardzo kosztowne lokale.

Adrianna, jak wiemy, na nic kosztownego, a tym bardziej dwa lokale, nie mogła sobie pozwolić.

Przyszła do cukierni z wielkim czekoladowym tortem. Zamówienie, nad którym pracowała w nocy. W drzwiach minęła dziewczynę, która często przychodziła po ciasteczka. Tylko i wyłącznie owsiane. Burza rudych loków mogła należeć tylko do niej.

– Och, znowu coś nowego? – zapytała. – Pokaże mi pani?

– Jasne – odpowiedziała z uśmiechem Adrianna. – Tym razem na urodziny. – Otworzyła karton.

Na torcie uśmiechnięty mężczyzna dzierzył w dłoniach grabie,

obok stała wbita w ziemię (tort) łopata i rozkopane grządki.

– O kurde, znam go – powiedziała zdumiona Karolina.

– O, czyli podobny? – Ada się ucieszyła. – Dostałam trzy zdjęcia i starałam się zrobić najlepiej, jak umiałam.

– Matko, identyczny. Na czterdziestkę też sobie zamówię – zapewniła Karolina. – I sama cały zjem – dodała smutno. – Pewnie siedząc nad jakąś koszmarnie nudną pracą przyszłych adeptów psychologii.

– Może kawy? – zapytała Ada.

– A chętnie. – Karolina usiadła przy stoliku. Włosy opadły jej na oczy, natychmiast wyjęła gumkę i spięła je w zgrabny koczek.

– Powinna pani nosić rozpuszczone – wyrwało się Adzie. – Dodają kobiecości.

Karolina nic nie powiedziała. Spojrzała zaskoczona na Adę.

– Ciastko gratis od firmy – powiedziała Adrianna, podając kawę wraz z waniliową babeczką oblaną kolorowym lukrem.

– No nie, biznes musi się kręcić – zaproponowała Karolina. – Kręci się jakoś?

Ada wzruszyła ramionami.

– Jakoś – powiedziała tylko i zamilkła. – Raz lepiej, a raz gorzej.

Karolina słuchała uważnie.

– A raczej gorzej – dodała Adrianna. – Ledwo na rachunki

wystarcza.

– To absolutnie nie wezmę babeczki w prezencie.

– Ech, jedna babeczka. – Ada machnęła ręką. – Wie pani, ja zawsze myślę, że dobro powraca. Jak się komuś coś miłego zrobi, to potem wróci z podwojoną siłą. I ja cały czas czekam. Aż wróci. Mam nadzieję, że dotrwam.

Karolina poczuła, że trzeba pomóc. O dziwo, w życiu kierowała się dokładnie tymi samymi zasadami. I też wciąż czekała.

– I co teraz?

– Nie wiem. – Ada usiadła przy stole z Karoliną. – Rachunki posegregowane, na te do płacenia natychmiast i te do płacenia bardzo natychmiast. Syn z nianią, jeszcze nie wiem, jak jej zapłacę... Za duży lokal mam. Po co mi na cukiernię lokal składający się z pięciu pomieszczeń. Jedno by mi wystarczyło. Już nawet zastanawiałam się, czy by nie podnając komuś tych pozostałych, tylko komu? Toć szewc w cukierni nie chciałby urzędować. A zresztą, kto dziś do szewca chodzi.

– Ja – odparła Karolina z uśmiechem. – A fryzjer?

– No fryzjer, ale z jedzeniem fryzjer? – zastanawiała się głośno Ada. – Nie pasuje mi to. A zresztą obok jest fryzjerka.

– Wiesz co? – zaczęła Karolina – Ojej, przepraszam. Wie pani co...

– Ada jestem. – Adrianna wyciągnęła rękę.

– Karolina, będzie łatwiej. – Uścisnęły sobie dłonie. – Napisz ogłoszenie. Że wynajmiesz na nieuciążliwą działalność.

– Ciężko mi to zrobić – wyznała z westchnieniem Ada. – Miałam plany...

– Plany są od tego, by je weryfikować.

– Może masz rację. Napiszę.

– Pisz.

– Teraz?

– A na co czekać? I tak to musisz zrobić, i tak.

Ada wstała po kartkę i długopis. Napisała na niej drukowanymi literami ogłoszenie.

– Przyklejaj na szybę.

Dziewczyna pokiwała głową i przykleiła białą kartkę na witrynie cukierni.

– Gdyby dołożyć dwie ścianki działowe, nawet mieliby osobne wejście... – zaczęła głośno się zastanawiać. – Mogłabym za to wziąć dwa tysiące. To tyle, co płacę za cały metraż... Byleby komuś fajnemu wynająć. Zaufanemu, kto głupot nie narobi. A ja właśnie robię...

– Nie robisz. Właśnie zaczynasz walczyć o swoje marzenia!

Adrianna uśmiechnęła się szeroko.

– Powinnaś być terapeutą.

– Jestem – odrzekła Karolina.

– No co ty?

– Jestem psychologiem, mam też gabinet.

– Na mnie krzyczysz, że za darmo babeczki rozdaję, a sama też kasy nie bierzesz za megaszybką terapię.

– To taka przysługa sąsiedzka.

– Dziękuję.

W tym momencie zabrzączał dzwoneczek przy otwierających się drzwiach i weszła kobieta, jedną ręką pchając wózek, a drugą trzymając rączkę drugiego malucha. Wyglądała, jakby nie spała trzy noce. Sądząc po kamiennym śnie dziecka w wózku, było możliwe, że w nocy nie zmrużyło ono oka.

– Nie, Mikołaju, nie kupię ci loda. Nie, Mikołaju, przyszliśmy po tort dla taty – uciszała synka. – Dzień dobry – przywitała się i uśmiechnęła blado. – Ja po tort dla męża. Chociaż nie wiem, czy zasługuje... Usiadła zmęczona na krzeselku.

– Kawki? – zapytała Ada.

– Nie dam rady z nimi kawy wypić. W życiu.

– Maammaaaa – rozdarł się starszy. Oczywiście obudził młodsze dziecko. Teraz już wyły w duecie. Natalia Kalinowska trzęsącymi się rękami otworzyła torebkę. Szukała portmonetki.

– Cicho, Miki, zaraz pójdziemy na spacer. Zosia... – Jedną ręką bujała wózek, a drugą szukała pieniędzy.

– Spokojnie – powiedziała Ada. – Miki, chcesz książeczkę? – Wzięła chłopca za rękę i dała mu książeczkę, którą ktoś zostawił w cukierni. Mikołaj się uspokoił. Karolina przejęła wózek od Natalii.

Energicznie bujała małe stworzonko w różowym ubranku. Włożyła mu smoczek do buzi. Mała natychmiast się uspokoiła i zamknęła oczy.

– Przepraszam... Ja chyba nie wzięłam portmonetki.

Natalia siedziała zmartwiona. Adrianna zawsze się zastanawiała, jak wygląda siedem nieszczęść, ale patrząc na dziewczynę, zdała sobie sprawę, że właśnie siedem nieszczęść widzi przed sobą.

– Dam pani tort, potem pani przyniesie pieniądze. Na spokojnie. Jak mąż będzie w domu.

– Nie, nie – kręciła głową Natalia. – On pewnie wróci bardzo późno, bo dużo pracuje...

– To przyniesie pani bardzo późno. Albo jutro – przekonywała ją Ada.

– Ale...

– Jakby pani nie dała rady do dwudziestej, to potem proszę zajść do mnie do domu. Mieszkam tuż nad cukiernią, tylko trzeba wejść od tyłu.

– O matko, dziękuję bardzo. – Natalia nawet nie zdążyła zauważyć, kiedy wypila kawę i zjadła ciastko.

Mikołaj siedział Karolinie na kolanach i oglądali wspólnie książeczkę, a Zosia spała zadowolona w wózku.

– Jak ja dawno nie miałam takiego spokoju. Ja już szybko piję i idę... – zwróciła się do Karoliny.

Karola się uśmiechnęła i powiedziała:

– Spokojnie. Proszę spokojnie wypić kawę. Ja swoich nie mam, więc lubię czasem czyjeś potrzymać na kolanach.

Natalia miała wrażenie, że znalazła się w raju. Nikt nic od niej nie chciał i na dodatek zrobił dobrą kawę i zajął się jej dziećmi. Chociaż przez tę małą, a jakże istotną dla zmęczonej matki chwilę. Kochała swoje dzieci nad życie, ale marzyła, by odpoczywać nie tylko w momencie, kiedy na krótką chwilę zamknie się w łazience (o ile w ogóle mogła być mowa o zamykaniu) w celu zaspokojenia swoich podstawowych potrzeb fizjologicznych.

Przez te pięć minut odpoczęła na tyle, by znowu móc podjąć wyzwania stojące na drodze matki Polki. Zapakowała tort z wizerunkiem swojego męża pielącego grządki (ukochane hobby Krzysztofa) na półkę na dole wózka, siłą niemalże ściągnęła Mikołaja z kolan Karoliny, błagalnym wzrokiem poprosiła o pożyczenie książeczki.

– Oddam później – szepnęła konspiracyjnie. – Razem z pieniędzmi. Dziękuję za wszystko. Do widzenia – pożegnała się i wyszła. Gdy zamknęła za sobą drzwi, przeczytała ogłoszenie o wynajmie lokalu. Wróciła z powrotem do cukierni.

– Nie zamyka pani chyba cukierni? – zapytała z przerażeniem.

– Nie, nie zamykam. Po prostu za duża jest...

– Rozumiem. – Natalia rozejrzała się wokół. Faktycznie przestrzenie były takie, że można się było gonić. Cukiernia składała się z pięciu pomieszczeń. Wchodziło się do niej przez spory wiatrołap, na lewo Adrianna ustawiła wielką ladę z pysznościami, po prawej stronie stało kilka stolików. Za ladą wchodziło się do jednego pomieszczenia. Wielkiego zaplecza. Kolejne pomieszczenie służyło za magazynek. Bardzo wielki magazynek, który miał swoją toaletę i miejsce na szatnię. Kiedyś Adrianna planowała tam urządzać wieczorki taneczne. No, ale

niestety. Nie uda się. Może kiedyś? W innym życiu? Westchnęła.

– Jak będzie ktoś szukał, to mu powiem. Warto to wynająć, choćby dla takiego sąsiedztwa – powiedziała Natalia. – Do widzenia.

Karolina z Adą uśmiechnęły się do siebie.

– Widzisz? Uda się. Zobaczysz. Tylko jak ja będę tu przychodzić, będę szersza niż dłuższa. I to jedyny minus tej cukierni. Reszta to same plusy – rzekła Karolina i roześmiała się.

* * *

Magdalena Kondracka ledwo co przyjechała do swojego rodzinnego domu, już miała ochotę stamtąd wyjeżdżać. Nie, że nie kochała swojej mamy, kochała ją bardzo, darzyła szacunkiem, tylko po prostu czasem nie potrafiły się dogadać. Jak tak rozmawiały sobie przy śniadaniu, nie mogąc się w zupełności porozumieć, Magda Kondracka po raz kolejny w swoim życiu stwierdziła, że wyjazd do Gdańska na studia i zamieszkanie w akademiku był jednym z najlepszych pomysłów, jaki miała w swoim życiu. Bo gdyby mieszkała podczas studiów w domu, to zapewne zamiast stomatologiem zostałaby psychiatrą.

– A dlaczego one nie noszą rajstop?

– Mamo jest piętnaście stopni.

– Na pewno jest im zimno. Jest luty.

– Dzieci jest wam zimno? – zapytała Magda.

– Nie, nie! – odkrzyknęły chórem.

– Babciuni kruszynki, jest wam zimno, prawda? – zapytała dzieciaki.

– Taaaak, taak! – głośno odpowiedziały.

– Biedne, zziębnięte dzieci – oświadczyła pani Krystyna, po czym manifestacyjnie poszła do drugiego pokoju po koc.

Magda westchnęła, gdy ta znikła za drzwiami.

– Ty mi tak nie wzdychaj. Pani Krystyna pojawiła się z powrotem zza drzwi, niczym duch. – Ja wszystko słyszę!

Po chwili wróciła.

– Dziecko, a może ty nie masz dla nich na rajstopki? Zadumała się.
– On samochody kupuje...

– Adam, mamó.

– No mówię, że on. – Krystyna Szyc generalnie nie używała imienia swojego zięcia. Nawet w Wigilię, gdy wszyscy się z założenia powinni miłować. Miłowanie wigilijne w wykonaniu pani Krystyny polegało na nieodzywaniu się wcale do onego, czyli Adama, a jak już nie było wyjścia, robiła to w formie bezosobowej: „niech przyjdzie, poda, pozamiata”. On. Oczywiście. Chociaż najlepiej jakby nic od niego nie chciała.

– Na którą idziemy do kościoła? – zapytała pani Krystyna.

– A... Niedziela dzisiaj... Mamó, a poszłabyś z dziećmi?

– A nie chcesz poznać naszego proboszcza? Młody, ale wydaje się człowiek porządny.

– Mama, ja już go widziałam. Przecież już kilka lat tutaj jest... I widać go parafia nie zepsuła. Ani parafianie...

– Magdusiu!

– No...

– Dziwny jest trochę. Podobno go widzieli, jak leży w trawie i śpiewa. Psalmy śpiewa. Na początku myślałam, że to nie uchodzi księdzu, w sensie takie zachowanie, ale potem pomyślałam, że przecież ksiądz wie najlepiej, jak się modlić, prawda? Kiedyś stara Kownacka też tak leżała i śpiewała, ale jej korzonki potem się odezwały i w związku z tym już tylko leżeć mogła. Przez tydzień. Ale w domu.

Coraz bardziej Magdzie się ten ksiądz podobał. Sama chętnie położyłaby się wśród kwiatów i pośpiewała piosenki. Nawet religijne.

– To idę sama z dziećmi – oznajmiła z westchnieniem pani Krystyna. – Nie mogę patrzeć, jak zły przykład im dajesz.

Magdalena Kondracka nie chciała dawać złego przykładu dzieciom. Może gdyby wiedziała, że proboszcz jest najbardziej przyzwoitym księdzem na świecie i sam wolałby odprawić mszę gdzieś na polu, a nie w zimnych murach kościoła, z przyjemnością by poszła. Teraz jednak czekała, kiedy naprawdę się położy w tej trawie.

Gdy tylko jej rodzina wyszła, pomna korzonków Kownackiej, wzięła ze strychu swoją karimatę, jeszcze ze studenckich czasów, śpiwór pachnący chyba wakacjami z epoki przed dziećmi i położyła się na trawie. Patrzyła w niebo i czuła się bardzo szczęśliwa. Mimo obdartego lakieru do paznokci i ręczniczka, który jej mąż chciał położyć na siedzenie. Miała rodzinę, wspaniałe dzieci. Patrzyła w chmury i była za to Temu, Który Tam Jest, bardzo wdzięczna. Była pewna, że się nie obraził, że nie poszła do kościoła recytować znanych od lat formułek. Chciała zrobić to po swojemu.

Po chwili zasnęła.

Po kilku sekundach, a przynajmniej tak się jej wydawało, obudziła ją mama.

– Dziecko, zmarzniesz. I tak już cię pierzyną przykryłam, bo stwierdziłam, że powinnaś sobie trochę odpocząć. Dzieciaki najedzone, rosół na ciebie czeka. Spałaś ze trzy godziny. Albo i cztery. A myśmy też się wymodlili. Wreszcie dzieciaki się przeżegnać potrafią, bo nawet ich tego nie nauczyłaś. Ale potrenowaliśmy to żegnanie.

Magda uśmiechnęła się i wstała z karimatki. To już nie te lata, by na płaskim tak spać. Chyba będzie niczym stara Kownacka cierpieć przez następne dni.

– Mamusiu, zjemy rosół i będziemy się zbierać...

– Dobrze, kochana, gołąbków wam narobiłam w słoiki.

Magda nie miała pojęcia, kiedy jej mama z tym wszystkim zdążyła. Dwoje dzieci, kościół, rosół, gołąbki w słoiku. Naprawdę nie wiedziała, w czym tkwi tajemnica tak doskonałej organizacji. I jeszcze porządek mama miała. Wszędzie.

– Och, mamuś, ja się chyba do ciebie wprowadzę... – powiedziała z podziwem Magda, po czym ziewnęła.

– Wiesz, kochanie, że zawsze ty i dzieci jesteście mile tu widziani.

– Wiem, mamusiu, wiem. – Przytuliła mamę.

Zjadła rosół, spakowała siebie i dzieciaki. Czas było ruszać w drogę.

– Pożegnajcie się z babcią – zarekomendowała.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha... – zaczęły chórem.

Nie ma to jak dobra edukacja.

Od najmłodszych lat.

Do widzenia. I w imię Ojca, i Syna też.

* * *

Zofia Kruk zadzwoniła do drzwi pod numerem piętnaście. Odpowiedziało jej wielkie nic, co Zofię zadziwiło, bo światło w pokoju Milenki było zapalone, a samochód stał przed domem.

Wyciągnęła zatem zapasowy klucz, który jej siostra dała „w razie czego”. I teraz to „w razie czego” zapewne nadeszło.

Weszła do mieszkania, obwąchując wszystko wokół. Wiedziała wprawdzie, że tlenek węgla jest bezwonny, ale czy to wiadomo? W nie takich sprawach naukowcy się pomylili.

Milenkę zastała w swoim pokoju, siedzącą bez ruchu i wpatrującą się w swoją bluzkę.

– Milaczku, wszystko w porządku? – zapytała spokojnie. Była przyzwyczajona do różnorodnych wybryków swojej siostrzenicy. Z tego, co wiedziała, z Jackiem się nie pokłócili, więc najgorsze można wykluczyć, chociaż wiadomo, że jak się jest młodym, różne rzeczy do głowy przychodzą. Sama Zofia Kruk, szczęśliwa mężatka od lat dwóch, cieszyła się, że trafiła na swojego Staszka właśnie w momencie, gdy już najgorsza durnota z umysłu wyparowała.

Milaczek nie odpowiadał.

– Milenko, co ty się tak wpatrujesz w tę koszulę? Kupiłaś sobie nową?

Milena pokręciła głową.

Zofia Kruk wyciągnęła z torby okulary, wszak była już panią w wieku niemalże podeszłym. Aczkolwiek, gdyby ktoś tak jej powiedział, obraziłaby się na śmierć.

– Przepis prania ci nie pasuje czy zapasowe guziki? – Zofia Kruk założyła okulary. – Milaczku, ta bluzka jest brudna od pudru! – zawołała.

Milaczek smętnie wzruszył ramionami.

– Dostałaś chociaż zniżkę na nią? Pewnie przy mierzeniu się ubrudziła.

Milenska zaprzeczyła.

– Dziecko, odezwiesz się czy nie?

Milena westchnęła. Sądząc po sile wzdechu oraz szlochu, który wydobył się z jej płuc, sprawa była bardzo poważna.

– Ja tak poszłam do pracy – oświadczyła nagle.

– Nie rozumiem. Z pudrem?

– Ciociu. Szłam do pracy, a za mną powiewał ten woreczek. Niczym te siki z cewnikiem.

– Jakie siki z cewnikiem?

- No, w szpitalu.
- A co ma szpital do tego, Milenko?
- Nic, ciociu. Szłam dumna, cała szczęśliwa, pewna, że mogę zdobyć świat, a tutaj te guziki w woreczku.
- Kochanie! – Zofia Kruk poczuła misję ratowania siostrzenicy. – Naprawdę czułaś tę moc?
- Naprawdę! Czulałam, że mogę wszystko!
- A teraz?
- A teraz nie mogę nic – odpowiedziała Milena i wzruszyła ramionami.
- Milaczku... – Zofia Kruk z trudnością oderwała żyłkę, która łączyła woreczek z koszulą. Wzięła w rękę woreczek.
- Co to jest?
- Cholerny woreczek.
- Zobacz, moja droga. Ten cholerny woreczek ma ci popsuć poczucie, że możesz wszystko? Czy on jest tego wart? Zobacz, dwa małe guziczki i kawałek folii.
- I przepis prania.
- I to w czterdziestu stopniach – dodała Zofia. – I to ma pokrzyżować ci plany bycia królową wszechświata? Chyba żartujesz, Milenko. Nie takie przeszkody już w życiu pokonywałaś, kochana. A z woreczka, moja droga, będziesz się kiedyś śmiać. Sama.

– Myślisz, ciociu?

– Ja to wiem. – Zofia Kruk się uśmiechnęła. – No dobra, a teraz porozmawiajmy o twoich nocnych eskapadach do Jacka.

– O kurde, skąd ciocia o tym wie?

– Od Zuzanki. Dzieciak cały przejęty, że cudzołożysz, hi, hi.

Milena była przerażona.

Ciociu, ale my...

– Dobra, dobra. Nie mów, że tego nie robicie. Jej chodzi zupełnie o co innego. Chodzi jej o to, że śpisz w cudzym łóżku. Trzeba by jakieś wspólne łóżko wam sprawić. W ogóle moglibyście pomyśleć o czymś wspólnym.

– Ale ciociu...

– Ciociu, ciociu. Twoja matka też mogłaby się określić. Siedzi w tych Bieszczadach i nawet się nie interesuje tym, że jej córka cudzołoży – zarechotała.

Milaczek westchnął po raz kolejny tego dnia i stwierdził po cichu, że jak dzisiaj się nie przytuli mocno do Jacka i sobie jeszcze mocniej nie pocudzołoży, to nie ma szans, by dobry humor wrócił. Ech, życie. Niby człowiek wymyka się w środku nocy, a tu i tak wszyscy wszystko widzą. Jakie to dziwne czasy. Raz się człowiek musi kryć przed rodzicami, a raz przed dziećmi. Jakby życie zataczało krąg.

* * *

Adam Kondracki marzył o urodzinach. Jego żona oświadczyła jednak, że żadnej imprezy nie będzie, wszak kupił sobie na urodziny czarne cacko i ten prezent powinien mu na jakieś pięć lat wystarczyć.

Smutnie przyznał się do tego, aczkolwiek żałował. Czterdzieste urodziny ma się raz w życiu. I są takie okrągłe. I przełomowe. I inżynier Karwowski też był czterdziestolatkiem.

Niesprawiedliwe.

Wśród jego znajomych posypały się zaproszenia na czterdziestki, bale niespodzianki, wyjazdy na Karaiby, a on cóż. Miał nowy samochód.

Może i lubił ten samochód, ale bawić się też lubił.

Tym bardziej, że wyglądał całkiem nieźle jak na tę czterdziestkę i bardzo chciał się pochwalić przyjaciołom (i przyjaciółkom również), jak to się dobrze trzyma. Niestety, przez kilkaset tysięcy złotych wydanych z ich wspólnego konta na czarne cudeńko musiał się obejść jak niepyszny. Cóż. Może chociaż żona mu tort zamówi na dole w cukierni.

Westchnął. Tort na czterdzieste urodziny. Bez imprezy. Nie podejrzewał żony o takie skąpstwo.

To on zwykle zaliczał się do tych oszczędnych.

Cóż. Uczeń przerósł mistrza.

Niemniej jednak było mu przykro. Chodził zatem do swojego samochodu posiedzieć przez chwilkę (oczywiście, o ile nie miał na sobie jeansów) i wtedy na moment zapominał o tej przykrości, jaka ma go spotkać. Rozkoszował się nowym samochodem, wmawiał, że chłopaki nie płaczą, i obiecał sobie, że na swoją czterdziestkę pójdzie na taką

imprezę z chłopakami, o jakiej im się nawet nie śniło.

Do czego to doszło, że musiał na to zbierać lewe pieniądze, by skąpa żona mu ich nie zagarnęła.



FEMINISTKI I TRUDNE TEMATY

Magdalena wpatrywała się w swojego męża, który prężył się przed lustrem. Oczywiście on nie zdawał sobie sprawy, że jego własna, od niemalże piętnastu lat żona wpatruje się w niego. Magda Kondracka już dawno podejrzewała, że męża dopadł wyjątkowo upiorny kryzys wieku średniego, ale nie spodziewała się, że przybierze on aż tak pokaźne rozmiary. W szczególności pokaźne w kłacie, gdy robił wdech.

Mężczyźni mieli takie tajemne możliwości, że potrafili na kilka dobrych sekund przesunąć sobie całą objętość brzucha w klatkę piersiową. Gdybyż ona tak umiała. To całe uda poszłyby w cycki. Ach, życie byłoby piękne.

– Tatusiu, wyglądasz jak superman! – wyszeptała Amelka na tyle głośno, że wszyscy byli w stanie usłyszeć.

Z Adama jakby ktoś natychmiast powietrze spuścił.

– O, już jesteście! – stwierdził skonsternowany. – Myślałem, że jutro będziecie.

– Jutro jest poniedziałek – powiedziała Magda. – Niektórzy muszą iść do przedszkola, a niektórzy pracują.

Magda pracowała na pół etatu w przychodni na gdańskim Przymorzu. Była stomatologiem. Bardzo chciałaby wreszcie otworzyć swój gabinet, ale po prostu nie miała kiedy się tym zająć. Mąż przejął na siebie obowiązki głównej maszynki do zarabiania pieniędzy, co w jakiś naturalny (oczywiście dla niego) sposób zupełnie go zwalniało z wszelakich obowiązków domowych. Dwoje dzieci, dom, ogród,

zakupy – wszystko było na głowie Magdy. Czasem siedziała sobie przy kominku, gdy już dzieciaki spały, a Adam był na dyżurze, i obiecywała sobie, że weźmie się w garść, przestanie wieczorami bezmyślnie grać w gry na Facebooku, tylko zajmie się czymś produktywnym, ale nie mogła. Była tak zmęczona, że jedynie na to miała siłę. A z kolei tak kochała swój dom, że szkoda jej było czasu, by tylko tam spać. Chciała też po prostu pomieszkać.

– No przecież teraz masz czas – mówił jej mąż około dwudziestej drugiej.

– Teraz jestem zmęczona...

– To idź spać.

– Adam, ale ja nie chcę tylko żyć po to, by pracować, zajmować się dziećmi i chodzić spać! Chcę wypić herbatę w moim ulubionym kubku i chcę chociaż trochę pożyć.

– Żyjesz, siedząc na fejsie? No proszę.

No, dziękuję.

Adam żył pełnią życia. Od roku chodził na siłownię. Regularnie. Codziennie rano, nim jeszcze zapytała, czy odwiezie dzieci do szkoły, już informował ją, że się spieszy, bo idzie na siłownię.

Ona wiozła dzieci do przedszkola, sama szybko jechała do pracy, zakupy i tak pół etatu mijało z prędkością światła, bo trzeba było odebrać dzieciaki. Wiadomo, że już o to nie poprosi, bo bała się, że znowu zapomni. Kiedyś pod przedszkolem spotkała męża koleżanki. Jeszcze z podstawówki. Odprowadzał swoje bliźniaki. Zawsze je zaprowadzał i przyprowadzał. Ewy nigdy nie spotykała. Aż kiedyś zapytała:

– A Ewa kiedyś tu bywa?

– Ewa? – zapytał zaskoczony.

– No, Ewa. – Magda przestraszyła się, że albo coś się stało, albo najnormalniej w świecie pomyliła imię.

– Nie. Ewunia nie jeździ autem – odpowiedział zupełnie normalnie.

Jak to nie jeździ? Magdzie nie mieściło się to w głowie. I zaczęła się zastanawiać, jak to byłoby pięknie, gdyby ona nie jeździła autem.

Adam zawoziłby dzieci do przedszkola, potem podrzucałby ją do przychodni, następnie wspólne zakupy i wspólne tachanie siatek. A ona tylko uśmiechałaby się i mówiła wszystkim:

– Mój mąż to załatwia. Bo ja nie jeżdżę.

Nawet jej przeszło wtedy przez myśl, że to równouprawnienie kobietom narobiło trochę krzywdy. Bo o ile kobiety weszły bardzo szybko we wszystkie role męskie, które do tej pory były zarezerwowane tylko dla facetów, o tyle faceci zupełnie nie czują się w pełnieniu funkcji kobiecych.

Ale widać są takie rodziny.

– Magdusia nie jeździ – powiedziała by mąż.

Oczywiście miała też takie koleżanki, które gdy miały okres, leżały przez tydzień w łóżku, a mąż skakał nad nimi i dogadzał im. Prawdę mówiąc, szczerze im tego zazdrościła.

Niemniej jednak kochała ten czas, kiedy w nocy puszczała sobie na głos muzykę i mknęła do Tesco czynnego całą dobę na zakupy. Mąż

w tym czasie regenerował siły.

– Bo wiesz, kochanie. Regeneracja jest tak samo ważna jak trening.

Ona trening miała głównie bicepsów. Noszenie siatek. Na regenerację jakoś nie wystarczało czasu.

Jej mąż oglądał namiętnie Hardkorowego Koksua na Youtube.

– Kochanie. Hardkorowy Koksua nie spożywa drobiu. On wpierdala ptaszka.

A ona te ptaszki tachała. Z Tesco czynnego całą dobę. Oczywiście, gdyby nie feministki, nie mogłaby głosować, nie mogłaby być lekarzem. A palicho. Mogłaby siedzieć w domu i zajmować się dziećmi. Robić im swetry na drutach, czytać romanse. Po cholere wnikać w brudny świat polityki. Tylko człowiek się denerwuje. A tak? Jest tyle „MUSZE”.

Do kitu z tym feminizmem. Pomyślała po raz kolejny tego dnia Magda, gdy z lodówki w sklepie wyjmowała cztery tacki z pierśią indyczą i cztery tacki z mięsem wołowym bez kości. Wszak Hardkorowy Koksua „stejki” też lubi.

* * *

Natalia Kalinowska aktualnie – miała jednak nadzieję, iż chwilowo – nie jadła mięsa. Ani wołowego, ani drobiowego. Dodajmy uczciwie, aczkolwiek mało kulturalnie, iż nie wpierdalała również ptaszka.

Córka Natalii, Zosia, miała uczulenie na wszystko. Natalia już nawet nie chciała patrzeć na żadne jedzenie, bo była przekonana, że wystarczy spojrzeć na coś niedozwolonego, a mała natychmiast dostanie

wysypki i zaczęnie się drzeć wniebogłosey. Tak też było i tym razem. Natalia wypija kawe z mlekiem i najwyraźniej zupełnie to nie odpowiadało jej córce. Mała darła się wniebogłosey, a że Natalia była wrażliwą istotą, płakała wraz z córką, ubolewając nad ich smutnym losem.

Taką sytuację zastał ojciec Natalii, który akurat wyprowadzał pieska, a skoro wyprowadzał pieska, to wypadałoby przy okazji zajrzeć do wnuczki, którą to widział tylko raz i to przez chwilę. Wnuczka już wydawała mu się na tyle duża (wszak miała ze trzy tygodnie), że można jej składać wizyty. Piesek oczywiście chętnie skorzystał z okazji spaceru ze swoim panem, gdyż zwykle był wypuszczany samopas i sam błąkał się po gdańskiej Zaspie. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie łudził się, że coś mu skapnie do jedzenia podczas tej wizytacji. Bardzo się rozczarował. Został zamknięty w przedpokoju i nawet go nie dopuścili do czegoś drącego się, różowego i bardzo ładnie pachnącego, aczkolwiek zupełnie nie konsumpcyjnie. Ale polizać toto, to by polizał. Parys Antonio siedział zatem smutny w przedpokoju i nasłuchiwał, co się działo za drzwiami. A działo się wiele.

Natalia siedziała i płakała. Trzymała na rękach córkę, która oczywiście też płakała. Obok siedział na podłodze syn, który nie wiedział, co się dzieje, więc dla towarzystwa zanosił się łzami. Ojciec Natalii, dystyngowany starszy pan, który na wszystkim się znał doskonale, aczkolwiek teoretycznie, nie za bardzo wiedział, jakimi światłymi radami obdarować córkę. Zatem przez chwilę nic nie mówił, a potem stwierdził po cichu:

– W tym domu nie ma nic z atmosfery radosnego macierzyństwa.

Na te słowa Natalia zanosła się jeszcze większym szlochem, a wraz z nią cała jej gromadka. Parys Antonio siedzący w przedpokoju zawył i zaczął głośno szczekać. Mikołaj przestraszył się psa, więc wpadł w jeszcze większą histerię. Histeria ta przestraszyła jego siostrę, a matka chyba już wyła z bezsilności.

– To ja... To ja już może pójdę – powiedział tata Natalii. – Nie będę, ekhm, wam przeszkadzał.

Wstał z fotela, czego oczywiście nikt nawet nie zauważył, wziął psa, który z wielką ulgą wyszedł z tego głośnego domu, i oddalił się na bezpieczną odległość od tego całego harmidru.

W cukierni na dole kupił lody dla siebie i oczywiście gałkę waniliową dla Parysa Antonia i tak sobie słodko siedzieli, rozkoszując się ich smakiem.

Natalia Kalinowska też chętnie zjadłaby lody. Zjadłaby wszystko, co nie było gotowanym ryżem z rozgotowaną marchewką. To miała wypróbowane. Innych rzeczy nie śmiała próbować.

Cóż. „Niektórzy oddaliby wszystko za miskę ryżu z marchewką” – pomyślała sobie. A ona oddałaby wiele, by tego nie jeść.

Cóż. Są gusta i guściki.

Parys Antonio z przyjemnością skosztowałby tego przysmaku.

* * *

Adrianna odbierała pierwsze telefony. O dziwo, było zainteresowanie wynajmem lokalu. Długi rosły z prędkością światła, a i panią Irenkę musiała wkrótce opłacić. Na szczęście pani Irenka była przyzwoita i nie zdzierała jak inne nianie.

Przynajmniej tak się Adzie do tej pory wydawało.

– Pani Ado – zaczęła niania Irenka, która właśnie wparowała do cukierni. Oczywiście wtoczyła się wraz z wózkiem. – Musimy

porozmawiać.

– Pani Irenko, ale ja teraz w pracy jestem...

– Wiem, pani Ado, ale już próbuję porozmawiać z panią od dwóch tygodni. I albo się pani spieszy, albo mi ostatni autobus ucieka.

– Coś się stało, pani Irenko? – Ada właśnie stawiała piękny niebieski wózek na tort. W wózku był misternie ulepiony z masy plastycznej niemowlak.

– No, stało się.

– Ojej? Pani mówi, ja tu tylko coś muszę poprzyklejać.

– Wszystko drożeje, pani Ado. Pani zobaczy, jaki u pani chleb drogi.

– Ma pani rację, pani Irenko – przytaknęła Ada, nieco bezmyślnie.

– No właśnie – skwitowała pani Irenka i zaległa cisza.

Ada tej ciszy nie przerywała, bo właśnie zastanawiała się nad tym, czy warto przyczepiać kocyk, który ulepiła, czy bobas jest tak śliczny, że zostawić go bez kocyka.

Cisza trwała. Przerwała ją pani Irenka.

– Chcę podwyżkę. O dwa złote za godzinę.

Zanim do Ady dotarła ta informacja, minęła dłuższa chwila.

– Pani Irenko? Ale... Ale ja nie mogę dać pani podwyżki... – Usiadła przy stoliku, obok pani Irenki. – Ja... Po prostu nie mogę.

– Pani Ado, proszę mnie zrozumieć. Ja muszę płacić rachunki.

Ada ją rozumiała tak, jak chyba nikt inny. Też musiała płacić rachunki. I to jakie.

– Nie mogę dać pani podwyżki – powiedziała jeszcze raz ze łzami w oczach.

– Pani Ado. Już ktoś mnie pytał, czy nie będę u niego... Trochę bliżej domu... Będę u Michasia do końca miesiąca, a potem zakończymy... – mówiła pani Irenka, nie patrząc Adriannie w oczy.

Ada siedziała zmartwiona.

Już nawet bobas w wózku się jej nie podobał.

Przykryła go ręcznie ulepionym kocykiem.

– Widzisz mały, wszystko jest okej, a potem niania cię opuści. A ty nawet nie zdajesz sobie teraz z tego sprawy.

Gdy skończyła tort, postawiła go w witrynce. Wieczorem ktoś miał po niego przyjść. Usiadła przy stoliku i napisała coś na kartce. Po chwili obok ogłoszenia o wynajmie lokalu, wisiało ogłoszenie o treści: „Szukam niani dla rocznego chłopca. Wiadomość w cukierni”.

Nie wychodziło jej to życie. Jasne, była zdrowa, miała wspaniałego syna i realizowała marzenia w kawiarni. Ale czy ktoś wyżył z marzeń? Intuicja podpowiadała jej, że tak. Wciąż miała nadzieję, że cukiernia zacznie lepiej prosperować. Do tej pory rano przychodziło trochę klientów po pieczywo, potem wieczorem po pracy. Adrianna marzyła, by to wewnątrz tętniło życiem. Ale co to za kawiarniane życie, jak tu na osiedlu same matki i wolą z dziećmi na plac zabaw chodzić. A jak deszcz pada, siedzą w domu. Takie matki to chyba nie jest dobry kandydat na klienta.

Nawet nikt na randki tu nie przychodzi. Bo wszyscy tu już pożenieni. Faceci pracują, kobiety na ławkach siedzą, często z cyckami na wierzchu, karmiące. Idylla gdańskiej sypialni. A w cukierni cisza. Może jak te dzieci podrosną, ciastka będzie się im kupować. Ale jak przetrwać ten ciężki okres? Przecież też trzeba płacić rachunki, jak to powiedziała pani Irenka. I to dość spore.

Koniec miesiąca za tydzień. Może coś się da wymyślić do tego czasu.

* * *

Przedszkole Kolorowe na Matemblewie było już drugim przedszkolem, jakie zlitowało się i przyjęło Michałka, zwanego przez wszystkich „Niuniem”, i Amelkę Kondrackich w swoje mury. I na dodatek, jak twierdziła dyrekcja, widziało w ich dzieciach POTENCJAŁ. Bardzo to ucieszyło Magdę, a nawet więcej, zaskoczyło, a Adam jak zawsze był pewny zarówno swojego potencjału, jak i swoich dzieci.

Amelka i Michał byli swoimi przeciwieństwami. Amelka czarnowłosa, Michał niebieskooki blondyn. Amelka cicha i bardzo zrównoważona, Michała nie można było zostawić na chwilę samego. Niemniej jednak dzieci były inteligentne i na pierwszych zajęciach w starym przedszkolu Michał oświadczył swojej wychowawczyni:

– Dziewcinki mają poche, a chłopci penisia.

Cała grupa żuczków zarechotała dźwięcznie, a pani wyprowadziła syna ginekologa z sali i natychmiast zadzwoniła po rodziców. Tym razem Adam Kondracki poczuł się wezwany do tablicy i udał się do przedszkola wraz ze swoją żoną Magdą, która wyjątkowo się tej rozmowie wyłącznie przysłuchiwała, gdyż dotyczyła działu medycyny

kompletnie nieleżącego w jej kompetencjach. Ona zwykle zaglądała do środka od góry.

– Pański syn oświadczył mi, że chłopcy mają pochwę, a dziewczynki pe-pe-nisa – jąkała się spłoszonym głosem nauczycielka.

– Niemożliwe! – powiedział Adam, nie dowierzając. – Mój syn w życiu by tak nie powiedział!

– A jednak. – Nauczycielka wyglądała na zdruzgotaną. – I to przed całą grupą.

– Trzeba ten błąd naprawić! – powiedział stanowczo pan Kondracki.

– Ale jak?

– No powiedziec im, że jest odwrotnie. Służę materiałami. A z synem pogadam i mu wszystko wytłumaczę. Plansze jakieś przywieźć?

– Jakie... Jakie plansze? – jąkała się coraz bardziej nauczycielka. – Jak to odwrotnie?

– No, odwrotnie, faceci mają penisy, a kobiety pochwy. A plansze z budową organów męskich i żeńskich.

– Ale pan mnie zupełnie nie zrozumiał...

– No, wydaje mi się, że doskonale rozumiem.

– Michałek powiedział „penis” i „pochwa”.

– No, a jak miał mówić?

– Są różne określenia... No... Siusiaczek... Ptaszek...

– Pani droga, w medycynie nie ma takiego określenia. Proszę, uczmy dzieci prawidłowo...

Tu nastąpił długi wywód na temat nazewnictwa i roli poszczególnych narządów płciowych. Magda się wyłączyła i zastanawiała nad tym, czy uda się jej załatwić wszystkie papiery, by od początku miesiąca ruszyć z prywatnym gabinetem, a pąsowa twarz pani nauczycielki stopniowo przechodziła już w kolor mocno purpurowy.

Adam Kondracki był przekonany, że osiągnął zwycięstwo w temacie pochwy i penisów, ale niestety, okazało się inaczej. Któregoś dnia Michaś przyszedł z przedszkola do domu i oświadczył obrażony:

– Tata. Okłamałeś mnie. Chłopcy mają siusiaki, a dziewczynki siusiawki.

Adam Kondracki się wkurzył i zaczął szukać innego przedszkola. Pierwszym właśnie było przedszkole na Matemblewie. Zadzwoił tam zaraz, gdy tylko znalazł numer.

– Dzień dobry, Adam Kondracki.

– Dzień dobry.

– Czy akceptuje pani to, że dziewczynki mają pochwy, a chłopcy penisy? – zapytał prosto z mostu.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Halo? – powtórzył. – Słyszała pani moje pytanie?

– No, oczywiście, że akceptuję... Chodzi, chodzi panu o sprawy związane z gender?

– Gender, nie gender. Ja w to nie wnikam. Najważniejsze, że się dogadaliśmy. Proszę mi zatem poopowiadać o przedszkolu. Ale tak dla formalności. Pięciolatka i trzylatek. Mała jest grzeczna, a nasz Niunio... No... Trochę mniej.

– Nie ma niegrzecznych dzieci, trzeba tylko do nich odpowiednio trafić.

– O właśnie. Trafić. – Adam Kondracki zaczynał zastanawiać się, czy rozmówczyni nie wydaje zbyt pochopnie opinii na temat jego potomka. Ale okej. To ona ma się znać na edukacji i wychowaniu dzieci, nie on. On się zna na tym, że kobiety mają pochwy, a mężczyźni penisy. I będzie tej prawdy bronił jak Kopernik tej, że Ziemia jest okrągła. I tyle.

* * *

Karolina próbowała godzić kolejne małżeństwo. Była w tym naprawdę niezła. Czasem tak sobie myślała, że gdyby tych dwoje ludzi pogadało po prostu ze sobą, tak jak siedzą i gadają z nią, to może sami by się ponaprawiali. A tak siedzieli i rozmawiali, często nawet o sprawach bardzo intymnych, a ona słuchała. Czasem zadawała właściwe pytania. I właśnie te pytania często otwierały serca. Ludzie sobie przypominali, dlaczego kiedyś kochali, dlaczego ich kiedyś kochano. Najbardziej lubiła te chwile, gdy już nie była im potrzebna. No, może z punktu biznesowego nie było to dobre, ale zawodowo czuła się wtedy spełniona. Nie było tak, że wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Tym, u których nie było małżeńskiego happy endu, pomagała się rozstać w przyjaźni. Albo chociaż w stanie, który nie charakteryzował się skakaniem sobie do oczu. Pomagała normalnie rozmawiać i zachowywać się tak, by nie ucierpiały dzieci. I by pamiętały, że to, że rodzice nie mieszkają razem, nie oznacza, że ich nie kochają. Czasem przekonanie małego człowieka do zwykłego życia, gdy rodzice się rozstają, było bardzo trudne.

Miała takiego pacjenta. Marka. Przychodził z synem, potem nawet sam. Dwa razy wydawało jej się, że próbował zaprosić ją na kawę. Ale miała zasadę. Nie umawiała się z pacjentami. Albo terapia, albo randki. Jej zdaniem nie można było pogodzić tych dwóch spraw. Zasada rzecz święta i należy jej przestrzegać. Albo facet, albo pacjent. Najgorsze było to, że co umawiała się z kimś, to zaraz stwierdzała, że delikwent nadawałby się na terapię. I to długotrwałą. A to, jak wiadomo, dyskwalifikowało delikwenta.

Wracając z pracy o dwudziestej trzeciej (została podwieziona do domu przez pacjentów, którzy gadali pięć godzin i nie mogli się nagadać), zauważyła, że na drzwiach kawiarni wisi druga kartka. Ada szuka niani. A co ze starą nianią? I co z cukiernią? Ziewnęła. Chyba już dziś nie poćwiczy. A tak jej dobrze to zwykle robiło. Dopiero przed czterdziestką uwierzyła w osławione endorfiny. Chętnie poszłaby gdzieś na zajęcia zorganizowane, ale nie miała kiedy. Pozostało jej samotne ćwiczenie w domu o bardzo dziwnych porach. A może jednak poćwiczy? Poczyta sobie jeszcze magisterkę, a potem poćwiczy. Najpierw praca, potem przyjemność.

Weszła do domu, wcześniej dokładnie wycierając buty. Zdjęła je. Z szafki wyciągnęła kaptcie, a na ich miejsce postawiła buty. Płaszcz powiesiła na wieszaku w szafie. Poszła przywitać się z kotem, wszak nie widziała go długo, i dopiero poszła zrobić sobie herbatę.

Może dlatego jest sama, bo nasłucha się od swoich pacjentów o różnych fatalnych związkach?

I może dlatego nie chce się angażować?

Nieprawda. Może by i chciała. Ale nie ma obiektu. Albo większość potencjalnych obiektów nadawałaby się do szeroko rozumianego użytku dopiero po długotrwałej terapii. A jak wiemy, potencjalnego narzeczonego Karolina nie zamierzała terapeutyzować.

Poczytała dwa rozdziały, ziewnęła głośno i włączyła Mel B.

Uda i pośladki.

Oczywiście rozwinęła matę do ćwiczeń, otworzyła szeroko okno i dopiero poczuła, że żyje.

* * *

Godzina pierwsza trzydzieści.

Natalia karmiła Zosię. Chyba jakiś okres wzrostu, bo mała budziła się co dwie godziny. Dziwne. Na czwartym piętrze znowu było zapalone światło i szeroko otwarte okno. Może by to zgłosić?

Spojrzała na Krzycha.

– Krzychu, tam znowu jest otwarte okno.

– Hmhm... – zamruczał mąż przez sen.

Do niczego to wszystko. Gdy miałyby ochotę z kimś pogadać, ktoś śpi. A jak ktoś, czyli mąż, wraca z pracy, to ona jest już tak zmęczona, że nawet jej się gadać nie chce.

Zosia zasnęła przy piersi.

Literatura mówi, że absolutnie nie należy pozwalać dziecku zasypiać przy piersi.

Bo się przyzwyczai.

Natalia o drugiej w nocy literaturę miała w głębokim, jak to się

mówi, poważaniu. Chciała się po prostu wyspać. Delikatnie wstała. Bała się poruszyć, by małej terrorystki znowu nie obudzić. A w książkach piszą, że jak zaśnie, delikatnie pogłaskać po policzku, by się obudziła.

W życiu.

O drugiej w nocy się śpi. Nie budzi. Nie je.

„Jedzenie o drugiej w nocy jest cholernie niezdrowe” – pomyślała Natalia. A może by tak od noworodka zadbać o prawidłowe nawyki żywieniowe?

Spojrzała na córkę.

Ta słodko spała, jakby uśmiechając się.

Natalia usiadła przy łóżeczku, wpatrując się w swoje szczęście.

Jakie to dziwne, że wtedy kiedy dzieci śpią, kocha się je najbardziej. Można godzinami na nie patrzeć.

Natalia natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Poczowała się złą matką, bo pozwoliła dziecku zasnąć przy piersi, a eksperci przed tym przestrzegają.

Wychowa swoją córkę na terrorystkę. Już nigdy, przenigdy mała sama nie zaśnie. Już zawsze będzie musiała mieć w buzi cycek, a ona, Natalia, będzie uwiązana wieczorami w domu, bo mąż stwierdzi, że przecież nie ma cycków, to dziecka nie uśpi.

Młoda mama obiecała sobie, że nigdy więcej nie pozwoli zasnąć córce przy piersi. Będzie je budzić brutalnie, by zasypiało samo, jak przystało na grzeczne dziecko.

Ziewnęła. Wstała z łóżka jeszcze raz. Poszła do pokoju Mikołaja.

Przykryła go, pogłaskała. Przytulał się do swojej ukochanej zabawki. Kiedyś mu ją uszyła. Dziwne, zabawek zatrzesienie, a właśnie tę sobie upodobał.

Wróciła do łóżka. Dwie, trzy godziny snu. Aż Zosia znowu zapragnie jeść. Natalia zamknęła oczy i natychmiast pogrążyła się we śnie.

* * *

W domu Jacka i Zuzanny Wolickich o czwartej rano znowu zadzwonił budzik. Zuzanna przykryła głowę kołdrą. Ale nie. Ma misję do spełnienia. Poczekała, aż zamkną się drzwi za Milenką, wstała z łóżka i podreptała do ojca do pokoju.

– Obudź się. – Szturchnęła go. – No obudź się.

– Która godzina? – zapytał przerażony. Potem spojrzął na puste miejsce obok i odetchnął jakby z ulgą.

– Już poszła.

– Kto poszedł?

– Milenka już poszła. Słyszałam. Nie rozumiem, czemu ona idzie, ale świat dorosłych jest bardzo, bardzo dziwny. Czwarta trzydzieści.

– Dziecko, daj mi pospać.

– O nie, tata. Musimy ratować Milenkę przed piekłem.

– Przed piekłem?

– Dokładnie – potwierdził Bachor. – To co? Zrobię może kawki

i ci przyniosę?

Jacek Wolicki usiadł na łóżku. Tak się zastanawiał, czy to dziecko kiedyś przestanie go zaskakiwać, i za bardzo nie miał pewności, że w ogóle to kiedyś nastąpi.

Zuzanka pobiegła do kuchni, uderzając bosymi stopami o parkiet.

– Kacie! – zawołał z przyzwyczajenia.

– Już, już.

Po chwili weszła z kawą, dokładnie taką, jak lubił.

W dłoniach trzymała jakieś gazety.

– Widzę, że już przeglądałeś – stwierdziła. – Koło sedesu położyłam. Wiedziałam, że to dobre miejsce.

– A co to właściwie?

– No jak to co? Pierścionki!

– No rozumiem, ale po co? I jaki związek ma z tym piekło i Milenka?

– Oj, tata, Zosieńce też musiałam wszystko tłumaczyć i powiedziała, że jak się zaręczycie, to kupi wam łóżko.

– No, ale my mamy łóżko.

– Nie, tata, ty masz łóżko. Milenka tu cudzołoży.

– A ja nie cudzołożę? – wymknęło się Jackowi.

– Tata, przecież ty śpisz w swoim łóżku! – Zuzanna była rozdrażniona.

– Acha – potwierdził na wszelki wypadek Jacek, przerażony, do czego ta rozmowa prowadzi.

Zuzanna szukała czegoś w kieszeni szlafroka.

– O, mam. Wyciągnęła pierścionek z niebieskim oczkiem.

– Co to?

– Pierścionek Milenki. Dostałam od Zosieńki. Zabrała go jej – powiedziała Zuzanna, ale widząc minę ojca, dodała: – No tata, przecież zabrała na chwilę! Pożyczyła! Nie ukradła. Bo też by do piekła poszła. Jak Milaczek za cudzołożenie.

– No, ale po co?

– Nie uważasz, że już czas, byś kupił pierścionek z brylantem?

– Jak to?

– No zaręczynowy! Wiesz, Zosieńka mi wytłumaczyła, że nawet jak się ożenicie, to to łóżko, co było przed ślubem twoje, nadal będzie twoje i Milaczek nadal będzie cudzołożył. Ale powiedziała mi też, że jak się zaręczycie, to ona wam kupi łóżko. Zupełnie nowe. Na spółę. Ja tak sobie myślę, że biedna Milenka zdaje sobie sprawę z tego cudzołożenia i myśli, że jak będzie to robić w nocy, to Bóg tego nie zauważy. Ale tata, może lepiej jej nie mówmy, że Pan Bóg wszystko widzi? Nawet to, co w nocy robimy? – powiedziała i popatrzyła na ojca zatroskana.

Jacek Wolicki chrząknął. Prawdę mówiąc, wolałby, by jego nocnych wyczynów nikt nie podpatrywał, nawet (a może w szczególności) Pan Bóg, ale cóż miał robić. Przyznał Zuzance rację

i obiecał sobie, że porozmawia z Milenką o chwilowym zaprzestaniu nocnych eskapad.

– To co? Zobacz, tata. Moglibyśmy razem mieszkać, trochę tu mało miejsca, ale dalibyśmy radę. Gorzej, jakby się pojawiła na świecie moja siostra.

– Siostra? – zakrztusił się kawą. – Zuzanko! Czy ja o czymś nie wiem?

– No przecież to zupełnie normalne, że jak dwoje ludzi bierze ślub, to potem jest dziecko. – Zamyśliła się i jakby posmutniała. – Czasem najpierw jest dziecko, a potem mama ucieka...

– Zuzanko...

– No widzisz? A tak, to bym mogła sobie wyobrazić, że Milenka to jest moja mama. I mogłaby chodzić do mnie na wywiadówki, bo ty nigdy nie masz czasu.

Jacek chciał już coś powiedzieć, ale jego córka mu nie dała dojść do słowa.

– No dobra. To już załatwione. Zrobisz mi śniadanko? Mamy dużo czasu, więc nawet może być jajecznicą.

* * *

Jacek Wolicki był atakowany. Z kilku stron atakowany. Najpierw atak przypuścił na niego Bachor, jego własna pierworodna. Potem atakowało go wszystko ze wszech stron.

Zaczął się, gdy poszedł do pracy i zadzwonił kolega z propozycją fuchy po godzinach. Lubił fuchy, bo były to takie, jak to on nazywał,

FAŁSZYWE pieniądze. Nie były fałszywe, oczywiście, ale były takie, jakich się zupełnie nie spodziewał, wpadały nagle i zwykle była to dość pokaźna suma.

– Na pierścionek zaręczynowy jak znalazł.

– Jaki pierścionek?

– No, dla ciebie.

Jacek zmarszczył czoło. Może przeszedłby nad tym do porządku dziennego, ale fucha dotyczyła portalu informacyjnego o weselach i zaręczynach. Chcąc nie chcąc, poczytał sobie nieco i nie mogło mu to wypaść z głowy. Romantycznie i nastrojowo. I koniecznie brylanty.

Dobra, zajmie się tym w domu.

Myślał, że to już koniec ataków, ale spotkał na korytarzu płaczącą wniebogłose asystentkę dyrektora. Jak każdy w miarę przyzwoity człowiek (a za takiego się uważał) zatrzymał się, chcąc nieco ulżyć niebodze, a nieboga zaszlochała jeszcze głośniejsze i wyjęczała bardzo smutno, że płacze ze szczęścia.

Jacek Wolicki nic nie rozumiał. Okazało się, że niewiasta otrzymała właśnie pierścionek zaręczynowy i to kurierem do pracy wraz z bukietem czerwonych róż.

Jacek Wolicki pomyślał, że facet stchórzył. Bo przecież musiał stchórzyć, skoro bał się powiedzieć swojej wybrance, że ją kocha i chce się z nią ożenić. Musiał się bać, skoro kuriera do niej wysłał. Jacek nawet coś o tym napomknął, ale dziewczyna spojrzała na niego, jak na idiotę, po czym stwierdziła, że to właśnie jest romantycznie. I najlepiej na świecie, że tak przez kuriera.

Nic. Musi poczytać ten portal, by nie wyjść na głupiego.

O Boże, o czym on myśli w ogóle? Jakie zaręczyny?

Nieźle go córka omotała. Nieźle go Milenka omotała. Same baby wokół.

Motają i rzucają uroki.

Jacek Wolicki był ciekaw, czy ten pierścionek po prababci Wolickiej to był z brylantem. Dawno go nie oglądał. Leżał wśród skarbów w szkatułce w komodzie. Musi sprawdzić. Babcia mówiła, że był bardzo drogi, ale to mogła być rodzinna legenda.

Ładnie by Milenka wyglądała w tym pierścionku.

Zaczął snuć marzenia dotyczące wspólnego zamieszkania. Faktycznie. Mieszkanie trzeba by zmienić.

Na większe. Może cztery pokoje?

Niewiele się namyślając, wpisał w Google „mieszkanie cztery pokoje sprzedaż”.

Wyskoczyły mu na pierwszym miejscu „cztery słoneczne pokoje na Osiedlu Myśliwskim”. O, to gdzieś tam mieszka ciotka Zosia. Miałyby blisko. A jego mieszkanie się sprzeda. Bo nowe życie trzeba zaczynać od nowa, a nie w mieszkaniu, które pamiętało jeszcze matkę Zuzanny, o której on i jego córka dawno już zapomnieli.



GŁASKANIE FIGURKI BIEGACZA MA ZWIĄZEK Z LALECZKAMI VOODOO – TYLKO ODWROTNIE

Adrianna wstała niewiele później, niż Natalia poszła spać. Tak to mają karmiące matki o trzeciej czterdzieści pięć. O czwartej jej telefon zaśpiewał *wake me up before you go go* i Ada postanowiła wstać natychmiast.

Dziś miała w planie skończyć tort na trzydzieste piąte urodziny jakiegoś osiłka. A przynajmniej maratończyka, bo na torcie była figurka biegacza, napis meta i czas 3:30. Widać biega chłopak. Ze zdjęć, które dostała, wykreowała z masy plastycznej umięśnionego mężczyznę. Zastanawiała się, czy ten na zdjęciach bardziej się jej podoba, czy ten z cukru.

Poprzedniego dnia, gdy lepiała jego obcisłe biegowe spodenki, chwilę się zawahała. Uśmiechnęła się, po czym dołożyła masy w wiadomym miejscu. Niech chłopak ma. Co mu będzie żałować.

Teraz musiała wstać, by nałożyć masę na tort i poprzyklejać figurki.

Zawsze robiła to rano. Chciała, by jej wypieki były najświeższe, jak to tylko możliwe. Klienci zawsze byli zadowoleni.

Okolo szóstej obudził się Michałek. Ada westchnęła. Dlaczego małe dzieci budzą się zawsze wtedy, gdy powinny jeszcze trochę spać? A gdy trzeba je rano obudzić, spałyby do dziesiątej... Przewinęła synka, ubrała go w prawdziwe spodnie – mimo że miał zaledwie roczek, uznawała, że śpiochy służą, jak sama nazwa wskazuje, wyłącznie do spania.

Posadziła go w wysokim krzeselku przy stole, dała butelkę z kaszą, a sama dalej kleiła ozdoby. Kiedyś będzie to robić z Michałem. Uśmiechnęła się. Trochę trzeba poczekać. Ale już niedługo.

Po ósmej miała przyjść pani Irenka. Jeszcze kilka dni. Co potem? To się dopiero miało okazać.

Ada skończyła tort kilka minut przed przyjściem opiekunki.

Umyła się, przebrała i zeszła na dół do kawiarni.

– Kiedyś naprawdę zrobię tu schody – mruknęła, wychodząc z mieszkania. Uważała, by nie upuścić kartonika z tortem, bo dość już miała życiowych porażek. Na jakieś jedno życie.

– Jak dzisiaj? – zapytała Anię, która jej pomagała w cukierni. Sprzedawała, gdy Ada nie mogła się tym zająć.

Ania wzruszyła ramionami i odparła:

– Nic specjalnego. Ta terapeutka wzięła kawę na wynos, poza tym kilka drożdżówek, jedna kanapka... Ale mam zamówienie na tort.

– Znowu cienko...

– A! – Ania sobie coś przypomniała. – Przyszła jeszcze jakaś baba w sprawie wynajmu... Ale powiem ci, że jej źle z oczu patrzyło.

Adrianna zmrużyła oczy.

– To znaczy?

– Nie podobała mi się. Po prostu źle.

Ada już się zastanawiała, czy byłaby w stanie wynajmować pomieszczenie obok komuś ze zdecydowanie złym wzrokiem. Już nawet doszła do wniosku, że jej to zwisa i powiewa, bo pieniądz nie rozpoznaje złego wzroku, ale dała się jednak przekonać Ani, że warto jeszcze chwilę poczekać. Oczywiście w miarę jak mijał dzień, znowu zaczęła się zastanawiać, czy nie oddzwonić do kobiety, bo co kobieta winna, że tak patrzy, jak patrzy.

Nie było to konieczne.

Drzwi do kawiarni otworzyły się i weszło stworzenie. Stworzenie to było kobietą. Może gdyby zdjęło z siebie to złoto, plastik i cyrkonie, byłoby nawet całkiem ładną niewiastą, niestety toto myślało, że ozdóbki przywieszane do niej wszędzie, gdzie się da, dodają jej niewątpliwego uroku.

Och, jakże się myliło.

Stworzenie nie powiedziało „dzień dobry”, oznajmiło natomiast, iż nazywa się Roksana, i zapytało nerwowo, czy wreszcie jest właścicielka, bo ona nie ma czasu na latanie.

Właścicielka właśnie wygładzała przyrodzenie pana biegacza, bo jakby to powiedzieć, trochę frywolnie się odginało, a jak wiadomo, jest to ostatnia rzecz, o jakiej myśli maratończyk na mecie. Więc nie może być nieprawdziwie. Biegacz musi myśleć o bieganiu, a z frywolnie odstającym przyrodzeniem zapewne myśli o czymś innym.

Zmarszczyła brwi i pytająco spojrzała na Anię.

Ania bezgłośnie coś próbowała odpowiedzieć, ale niestety Adrianna jej nie rozumiała.

– Dzień dobry – powiedziała głośno. – Adrianna Olechowska. Właścicielka.

– Wreszcie pani dotarła do pracy – rzuciło stworzenie i uśmiechnęło się słodko. – Lepiej późno niż wcale. – Wyjęła kalendarz ze swojej torebki. – Chcę wynająć te dwa pomieszczenia. Ale od razu mówię, za więcej niż dwa tysie to nie da rady.

– Koszt wynajmu to trzy tysiące plus opłaty – powiedziała Adrianna.

– Dogadamy się przecież. Dwa tysie daję i jesteśmy kwita.

– Nie, proszę pani. A w ogóle jaką działalność pani chce prowadzić w moim lokalu?

– Masaże.

– Nie. To nie jest lokal na masaże. W żadnym wypadku.

– Jak to nie?

– Po prostu.

– Nie rozumiem. Dwa tysie daję i od jutra mogę zacząć.

– Nie proszę pani. Dziękuję bardzo. Do widzenia – zakończyła rozmowę Ada i uśmiechnęła się, może nieco sztucznie.

Stworzenie wstało, zerwało z krzesła lakierowaną torebkę i trzasnęło drzwiami.

– O Boże – jęknęła Adrianna.

– Widzisz? Już teraz wiesz, co miałam na myśli, mówiąc, że jej źle z oczu patrzyło.

– No. Świdrowała oczami wte i wewte. Aniu, nigdy tego nie wynajmę. – Westchnęła. – Niania chce podwyżki, ja jej nie mogę dać... Nie wiem, co z Misiem. Normalnie chyba będę do pracy z nim chodzić i mi go odbierze opieka społeczna.

– Myślisz, że byłoby mu tu źle?

– Nie, chyba nawet lepiej niż z nianią... Ale jak to z dzieckiem do pracy?

– Oj tam. Pomyśl sobie o Afrykankach.

– O Afrykankach? – Ada spojrzała pytająco.

– No tak, zobacz, pracują na polach, robią różne dziwne rzeczy, a dzieci zawsze mają na plecach w chustach. I żyją.

– No tak, ale czy tam jest opieka społeczna?

– Czyste będzie? Będzie. Najedzone? Bardzo. A na dodatek się uodporni na zarazki, jak będzie dużo ludzi, i nauczy się nawiązywać relacje międzyludzkie.

– No tak – przyznała Ada. – Z tym jego mama zawsze miała kłopoty.

– Bez sensu masz wydać dwa tysiące na nianię na cały etat. Bierz ją sporadycznie. A dwa tysiące weź za wynajem tej części – powiedziała i wymownie wskazała głową. – Naprawdę chcesz za to trzy tysiące?

Ada wzruszyła ramionami.

– Nie podobała mi się, to powiedziałam więcej. Jak ktoś mi się spodoba, powiem mniej.

– O matko, Ada. Nie wiem, jak ty ten biznes prowadzisz. Mam nadzieję, że nie będzie tak źle, że mnie wywalisz...

Ada pokręciła głową.

– Dopóki ty ze mnie nie zrezygnujesz, to nie.

– Będzie dobrze. Zobacysz – zapewniła Ania. – Ale przestań pieścić przyrodzenie biegacza, tylko zabierz się do roboty.

– Trochę szacunku dla pracodawcy. – Ada się roześmiała. – Zazdrościsz?

– Jasne, ja wolę w realu. Też byś mogła wyluzować i sobie kogoś znaleźć.

– Chwilowo mi się odechciało. Mam pracę, mam syna. Jestem spełniona.

Adrianna Olechowska była przekonana, że tak właśnie jest. Nie spodziewała się, że wkrótce za sprawą pewnego... biegacza jej pomysł na życie ulegnie znacznym modyfikacjom.

* * *

W nowym gabinecie Magdy Kondrackiej zamieszkał fotel. Fotel był wypasiony i wydawałoby się, że tylko kawy nie parzy. Sam zębów też nie wyrywał, ale może jakby dokupić do niego jakąś nakładkę, to by i jakiś trzonowy usunął.

– Trochę podobny do mojego – skwitował Adam Kondracki, gdy wspólnie z żoną zatachał go do gabinetu. Znalazł chwilę pomiędzy samochodem, siłownią i pracą, do której chodził. Oczywiście nie bezinteresownie, ukruszyła mu się jedynka i miał w związku z tym

straszna depresję. Wizualizował sobie siebie bezzębnego i widok ten w jego mniemaniu był niewiarygodnie przerażający.

– Jak to podobny do twojego? – zdenerwowała się Magda.

– Po prostu. Co za różnica, ty zagładasz w dziurę górną, a ja w dolną.

Magda zmarszczyła nos. Postanowiła jednak nie odpowiadać. Gabinet już był przygotowany, czekała tylko na fotel.

– Wskakuj – powiedziała do męża. – Sprawdź, co i jak, a potem ci zrobię, bo nie mam chyba tu jeszcze wszystkiego.

– Jak to potem zrobisz? – Adam był przerażony.

– No, potem nadbuduję. Prawie tego nie widać.

– Jak to nie widać?

– Nie widać. Zakleję ci to jutro albo pojutrze. Ale muszę mieć czas na ogarnięcie gabinetu.

– Przecież masz. Pracujesz tylko na pół etatu.

– No właśnie. Ale na cały etat, a nawet nadgodziny mam dzieci, którymi ty się nie zajmujesz.

– Taka rola matki.

– I ojca. Jak mam ci zrobić zęby, odbierzesz je z przedszkola, położysz do łóżka, a przedtem wykąpiesz i dopilnujesz, by umyły zęby. Acha i kolacja.

– Jaka kolacja?

– Kolacja. Takie trudne?

– No nie. Absolutnie.

Adam Kondracki był w stanie zrobić wszystko, by nazajutrz nie mieć ukruszonego zęba. Gotów był nawet stawić czoła obowiązkom ojcowskim w postaci kolacji, mycia i czytania bajki na dobranoc. Uśmiechnął się czule do żony, czym ją zaskoczył, po czym wyszedł z gabinetu i udał się do przedszkola.

Oczywiście po drodze wszedł do cukierni, kupił trzy drożdżówki (by mieć z głowy kolację), nie zważając na to, co powiedziałyby żona oraz piramida żywności, o której ostatnio mówiła lekarz rodzinna. Dobra drożdżówka nie jest zła, stwierdził. Jedną zjadł, dokładnie strzepał okruszki z kurtki i dopiero potem wsiadł do samochodu.

* * *

– Dzień dobry – zawołał Adam, do którego właśnie przybiegły dwa umorusane stworzenia. – Cześć, dzieciaki! – Próbował się wyswobodzić z miłosnego uścisku. – Michaś, byłeś dzisiaj grzeczny?

– Tak! Bardzo grzeczny! – oświadczyła z dumą przedszkolanka. – Dzisiaj nikogo nie ugryzł! – dodała z jeszcze większą dumą.

Adam zastanawiał się przez chwilę, czy faktycznie to jest miara grzeczności jego synka, ale skoro przedszkolanka była taka zachwycona, to niech jej będzie.

– Tata, a ksiziaki to som takie tloche jadowite – oświadczył Michaś.

– Tak, synku, masz rację – potwierdził Adam, uważając, by za

szeroko nie otwierać ust, bo przecież ta jedynka!

– A wiesz? Klaudia zabiła dziś w piaskownicy talantulę.

– Co zabiła? – Adam natychmiast przestał myśleć o jedynce.

– Ta-lan-tu-lę! Takom duziom! – oświadczyło dziecko i pokazało rączkami wielkość psa ratlerka, po czym zbiegło szybko z górki do samochodu.

Amelka musiała zauważyć niezbyt pewną minę swojego ojca, bo szybko zareagowała.

– Tata – powiedziała pouczająco. – To nie była żadna tarantula. – Uspokajała go.

– Ja wiem, Amelko. – Adam wiedział od początku przecież, że w przedszkolu się nie trzyma jadowitych pajaków.

– No, a myślałam, że już się zmartwiłeś. – Uśmiechnęła się słodko. – To był po prostu ptasznik.

Adam zbladł. No niemożliwe było, żeby w przedszkolu były pająki. Adam Kondracki niczego w życiu się nie bał. Ale pajaków szczerze nie znosił. I naprawdę nie chciał, by w przedszkolu ich dzieci było cokolwiek, co przypominało tarantulę czy ptasznika, a nawet coś, co obok tego całego towarzystwa chociaż minutę stało.

* * *

Magda Kondracka była szczęśliwa. Była szczęśliwa z jednego prozaicznego powodu. Była sama w swoim nowym gabinecie i chwilowo nikt nic od niej nie chciał.

Rewelacja.

Oczywiście szczęście to było krótkotrwałe, bo natychmiast zaczęła się martwić, że Adam zapomniał dzieciakom zawiązać szaliki, wszak ta wiosenna pogoda zdradliwa, że na pewno nie wziął z przedszkola zeszytu Michałka od logopedii i że nie da im kolacji.

Z tych nerwów nie mogła się skupić na żadnej konkretnej robocie.

Poukładała wszystko w gabinecie, zamknęła go na klucz i poszła do kawiarenki.

– Dzień dobry! – zawołała już od progu.

– Dzień dobry – odpowiedziała Ada, która nareszcie przestała głaskać biegacza i zajęła się normalną robotą, jak to jej poradziła Ania. Ani już nie było, Ada została sama na placu boju. I segregowała faktury i rachunki. Jak wiemy, roboty tej nienawidziła. Przerwała z radością nużącą pracę i zawołała:

– A to pani! Dziś bez dzieci?

– Bez! Kawę poproszę! Latte w wielkim kubku. Może być nocnik.

– Oj, nocnik mam. – Ada się roześmiała. – Ale jest lekko zużyty przez mojego Michasia.

– Mój syn też ma na imię Michał, ale i tak wszyscy na niego mówią Niunio. Chociaż zaczęliśmy z tym walczyć. Bo przecież trzylatek jest zbyt dorosły, by mówić na niego Niunio, prawda? Córka Amelka. Udało mi się zmusić ich tatę, by je z przedszkola odebrał. Nie było lekko... Ale czego nie robi kobieta, by chociaż przez chwilę pobyć sama? Ale wie pani... Jak jestem sama, to za nimi tęsknię. I zawsze zastanawiam się, czy jestem dobrą matką, skoro one gdzieś się tam tułają po świecie. Chociażby z własnym ojcem.

– No chyba się nie tułają?

– Nie wiem właśnie.

– Przecież własny ojciec krzywdy im nie robi.

– No on nie, ale przecież może nie dopilnować. Wie pani? Mi się wydaje, że może ja się nimi najlepiej nie opiekuję, ale jak z nimi jestem, to się nic złego nie może stać. Więc tak najchętniej bym je miała na wyciągnięcie ręki. Gdzieś obok. Żebym mogła się zajmować swoimi rzeczami, a w razie potrzeby do nich zajrzeć, przytulić i pogadać.

– Doskonale rozumiem... – powiedziała Ada. I jednocześnie pomyślała, że może już niedługo będzie zmuszona do zastosowania tych rozwiązań, niekoniecznie z własnej nieprzymuszonej woli. – Gabinet gotowy?

– Już prawie. W zasadzie gotowy. Mam swoich pacjentów... Obiecali, że wrócą do mnie. Różnie to bywa.

– Sama powinnam się wybrać... – Ada zaczęła językiem nerwowo szukać dziur w zębach.

– Ja to zrobię lepiej – powiedziała Magda. – Jak już będę tam na stałe, to proszę podejść.

– Podejdę... Teraz trochę cienko z kasą...

– Proszę podejść mimo wszystko. Coś wymyślimy.

– Widzę, że ma pani takie samo podejście do biznesu, jak ja... – skwitowała Ada ze śmiechem.

Magda w odpowiedzi rozłożyła ręce i powiedziała:

– Nie można być do końca materialistą. Raz ty wyciągniesz rękę do kogoś, innym razem ktoś do ciebie. Dobro wraca w dwójnasób.

– Wiem. Też zawsze tak mówię. I wciąż czekam, aż wróci. A wciąż po tyłku dostaję.

– Po tyłku? Pani Ado! Dzieciak wspaniały, kawiarnia cudna, babeczka rewelacyjna. Torty, jak widzę, również.

– Boję się, że mogę to wszystko stracić.

– Nie straci pani. Mogę... mogę tu trochę posiedzieć? – zapytała. – Przyznam, że mam taką fajną książkę do czytania, a w domu nie mam jak... Adam obiecał, że dzieci położy spać... A ja, wie pani... Urządzam gabinet...

– Nie ma problemu. To nie przeszkadza. Wracam do drożdżowego. Sama nie lubię, ale klienci się pytają. Chcą, to będzie.

Magdalena już nie odpowiedziała, bo zagłębiła się w lekturze. Ostatnio wprawdzie odkryła audiobooki i słuchała ich przy każdej możliwej okazji. Policzyła, że rocznie spędza dwa tygodnie za kierownicą... Piękny czas na czytanie. Cały urlop. Mogłaby leżeć do góry brzuchem i leniwie oglądać dzieciaki klepiące babki z piasku. Ale nie, musi mieszkać w mieście i stać w korkach długie godziny. Niech chociaż na coś się jej to przyda. W szczególności teraz, gdy mąż jej użyczył (użyczył to ważne słowo, nie mylić z podarował) swój stary samochód, który miał rewelacyjne nagłośnienie. Czasem nawet łapała się na tym, że żałuje, że dojechała już na miejsce, bo jeszcze rozdział się nie skończył. Audiobooków słuchała też z dziećmi. Po raz pierwszy od dawna nie kłóciły się, tylko w ciszy słuchały, zaśmiewając się co jakiś czas. Ale jednak książka papierowa miała swój klimat. Już nawet się do czytnika przyzwyczaiła. Nadal uważała, że czyta się oczami, a nie uszami, ale cóż. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Ada sprawdzała, czy placek drożdżowy już miał zamiar rozprzestrzenić się na całe zaplecze, gdy do kawiarni wbiegła dziewczyna.

– Dzień dobry, ja po tort dla brata.

– Brata biegacza? – zapytała od razu. Nie wiadomo, dlaczego na myśl o biegaczu zrobiło jej się całkiem przyjemnie. Nie miałyby nic przeciwko, by go zobaczyć kiedyś na żywo, a nie w postaci figurki ulepionej z masy cukrowej.

– Tak – potwierdziła dziewczyna z uśmiechem. – Ma cel. Chce przebiec maraton z czasem poniżej 3:30. Wyzwanie. Już trzy ma za sobą. Czwórkę złamał na pierwszym, ale apetyt rośnie w miarę jedzenia.

– To tort w ogóle będzie jadł?

– Jasne, że będzie. Spróbowałby nie!

Ada uchyliła wieczko kartonu.

– O Boże, Arek jak żywy! – zawołała zdziwiona. – Nie spodziewałam się, że można zrobić takie cuda! Widziała pani? – zwróciła się do zaczytanej Magdy.

Magda pokiwała głową.

– Już wiem, gdzie zamówię tort na czterdziestkę męża. Tylko muszę coś wymyślić.

– Lecę! – rzuciła dziewczyna. – Musi pani kiedyś Arka na żywo zobaczyć. Normalnie ten sam. Zastanawiam się, czy zjedzenie własnego brata z tortu to kanibalizm. Bo głupio brata zjadać, prawda? Chyba zostawimy go sobie na pamiątkę. – Wybiegła tak samo szybko, jak

wbiegła.

Po chwili drzwi się znowu otworzyły i dziewczyna weszła jeszcze raz.

– A jaki jest metraż pomieszczeń, które chce pani wynająć?

– Tam są trzy pomieszczenia... A w zasadzie trzy i zaplecze. Jedno dwadzieścia metrów, dwa po trzydzieści metrów i jeszcze zaplecze piętnaście. Wielkie.

– Łazienka i możliwość prysznic?

– Jest.

– Okej, za ile?

– Dwa i pół? – wyjąkała Ada.

– Dobra, zjawimy się i pooglądamy, jak będzie więcej czasu. Po weekendzie wpadnę! – obiecała i wyleciała.

Pewnie też maratony biegała. Albo krótkie dystanse. Bo śmigąła z prędkością światła. Może gdyby wynajęła ten lokal, to by trochę życia wprowadziła do kawiarni? Bo było tu cicho, przytulnie, tak pluszowo. Może nie warto wprowadzać w to miejsce życia?

– Człowiek czuje się wysportowany od samego patrzenia, prawda? Brakuje w pobliżu miejsca, gdzie można by poskakać. Przychodziłabym po pracy. Albo między pacjentami... Chociaż wie pani? Zastanawiam się, kiedy ja tak naprawdę będę pracować. Ciężko to wszystko pogodzić. Bycie mamą i zarazem kobietą pracującą jest bardzo, bardzo trudne. A tort precudowny. Muszę zamówić mężowi na czterdziestkę. Planuję imprezę, a on nic o tym nie wie. Zrozpaczony chłopak jest, bo chciałby pokazać swoje wypracowane bicepsy rzeszy fanek. – Roześmiała się.

– Gdzie będą urodziny?

– W takiej knajpie niedaleko nas. Będzie myślał, że idzie na wyzerkę organizowaną przez firmę farmaceutyczną. A to się chłopak zdziwi. Dlatego zrobię mu trzy dni przed urodzinami, by zupełnie nic nie podejrzewał.

* * *

Magdalena Kondracka o dwudziestej pierwszej trzydziści zaparkowała pod swoim domem. W pokoju Amelki paliło się jeszcze światło. Pewnie zasnęła szybko.

Postawiła samochód pod domem. Garaż był zastawiony jej starym nissanem. W razie, gdyby ktoś chciał się połakomić na nowe cacko jej męża. Minęły już dwa tygodnie, a on nadal pieścił je niczym kochankę.

Weszła do domu, z góry usłyszała audiobooka. Zmarszczyła brwi. Nie spały jeszcze?

Weszła do pokoju syna. Na łóżku wraz z nim leżał Adam i pochrapywał. Wyglądali identycznie.

– Mama! – Magda usłyszała głos z pokoju Amelki.

– Nie śpisz jeszcze?

– No nie, tata włączył książkę i poszedł usypiać Michasia. A ja czekałam na ciebie. Ale wiesz? Już jestem bardzo, bardzo zmęczona, dobrze, że już wróciłaś. Bo musiałam czekać i czekać.

Magda zsunęła buty, bo nawet nie zdążyła ich zdjąć na dole, od razu popędziła do dzieci, położyła się na łóżku obok Amelki.

– Daj mi rączkę – powiedziała mała. – Teraz już mogę spać.

Gdy Amelia zasnęła, Magda zeszła na dół. Czekają na nią przesyłki. Ostatnie zamówienia do gabinetu. Nawet nie miała kiedy o tym z Adamem porozmawiać. Będą musieli pracować w kratkę. Jedno popołudnie on, drugie ona. Przez chwilę pożałowała decyzji o otwarciu gabinetu. Więcej pieniędzy, ale mniej czasu dla dzieci. Czy każda kobieta staje przed takim dylematem?

Fatalnie to wszystko jest ułożone.

Chciała robić karierę, być kimś, chciała móc z dziećmi ot, tak pojechać na wakacje. I chyba tylko dlatego zdecydowała się na gabinet. Lubiła bardzo swoją pracę, nie chciała z niej zrezygnować. W państwowej przychodni nie miała dostępu do najnowszych technologii. W swoim gabinecie miała wszystko.

* * *

Ada wróciła z pracy w bardzo dobrym humorze. Pojawiła się perspektywa wynajmu pomieszczeń obok, tort się podobał, ciasto wyszło przepyszne i wracała do domu już po osiemnastej. Czasem tak długo pracowała, ale zawsze dbała o to, by osobiście położyć Michałka do snu.

– Pani Ado, musimy porozmawiać.

– Pani Irenko, już przecież rozmawialiśmy.

– Widziałam, że u pani na oknie kawiarni jest ogłoszenie, że szuka pani niani.

– Szukam. Nie mogę dać pani więcej pieniędzy, przykro mi...

– Pani Ado, ja też zaczęłam szukać innej pracy.

– Rozumiem.

– I znalazłam. – Pani Irenka patrzyła w podłogę. – Od jutra.

– Od jutra? – Dobry humor Ady znikł, jakby go nigdy nie było.

– Od jutra. Próbowałam przesunąć, by pani na łodzie nie zostawić... Niemniej jednak się nie udało. Od jutra będę jeździć na Niedźwiednik. I bliżej to do mnie, i pieniążków więcej...

Adrianna usiadła na sofie. Michasia posadziła sobie na kolanach. Bawił się jej włosami.

– Pani Irenko... A gdybym dała pani te dwa złote więcej?

– Pani Ado, już podjęłam decyzję. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Może pani dziś zostać godzinę dłużej?

– Mogę – odpowiedziała pani Irenka zaskoczona.

Ada otworzyła szafkę, wyciągnęła z niej plany pomieszczeń.

– Misiaczku, mamusia zaraz wróci. – Pocałowała synka.

Założyła buty i wybiegła. Wsiadła w swój stary samochód i pojechała do centrum handlowego. Wybrała jedną z najtańszych wykładzin. Ważne, by była ciepła... Na szczęście mieli dowieźć już pojutrze. Dobrze, że nie trzeba malować ścian. Były niedawno odświeżane...

Nowe życie. Zupełnie inne.

Który to już raz zaczyna zupełnie nowe życie?

Przyszła do domu na chwilę. Michaś siedział w kojcu.

– Pani Irenko, przeniesie pani Misia do łóżeczka. Ja muszę to zanieść na dół.

Gdy Michaś znalazł się w łóżeczku, zdemontowała kojec i zniosła go do kawiarni. Wykładzina znajdzie się w pustym pokoju. Jak nie stać jej na nianię, sama będzie się opiekowała dzieckiem. Trudno. Ania jest, to jej pomoże. Położy się wykładzinę... Może jakieś kolorowe naklejki na ściany... Ale to potem. Taki pokój dzienny dla Michasia...

Na razie kojec wstawiła do głównego pomieszczenia kawiarni, zaraz obok stolików.

– Damy radę. – Westchnęła ciężko. – Kto jak nie ja?

Wróciła do domu, zapłaciła pani Irence za dotychczasową pracę i nie chciała nawet z nią rozmawiać.

– Pani Ado, pani musi mnie zrozumieć...

– Nic nie muszę, pani Irenko. Do widzenia. – Stała w korytarzu, sugerując swą postawą, że pani Irenka powinna natychmiast opuścić jej mieszkanie. Pani Irenka wyglądała, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć, ale wyszła i bez słowa zamknęła za sobą drzwi.

Michaś już spał w swoim łóżeczku. Popatrzyła na synka.

– W kojcu pomęczysz się do jutra. Potem położymy wykładzinę i będziesz balował. A potem nauczysz się chodzić i będziesz biegał. Potem szkoła, narzeczona, żona... I wnuki... I znowu w kółko – mówiła

cicho. – A ja wciąż myślę, jak przeżyć do pierwszego.

I tak życie składa się z tych kilkudziesięciu albo kilkuset „pierwszych”, do których trzeba jakoś przetrwać. „Jakoś” to jest bardzo dobre słowo w tym momencie.

* * *

– Ty, widziałas? – zagadnął Krzysztof Natalię rano. Wysłała go po bułki do sklepu i mleko do kawy. Nawet nie oponował zbytnio.

– Co widziałam? – zapytała jego żona, może nieco retorycznie, bo od kilku dni widywała jedynie właśnie dzieci i inne matki pchające wózki. I to w biegu. Bo gdy tylko się zatrzymywała, jej mała córeczka wybuchała płaczem i Natalia musiała szybko ruszać, by nie pobudzić dzieci innych matek, które to spokojnie siedziały na ławce i czytały książkę albo zajmowały się rozmową. – Ostatnio nawet na oczy nie widzę...

– No bo ciągle ślęczysz przy komputerze. Wyszłabyś na spacer z dziećmi.

Natalia zmroziła go wzrokiem.

– W kawiarni kojec stoi.

– Jaki kojec?

– No kojec. I widziałem, jak przywozili wykładzinę w jakiejś samochodzie czy misiaczki.

– Przedszkole będzie?

– Nie, podobno nie. – Wzruszył ramionami. – Ale wygląda jak

przedszkole.

– Muszę zobaczyć. – Natalia się rozmarzyła. Pamiętała, jak ostatnio była w kawiarni i ta psycholożka wzięła jej dziecko na ręce, a ona mogła się napić kawy. W spokoju. Oczywiście z mlekiem sojowym. Bo przecież Zosia nie tolerowała nic innego.

– Chyba nie chcesz Zosi oddać do przedszkola? – Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Kiedyś chcę.

– Ale ona jest taka malutka...

– To weź wolne i z nią bądź cały dzień.

– No, ale ja jej nie nakarmię.

– Nakarmisz. Odciągnę pokarm.

Laktator.

Kolejny gadżet erotyczny młodej mamy.

Ostatnio, gdy Krzysztof przyszedł do domu i miał niesamowitą ochotę na własną żonę, ta właśnie siedziała w fotelu. I to bez bluzki. Marzenie każdego mężczyzny, prawda?

Otóż nie.

Do piersi przyczepioną miała dojarkę dla kobiet, zwaną laktatorem, która wydawała straszne dźwięki.

Krzysztofowi jakby trochę ochota odeszła.

– A musisz odciągać ten pokarm?

– Nie muszę, Krzysiu. Ale chcę. Chociaż raz chcę wyjść gdzieś wieczorem.

Krzyś zupełnie tego nie rozumiał. Jak można chcieć zostawić swoje dziecko choćby na moment. No tak, on musi wychodzić do pracy i zostawiać towarzystwo. Często widział je przez chwilę rano, a wracał, gdy dzieciaki już spały. Tak bardzo za nimi tęsknił. Ale cóż. Musiał pracować. I wracał zmęczony do domu, a żona z dojką.

I o dziwo, nie miała ochoty na seks.

Po całym dniu wolnego.

Gdyby on miał wolne, tak jak ona, to miałby mnóstwo energii, siły, na wszystko. A ona co? Pójdzie sobie na spacer z dziećmi, nawet czasem obiadu nie ugotuje. I nie ma na nic siły.

Gdzie te emocje? Gdzie to łóżko?

To chyba jest to słynne, opisywane w babskich gazetach, odstawienie męża po porodzie. Mąż już się nie liczy, dziecko jest na pierwszym miejscu. I tak właśnie wydawało się Krzysztofowi. Cały dzień pracował, więc chciałby, by w domu było przyjemnie. A ona jeszcze wymagała od niego, by wstawał w nocy do dzieci. Przecież on musi się wyspać do pracy. A tu jeszcze wyskoczyła z jakimiś wyjściami wieczornymi. On powinien wychodzić. Pobiegać, pograć w tenisa na świeżym powietrzu. Natalia często była na świeżym powietrzu.

Ta to ma życie...

Na świeżym powietrzu była też Zuzanna. Właśnie rozmawiała z właścicielem Parysa Antonia, który zmartwiony oświadczył jej, że córka wyjeżdża na stałe do Holandii. I co najgorsze, on obiecał z nią jechać. Nie wtajemniczał na razie Zuzanny, że szpital w Holandii też był bardziej przychylny do przyjęcia mężczyzny w dojrzałym wieku niż polska służba zdrowia, ale wtajemniczył ją jedynie w jedną rzecz.

– Muszę coś zrobić z pieskiem.

Parys Antonio czuł, że o nim mowa. Podniósł uszy.

Jego pan ściszył głos.

– Może zajęlibyście się nim, jak będę za granicą?

– Parysem? – ucieszyła się dziewczynka.

– No tak. Często z nim chodzisz, widzę, że się nim opiekujesz...
On cię lubi...

– Jasne, że się zajmę! Od razu!

– A co na to tata?

– Tata? No tata nigdy mi nie odmawia. Ani w kwestii psa, ani żony – skłamała. – Ma się te swoje sposoby – dodała i roześmiała się.

O ile w kwestii żony przekonać Jacka było nawet łatwo, bo już się sam zaangażował w tematy ślubne, o tyle w przypadku żywego stworzenia był nieugięty.

Prosiła, błagała, o psa, o kota albo chociaż o chomika. Niestety, nie dało się go namówić.

Ale dziewczynka wiedziała, że tata ma dobre serce i biednego psa

z domu nie wyrzuci. Zatem postanowiła postawić swojego ojca przed faktem dokonanym. Nie była pierwszą, ale też nie ostatnią kobietą, która wrabiała ukochanych mężczyzn w różne rzeczy...

Uśmiechnęła się promiennie, wyczuła Parysa, oddając mu swoją kanapkę ze szkoły, a on oczywiście pożarł ją z przyjemnością.

Sielskie życie będzie. Wprawdzie jego pan się bardzo starał, by pies nie podsłuchiwał, ale Parys Antonio słyszał doskonale. I prawdę mówiąc, nie miał nic przeciwko przeprowadzce do swojej przyjaciółki z parteru.

* * *

Natalia, jak tylko usłyszała o pokoju zabaw w kawiarni na dole, ubrała dzieci i natychmiast wyszła z domu. Oczywiście zrobiła to po tym, jak jej mąż wyszedł do niezwykle ciężkiej pracy (pracował w marketingu w banku i zapewne tam męczył się dużo bardziej niż ona z dziećmi).

Weszła do kawiarni, ciągnąc za sobą Mikołaja i pchając przed sobą wózek z Zosią. Czasem wydawało jej się, że ma więcej rąk niż jej mąż. Bo Krzysztof mógł zajmować się tylko i wyłącznie jedną rzeczą. Jak siatki, to siatki, jak dzieci, to najlepiej jedno i to już zupełnie bez siatek. Natalia zwykle pchała wózek, ciągnęła Mikołaja i była na tyle sprytna, że siatki miała pod wózkiem. Jej zaradny życiowo mąż na to jakoś nie wpadł.

– Czy tu będzie przedszkole? – zapytała z nadzieją w głosie Ady, która właśnie wychodziła z zaplecza z Michałem na rękę.

– Nie, a dlaczego? – zdziwiła się Adrianna.

– No, kojec jest, wykładzina kolorowa... – wymieniała Natalia.

– Nie... To, mam nadzieję, chwilowe. Po prostu... Nie mam niani. A syn musi być pod opieką.

– Już myślałam, że... – Natalia wyraźnie się zmartwiła. – Przydałoby się takie miejsce, gdzie możesz zostawić dziecko, ono się bawi, a ty pijesz kawę... W spokoju – rozmarzyła się.

– No, ale przecież tak może być! Twój Mikołaj może się tu bawić... – Ada zreflektowała się, że mówi na „ty”. – Oj, przepraszam...

– W porządku. Natalia jestem – przedstawiła się Natalia.

– Ada. – Właścicielka kawiarni wyciągnęła rękę.

– A może ja przyniosę jakieś klocki? – zapytała Natalia. – Mam trochę, mam pluszaki, którymi się w domu nie bawią... Może wypiorę je i przyniosę?

Ada patrzyła na Natalię z powątpiewaniem.

– I posiedziałybym trochę tutaj... Bo ja już wariuję, jak wciąż sama z dziećmi siedzę... Ja się twoim Michałkiem zaopiekuję, muszę tylko zmienić miejsce. I czasem zostawić bawiące się dzieciaki na podłodze, a sama wypić dobrą kawę... Skończyłam pedagogikę, już dawno temu...

– Natalia?

– No?

– Może faktycznie to byłby dobry pomysł?

– Idealny. Naprawdę. Ty sobie robisz te figurki, ja piję kawę, a dzieciaki się bawią. Nawet mogą leżeć tam z nimi na podłodze.

– To kawa gratis. Wszystko gratis – dodała Ada pełna zapału.

– Daj spokój, z torbami pójdziesz. Jak będę mogła, przyjdę. Jutro przyniosę zabawki.

Uchyliły się drzwi do kawiarni i wpadła Magda Kondracka.

– Kawę poproszę – rzuciła w biegu. – Matko! Kawiarnia dla matek z dziećmi? – Wskazała na kojec i kolorową wykładzinę, która stała jeszcze nierozwinięta. – Rewelacyjny pomysł! Ja mogę robić pogadanki o zdrowych zębach. Fakt, że stracę klientów, jak się posłuchają, bo przestaną dziury mieć, ale dla mnie to też reklama.

Ada nie zdążyła nic powiedzieć. Natalia tylko się uśmiechała.

– To kiedy już będzie można przyjść z dziećmi i się pobawić?

– Ale...

– A może brakuje ci czegoś? Słuchaj, bo ja mam takie malutkie krzeselka i stoliczek. Takie małe dla dzieciaków do posiedzenia. Mogą tam rysować. I do tego mam półeczki. Miałam meble wymienić i zastanawiałam się, co z tym zrobić. Chcesz?

Ada stała z otwartą buzią.

– Jak nie chcesz, zrozumiem. Nie ma kłopotu – powiedziała Magda.

– Ale... Ja chcę! Tylko... To nie miała być kawiarnia dla dzieci i matek... Ale... Już sama nie wiem... Myślicie, że to dobry pomysł?

– Rewelacyjny! Zastanawiasz się jeszcze?! O matko. Magda jestem.

– Ada.

– Natalia.

– Tylko kłaść tę wykładzinę i działać!

– No jakoś to muszę załatwić...

– Mam u siebie fachowców. Skręcą mi szafki w gabinecie. Jak skończą, zapytam, czy nie położyliby ci tej wykładziny. Przecież to chyba nie filozofia, co? A potem jada do domu po rzeczy, to wezmą też te meble dla dzieciaków.

Adrianna nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, gdy tachała ze sobą na dół kojec, była w otchłani rozpaczy. Teraz ma nadzieję. Chyba się uda...

Magda Kondracka wzięła kawę dla siebie i dwie kawy na wynos.

– Powiem im, że jak ci położą tę wykładzinę, to ciacho dostaną. – Wybiegła, zanim Ada zdążyła odpowiedzieć.

– Jasne! – krzyknęła w kierunku zamykających się drzwi.

– Widzisz? – rzekła Natalia. – I zabawki będą. I mebelki. Coś jeszcze ci potrzeba?

– A może... – Adrianna zmarszczyła czoło. – Może by zorganizować jakieś zajęcia dla dzieci... Albo warsztaty dla mam?

– O i to są dobre pomysły. Matka jest superklientem. Dla dziecka zrobi przecież wszystko. Bo zobacz, poszłaby w wiele miejsc, ale w wielu miejscach nie jest mile widziana.

Do kawiarni weszła kolejna osoba, również zainteresowana

miejscem, gdzie mogłyby pobawić się dzieci.

– Zupełnie tego nie rozumiem – mówiła Ada, kiwając głową.

Natalia siedziała już nad drugą kawą. Mikołaj bujał Zosię w wózku i miała chwilę spokoju.

– Słuchaj... A gdybym ja się zajmowała dziećmi... A w tym czasie coś by się działo w kawiarni... Babki składałyby się na opiekę, obie byśmy trochę zarobiły... Wiesz, ja jestem nauczycielką... Znaczą pedagogikę skończyłam, nie zdążyłam pracować, bo dzieci przyszły na świat... Najpierw Miki, potem od razu Zosia... Ale wiesz, ja lubię dzieci. Swoje też lubię, tylko czasem muszę się poczuć ważna... I pogadać z innymi dorosłymi...

– No jasne! – rzuciła pełna energii Ada i przysiadła się do stolika, przy którym Natalia sypała coraz to lepszymi pomysłami na biznes. – Niewiarygodne. Wczoraj jeszcze byłam załamana, a dziś dziwnym trafem jestem całkiem zadowolona z życia.

– Ja wszystko ustalę. Napiszę. Mam plan. – Natalia siedziała i szybko coś notowała na serwetce.

– Mama! – zawołał Michaś, który właśnie się obudził. I tak długo spał. Domagał się, by Ada wyjęła go z kojca. Już miała to zrobić, gdy weszło dwóch mężczyzn.

– Dzień dobry. Przyszliśmy na ciasteczko.

– Oczywiście, jakie panowie sobie życzą?

– Ale najpierw robota – powiedział z uśmiechem wyższy. – Pani doktor mówiła, że trzeba tutaj wykładzinę położyć.

Ada kiwnęła głową i wskazała ręką na drzwi, mówiąc:

– W tamtym pomieszczeniu.

Mężczyźni zdjęli buty, założyli kaptcie i rozwinęli wykładzinę. Ukazała się droga z zielonym lasem. Doskonały tor dla samochodów.

– Sam bym się pobawił – stwierdził niższy.

Sprawnie przycięli wykładzinę, przytwierdzili do podłogi i przykręcali listewki. Michaś zapomniał, że ma się nudzić w kojcu. Staął, złapał rączkami za oparcie i z zainteresowaniem przypatrywał się pracy mężczyzn. Podobnie Mikołaj. Nadal bujał Zosię, ale jednocześnie intensywnie wpatrywał się w działania fachowców.

– Miki ce pomagać – oświadczył.

– Miki. Panowie dadzą sobie radę bez ciebie...

– Miki ce pomagać.

– Chodź, Miki – powiedział wyższy. – Potrzyмай miarę. To bardzo ważne zadanie. Bardzo odpowiedzialne.

Mikołaj dumny trzymał miarę obiema małymi łapkami. Czuł się wyjątkowo. Adę zakuło serce. Też chciałaby, żeby kiedyś jej syn trzymał miarę... I by ktoś powiedział mu, że jest wyjątkowy. Wiedziała, że kiedyś nadejdzie taki moment, że ojciec Michałowi będzie bardzo potrzebny. Będzie musiała być dla niego ojcem i matką. Czy da radę?

– Pani doktor jeszcze pytała, czy ma pani jakiś kinkiet. – Mężczyzna przerwał jej rozmyślenia i spojrzał na ścianę, z której zwisała goła żarówka. – O, widzę, że nie ma. Ona ma dodatkowy. Kupiła i okazało się, że jej nie pasuje.

– To ja, ja go odkupię...

– Interesy to już z panią doktor. My natomiast poprosimy obiecane ciasteczko. Kinkiet zamontujemy, jak ciasteczko będzie dobre – zarechotali.

Ada ukroiła wielki kawał tortu bezowego i podała mężczyznom z uśmiechem. Nalała do filiżanek kawy.

Panowie zjedli ciasto z apetytem. Po chwili przynieśli kinkiet i go zamontowali.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Ada w pokoju zabaw miała mebelki, dwa kartony klocków, kilka książeczek i cały worek zabawek. Do końca tygodnia z Natalią poukładały wszystko na półkach. Oczywiście, stało się tak, jak Natalia przewidywała. Do kawiarni zaczęły się schodzić matki z dziećmi z całej okolicy. Ponieważ koniecznie chciały poznać szczegóły przedsięwzięcia, każda piła kawę, jadła ciasteczka, a do domu kupowała dla męża, by zagłuszyć wyrzuty sumienia, że samotnie chodzi na kawę. Codzienny utarg Ady był dwukrotnie, a czasem nawet trzykrotnie wyższy niż zwykle. Ania przychodziła na dłużej, by szefowa miała czas zająć się swoim nowym przedsięwzięciem. Ada wiedziała jednak, że dalej nie uda jej się ciągnąć wszystkiego samej, bo nie miała czasu na robienie ciast i tortów. Oczywiście zawsze zamawiała wypieki z cukierni, ale dodatkowo też miała coś własnej roboty. Jej specjalnością były waniliowe babeczki z truskawką w środku. No, a poza tym zamówienia na torty nie ustawały. Pieкла je wieczorami, dekorowała w nocy.

– Wiesz co? – powiedziała Natalia. – Ja się wszystkim zajmę. Jak Ania przyjdzie, ty idź się wyspać.

– To ty powinnaś się zdrzemnąć – odpowiedziała Ada. – Ja doprawdy nie wiem, jak ty dajesz radę z dwojgiem dzieci. Ile Zosia ma?

- Już duża! Cztery miesiące!
 - Jasne, duża – odparła z powątpiewaniem Ada. – Niedługo za mąż ją będziesz wydawać!
 - O matko! Jakie zmiany! – zawołała od progu Karolina, która właśnie zawitała do kawiarni. – Co tu się stało? Super!
 - Podoba ci się?
 - Jasne! Tylko wy dwie mi się nie podobacie.
 - No jasne, nie ma to jak miłe słowa z rana – uśmiechnęła się Ada, po czym przedstawiła Natalię.
 - O tobie też myślałyśmy... – powiedziała Natalia. – Jesteś psychologiem, tak? Może byś poprowadziła jakieś warsztaty dla mam... Bo tego brakuje... Albo dla dzieci...
- Karolina miała co robić, ale miła praca pod samym nosem...
- Raz na jakiś czas? – zapytała.
 - Tak. Sporadycznie. W ogóle nie wiemy, jakie będzie zainteresowanie... Pomyśl o tematach. I daj znać, za ile. Bo jeżeli chodzi o opiekę, to dzielimy się z Adą na pół.
 - Okej. To warsztaty jedna trzecia.
 - Nie ma to jak robić biznes z kobietami – stwierdziła Ada. – Wszystko jasne.
 - Dobra, Ada. To teraz idź sobie odpocząć, ja się zajmę dziećmi.
 - To może ja sobie tutaj na materacu zasnę...

– Nie, kochana – wtrąciła się Karolina. – Ty nakarmisz małą i idziesz spać – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu do Natalii.
– Powinno jej wystarczyć na dwie godziny. – Ty też do spania – zwróciła się do Ady. – Nie możecie straszyć potencjalnych klientów!

– Ja?

– Tak. Masz okazję, to śpij i nie pytaj.

Ada pokiwała głową i obie z Natalią wyszły z kawiarni.

– Znasz ją dobrze? – dopytywała zaniepokojona nieco Natalia.

– No... trochę...

– No, a zostawiamy jej dzieci...

– Wygooglałam ją. Ufam jej.

– Boże, co to za świat, że ufamy Wujkowi Google. Ale znam kogoś, kto ją znał... – ziewnęła Natalia.

– Chodź do mnie do domu – zaproponowała Ada. – Będziemy w razie czego bliżej.

Natalia pokiwała głową. Poszły do Adrianny, położyły się obie na wielkim podwójnym łóżku, przykryły kocami i natychmiast zasnęły. Dla młodych matek, na dodatek z głowami pełnymi pomysłów i brakiem czasu na ich realizację, dwie godziny niczym nieprzerywanego snu zawsze są najlepszym prezentem. Powinni sen sprzedawać w paczuszkach przewiązanych czerwoną kokardką.

* * *

Karolina pozwoliła dziewczynom spać przez trzy godziny. Potem Zosia się obudziła i donośnym głosem zaczęła oznajmiać światu, że bez mamy to dobrze wychowane małe dziecko da radę wytrzymać dwie godziny, nawet dwie godziny i czterdzieści pięć minut, ale więcej to doprawdy przesada.

Miło spędziła ten czas. Tak beztrosko... Miała sporo pacjentów dziecięcych, ale jednak przeważały smutne historie. Rozwody, kłótnie, traumy z dzieciństwa. A tutaj było tak beztrosko. Z chłopakami bawiła się piłką, potem oglądali książeczki, a potem Mikołaj opowiadał im różne historie, zaśmiewając się przy tym na tyle głośno, by rozbawić Michasia, i na tyle cicho, by Zosia dalej smacznie spała.

Karolina naprawdę się przy tym odprężyła.

– To dla mnie jak terapia! – powiedziała, gdy stęsknione (o dziwo po trzech godzinach) matki przytulały dzieciaki.

Ada z Natalią popatrzyły na Karolinę jak na osobę niespełna rozumu.

– Karolina, chyba coś w tym jest, że na psychologię idą osoby, które nie do końca są normalne... – powiedziała, żartując.

– Zapewne tak! – zgodziła się zrelaksowana Karolina. – Ale widzę, że takie też prowadzą kawiarnie i studiowały pedagogikę!

* * *

Natalia miała trochę obaw, by zdradzić mężowi swoje najbliższe życiowe plany. Krzysztof był bardzo dobrym człowiekiem i bardzo ją kochał, ale cóż. Widział świat na swój, bardzo patriarchalny sposób. Kobieta rodzi dzieci, sprząta, gotuje i zajmuje się domem, a mężczyzna

zarabia pieniądze. I tak do tej pory było w jego pięknym uporządkowanym świecie. Wydawało mu się, że wszystko funkcjonuje idealnie. Lubił o tym myśleć i lubił przychodzić do domu i obserwować, jak wszystkie trybiki w jego domu chodzą jak w dobrze wyregulowanym szwajcarskim zegarku.

W tygodniu pracował, przychodził późno do domu, czasem pomagał kąpać dzieci, czytał im książeczki. W weekendy obowiązkowo był spacer. Albo na Długi Targ, albo nad morze, albo do Parku Oliwskiego. Krzysztof Kalinowski nie lubił zmian w życiu prywatnym. Ciężko się do nich przystosowywał. Wystarczyło mu to, że sprawy zawodowe zmieniały się jak w kalejdoskopie i musiał poświęcać dużo uwagi i koncentracji, by za nimi wszystkimi nadążyć. Natalia znała męża doskonale i dlatego szukała odpowiedniego momentu, by mu powiedzieć, że zamierza być opiekunką do dzieci swoich i cudzych w kawiarni prowadzonej przez Adę.

Spacerowali sobie wzdłuż Motławy (akurat była niedziela, w sobotę byli w parku, a w zeszłym tygodniu nad morzem) i było bardzo przyjemnie. Do czasu, gdy Natalia wyartykułowała, o co chodzi, a Krzyś zrozumiał, że chodzi o jego żonę, która przecież była taka idealna, gdy siedziała we własnym domu.

– Krzysiu, wiesz? Ada wpadła na pomysł, by ta kawiarnia na dole była specjalnie dla matek z dziećmi!

– Bardzo dobry pomysł, kochanie – powiedział niczego jeszcze nieświadomy Krzysztof. Pewnie gdyby wiedział, że to nie Ada wpadła na ten pomysł, ale jego żona, miałby zdanie zgoła odmienne.

– I co, będziesz mogła napić się tam kawy od czasu do czasu?

Zosia zaczęła pojękiwać w wózku.

– No jasne! I będą zabawki dla dzieci, i książeczki. – Zosia

wydarła się już na dobre. – Kurczę, Zosia płacze, chyba muszę ją nakarmić...

Natalia oddała wózek pod opiekę mężowi, rozchyliła płaszcz, rozpięła bluzkę i dyskretnie przystawiła Zosię do piersi. Dochodzili już do samochodu. Natalia osiągnęła niewiarygodną wprawę w karmieniu córki. Mogła iść, biec, a małej w niczym to nie przeszkadzało. Tak też było i tym razem. Doszli do samochodu, Zosia jadła, a Natalia nadal zafascynowana opowiadała o pomysłe dotyczącym kawiarni.

– Ślicznie tam zrobiła. Ma wykładzinę z rysunkami ulicy, stolik do malowania, pełno zabawek...

– Ale to ma być przedszkole? – zdziwił się Krzysztof.

– Nie, kawiarnia. Ale mają tam organizować jakieś warsztaty dla mam i dzieci. O wychowaniu dzieci...

– Fajnie. Pewnie będziesz sobie tam chodzić?

– Właśnie!

– I będzie też opieka dla dzieci. – Natalia spojrzała wyczekująco na męża. Ciężko jej było się przyznać, że to właśnie ona ma sprawować tę opiekę, ale w końcu musiała. Prawdę mówiąc, zastanawiała się, czy po prostu nie zacząć pracy, wszak mąż i tak od rana jest w banku i niczego by nie zauważył, ale jej światopogląd nie zezwalał na okłamywanie nikogo, a w szczególności męża.

– Ale chyba nie będziesz tam naszych dzieci zostawiać? Bo i po co? Przecież nie pracujesz?

– No właśnie. O to chodzi. Bo ja będę się opiekować dziećmi...

– Jak to ty? – Krzysztof aż przystanął.

- Tata, dlaczego stoimy?
- Bo nie idziemy, synku.
- A dlaczego nie idziemy?
- Bo stoimy.
- Acha – odrzekł Mikołaj, któremu takie wyjaśnienie zupełnie wystarczało.
- Nie rozumiem, a co z Zosią i Mikołajem?
- No, będę się nimi opiekować i innymi dziećmi też, jak przyjdą. Ale tam, na miejscu.
- Ale ja nie rozumiem po co?
- Bo chcę. – Natalia była już nieco zdenerwowana. Tak jak podejrzewała, pomysł nie spotkał się z aprobatą męża.
- No wiesz... Chcesz... Ja też wiele rzeczy chcę.
- I je robisz!
- No tak, ale twoje główne zadanie to zajmować się dziećmi.
- No właśnie!
- Ale swoimi! A nie żadnymi cudzymi bachorami! – Krzysztof podniósł głos.

Natalia odłożyła Zosię do wózka i gestykując, odpierała ataki.

– Tak? To jedyną moją rolą jest dom?

– Ależ, Natka... – próbował przerwać mąż, dając jej przy tym dziwne znaki.

– Nie przerywaj mi, jak mówię!!! Kobieta nie jest stworzona tylko do siedzenia w domu! Po coś na te studia poszłam!

– Natka...

– Nie przerywaj mi, jak mówię! Będę tam pracowała, czy chcesz, czy nie. Domu nie zaniedbam, dzieci też nie, nie bój się. Ale nie mogę już w domu siedzieć!

– Natka, masz...

– Nie przerywaj mi, jeszcze nie skończyłam!

Krzysztof tylko kiwał głową, wskazując z przerażeniem na jej bluzkę. Wydawało się, że nawet za bardzo nie słuchał jej słowotoku na temat ról w rodzinie. Kiwał tylko głową z rosnącym przerażeniem, bo zbliżała się właśnie wycieczka japońskich turystów z aparatami. A jak wiadomo, japońscy turyści nikomu ani niczemu nie popuszczają.

– Natuś! – ryknął, przysuwając się do niej.

– Nie krzycz na mnie i nie przysuwaj się tak blisko!

Japończycy byli coraz bliżej i wydawali się coraz bardziej zainteresowani kłócącą się parą.

– Natalio! Twoje cycki!

– Co moje cycki? Cycki też już ci się nie podobają?

Na chwilę przerwała, czekając na odpowiedź.

– Podobają, ale nie chciałbym, by spodobały się tej wycieczce, która tutaj idzie...

Natalia spojrzała w dół. Bluzkę miała rozpiętą, a jej obie piersi wyskakiwały ze stanika i wraz z każdym jej słowem i gestem kołysały się radośnie. Wszak dopiero co skończyła karmić Zosię.

Krzysztof patrzył na żonę.

Żona splonęła rumieńcem, zakryła się i wsiadła do auta. Przez całą drogę do domu milczała.

– Zaczynam od poniedziałku – mruknęła, gdy wrócili do domu.

– Musimy chyba jeszcze raz pogadać... – stwierdził Krzysztof. – Bo wiesz... Byłem nad wyraz rozproszony i zupełnie nie mogłem się skupić, jak taka półgoła stałaś na ulicy Szerokiej, a twoje piersi żyły sobie własnym życiem... – tłumaczył, uśmiechając się jak nastolatek.

W jego uśmiechu zobaczyła uśmiech Mikołaja, który coś właśnie zbroił i usiłuje się do tego nie przyznawać.

Uśmiechnęła się do niego i lekko zamachnęła w jego kierunku.

Zatrzymał jej ręce i szukał jej ust, by ją pocałować.

– Nie. – Chichotała jak mała dziewczynka. – Dzieci przecież!

– Ale wieczorem!

– Wieczorem? Pod warunkiem, że nie masz nic przeciwko, by twoja żona wyszła z domu i zarobiła na waciki!

– A kupisz mi prezent?

– Prezent?

– No jakieś małe BMW.

Natalia się roześmiała.

– Małe ci kupię!

Wyswobodziła się z jego ramion.

– To co, wieczorem? – zapytał.

– Może... Jak nie będziesz marudził, że twoja żona, którą chcesz zamknąć w domu z dwojgiem rozkosznych, aczkolwiek trochę męczących dzieci...

– A z innymi chcesz się męczyć?

– Nie wiesz, że im więcej dzieci, tym mniej roboty?

– Hurraaa!!! Robimy trzecie! – Z powrotem wziął ją w ramiona.

– Krzysiu!

– No dobra, dobra. Zrobimy wieczorem.

Mikołaj chichrał się wraz z nimi. Natalia swoje dzieci bardzo kochała, ale niekoniecznie chciała trzecie. W każdym razie nie teraz.

* * *

Magda Kondracka w drodze do przedszkola nagminnie łamała

przepisy ruchu drogowego. Oczywiście z powrotem jechała bardzo porządnie, bo przecież na pokładzie miała dzieci. Jakoś dziwnym trafem nie myślała, że jak jej samej coś się stanie, to jej mąż sobie z tym nie poradzi.

Na razie ona musiała sobie radzić doskonale. Lubiła te podróże z dziećmi do domu. Nawet lubiła to, co doprowadzało jej męża do białego szaleństwa. Stanie w korkach.

Jej przyjaciółka, imienniczka, nauczycielka angielskiego w jednej z kartuskich szkół, mawiała, że korki są fantastyczne. Można zadzwonić do kogoś, przemyśleć różne rzeczy, a nawet różaniec odmówić. Dobra to była dusza. Szkoda, że tak daleko.

Różańca w samochodzie nie odmawiała, natomiast rozmowy z dziećmi były jedyne w swoim rodzaju.

– Mama, ile ty masz lat? – zapytał Michaś.

– Trzydzieści siedem.

– A kto się przedtem urodził?

– Przedtem? No ostatnio ty się urodziłaś, przed tobą Amelka, jeszcze wcześniej mama, tata, babcia dziadek...

– Ja wiem, a przedtem to już tylko dinozaury.

Magda prychnęła śmiechem. To by się mamusia zdziwiła.

– Mama, a Klaudia w piaskownicy znalazła kość dinozaura. To nie fel, że ona ciongle coś znajduje. Łaz talantulę, łaz dinozaura.

– To nie był dinozaur, tylko człowiek. Szkielet znaczy. Mama, prawda, że w piaskownicy nie można znaleźć dinozaura?

– Prawda.

– Widzisz, Niunio? Zatem to musiał być kościotrup. Człowieka.

Jasne. Jakby kości człowieka miały prawo się tam znajdować. A swoją drogą Klaudia wydaje się niezłym odkrywcą. Magda Kondracka sama była ciekawa, co Klaudia znajdzie następnym razem w piaskownicy. Mimo bogatej wyobraźni nie była sobie w stanie tego wymyślić.

Zajechała pod gabinet.

– Ciastkooooo – wydarły się dzieciaki chórem.

Magda westchnęła. Myślała, że uda jej się zająć je rysowaniem albo czymkolwiek innym, bo miała do zrobienia jeszcze kilka rzeczy. Nazajutrz miał przyjść do niej pierwszy pacjent, nie kto inny, jak jej własny mąż z ukruszoną jedyneką. Jedyneką, która spędzała mu sen z powiek i powodowała, że zwykle miły, szarmancki i rozmowny pan doktor wydawał się pacjentkom mrukliwym gburem.

– Dobra. Ciastko.

Weszła do cukierni. Dzieciaki wbiegły galopem.

– Mama, a tu są zabawki! – oświadczył ze zdziwieniem Michał, zaglądając do drugiego pomieszczenia. W nim na podłodze siedziała Natalia z dziećmi. Całą trójką.

– Zapraszamy do nas – powiedziała i uśmiechnęła się do pociech Magdy.

– Mamoo! Możemy?

– O matko, a wy już ruszyliście z tym punktem opieki?

– Same nie wiemy. Na razie siedzimy i się bawimy. Mogą zostać, jak chcą.

– Nie wiem tylko, czy mam drobne. Ile to kosztuje?

Natalia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Nieźle biznes prowadzicie – podsumowała Magda z udawanym politowaniem i roześmiała się. – To zostawiam te oto bachory i idę zarobić trochę pieniążków.

– Mama! – zawołał Michaś. – A zalobis mi jakieś pieniąski?

– Zarobię.

– To jus idź.

Michaś, podobnie jak jego ojciec, uwielbiał pieniążki. I podobnie, jak jego mama, kochał je wydawać. Niedobre połączenie. Zdecydowanie niepoprawne.

Tymczasem Natalia już zajęła się dziećmi.

– Mam na imię Natalia, a ty? – zapytała dziewczynkę

– Amelka.

– A ja Niunio – wtrącił się chłopiec.

– Chyba raczej Michałek? – zapytała Natalia.

– Chiba lacej Niunio – oświadczył młody mężczyzna, łapiąc się pod boki.

Magda się uśmiechnęła, pomachała dzieciakom i poszła do swojego gabinetu.

Oczywiście, jak tylko przekroczyła jego próg, poczuła się najgorszą matką na świecie. Pozbyła się dzieci, by pracować. A przecież mogłaby pracować z dziećmi. Mogłaby, niczym ta murzyńska mama, przywiązać sobie węzełek z przodu i z tyłu i zajmować się robotą, jak na matkę przystało.

Przechłapane.

Wzięła się szybko do pracy. Po chwili zapomniała o dzieciach (to przykre) i wcieliła się w rolę najlepszej dentystki pod słońcem. Prawie wszystko było już przygotowane. Jutro przedstawienie przedpremierowe – czyli mąż, a od poniedziałku rusza z umówionymi pacjentami.

Miała nadzieję, że się uda.

* * *

Karolina była na kawie. Oczywiście nie na kawie w kawiarni na osiedlu, ale w prawdziwej kawiarni. Do prawdziwej kawiarni zaprosił ją znajomy. Znajomy potencjalny. Miała takich kilku, ale ten wydawał się jej najbardziej potencjalny z tych potencjalnych.

Niestety, po godzinie rozmowy w kawiarni zmieniła zdanie.

Facet potrzebował terapii. Takiej klasycznej. I dopiero, jakby tę terapię przeszedł, byłby gotowy na normalny związek. Na normalny, czyli taki, który ona chciała tworzyć. Westchnęła. Lubiła gościa, więc postanowiła mu pomóc. Ale cholera, dzieci z tego nie będzie.

Przynajmniej nie jej.

Tylko co, ma wmawiać facetowi, że z nim coś nie halo? Obrazi się przecież. Może zostawić? Ale to już kolejny. Miała pecha do jakiś artystów. Co drugi to fotograf z depresją. Czuły, wrażliwy i romantyk, ale bujający w obłokach. I ten tak samo. Normalnie świat zszedł na psy. A normalni mężczyźni wyginęli jak dinozaury.

I co gorsza, jak już kobieta takiego znajdzie, to się okazuje, że to jego kości są w przedszkolnej piaskownicy.

* * *

Zofia Kruk stała za rogiem szkoły i czekała na Zuzannę. Ta, gdy zobaczyła ukochaną Zosieńkę, przybiegła w podskokach.

– I co? Jak nasze sprawy? – zapytała Zosia konspiracyjnie.

– Na dobrej drodze. Wiesz, Zosieńko, że ja się do tych spraw bardzo nadaję. Gdyby nie ja, to wiesz, Pan Stanisław by się wcale tobie nie oświadczył, bo by się bał.

– Chłopów trzeba popędzać do działania – stwierdziła Zofia. – Pamiętaj o tym.

– No pamiętam, pamiętam. Tylko wiesz co, Zosieńko? Tata mnie zmartwił.

– Czym cię znowu zmartwił?

– No tym, że nie kupi Milence pierścionka.

– Jak to nie kupi?

– Podobno ma jakiś stary. I ten stary chce jej dać. – Bachor był bliski płaczu.

– Stary? Jak to stary? – Zofia Kruk była naprawdę zdziwiona.

– Normalnie stary. – Powiedział, że nosiła go prababcia Wolicka, potem babcia Wolicka, potem moja babcia, a teraz da Milence. Martwię się o niego.

– Dlaczego?

– Bo chyba nie ma pieniędzy. Nigdy nie był taki oszczędny, by komuś w tak ważnym prezencie dawać jakieś stare rzeczy.

– Zuzanko! – Uspokojona Zofia roześmiała się głośno. – Chodzi o pierścionek rodowy! To bardzo, bardzo cenna rzecz!

Bachor nie był zbyt przekonany, wszak ukochanej nie daje się używanych rzeczy. I to używanych jeszcze przez własną babcie. No nic. Może jeszcze ojca przekona.

* * *

Jacek Wolicki przeczytał w Internecie, że stare srebro czyści się najlepiej białą pastą do zębów. Białej pasty nie mógł znaleźć. Same kolorowe. Niemniej jednak poświęcił swoją szczoteczkę na szorowanie pierścionka.

– Tata, co robisz?

– Czyszczę.

– A planujesz coś?

– Zuza, nie denerwuj mnie.

– Tata, ja życzliwie pytam. Zosieńka mówiła mi, że czasem trzeba mężczyzn popchnąć do pewnych działań. Bo sieroty są i sami nic nie działają.

– Sie-sieroty? – zająknął się ze zdumienia Jacek. Już on pokaże „kochanej Zosieńce”, jaki to on jest sierota. Już on pokaże. Zabrał się do czyszczenia pierścionka ze wzmożoną siłą. Nie wiedział, że to nie koniec manipulacji małej istotki, która władała w dalszym ciągu sporą częścią jego serca.

– Tatusiu – zaczęła mówić Zuzanna tym charakterystycznym głosem, gdy bardzo o coś prosiła.

– Ty mi nie tatusiuj. Mów, o co chodzi.

– Mogę iść na weekend do Zosieńki?

Jackowi rozbłysły oczy. Przez myśl mu przeszło, że coś to wszystko za dobrze i za szybko się układa, ale tylko przez chwilę.

– Dobrze, Zuzanko.

– To pan Staszek mnie ze szkoły w piątek odbierze.

– To oni mają samochód?

– No, pan Stanisław zdecydował, że wreszcie kupią.

Najważniejsze to wmówić facetowi, że to on decyduje. Zofia Kruk była w tym mistrzynią. Ale jak widać, miała też bardzo, bardzo pojętną uczennicę.

Zuzanna Wolicka omotała swojego ojca wokół małego palca i grał

dokładnie tak, jak mu to śliczne blondwłose stworzenie zagrało.

* * *

Magdalena Kondracka chichrała się sama do siebie.

Dostali z mężem zaproszenie na kolejną czterdziestkę. Posypało się tego trochę. Bez słowa oglądał zaproszenie i cierpiał. W każdym razie minę miał cierpiącą.

- A może chociaż garstkę najbliższych przyjaciół?
- Wiesz, kochanie, z takimi to zawsze możesz iść na piwo.
- Piwo na czterdzieste urodziny. – Adam się zasepił.
- No, a co niby byś chciał? Szampana, kawior, truskawki?
- No nie, ale chociaż tort...
- Tort kupimy.

Adam był zrozpaczony. Nawet się zastanawiał, czy to dobrze, że się tak pospieszył z kupnem samochodu, bo przecież gdyby go kupił nieco później, jego żona nie miałaby wymówki, by mu nie organizować urodzin.

– Chłopie, nie martw się – powiedział jego przyjaciel. – Weźmiemy Cyryla i pójdziemy gdzieś na piwo.

Adam Kondracki przełknął głośno tę gorzką pigułkę.

Pójdzie na piwo jak za dawnych lat. Wyobrazi sobie, że to osiemnaste urodziny w klubie Medyk, i będzie się dobrze bawił. Nie

wie, czy to prawda, ale podobno w Medyku teraz tańczą na rurze. Nie był tam od lat piętnastu, ale może mówią prawdę.

Jakże byłby ucieszony, gdyby wiedział, że Magdalena wraz z Augustynem i Cyrylem, jego najbliższymi przyjaciółmi, już w stu procentach obmyślili dla niego imprezę urodzinową. Że nawet tort jest zamówiony, wielki jak stodoła. Bo gości miało być pięćdziesięciu. W sam raz na huczne urodziny, o jakich marzył Adam Kondracki.



NAWET IDEAL MOŻE BYĆ CZŁOWIEKIEM

Adrianna właśnie się zastanawiała, czy na pewno podjęła dobrą decyzję, jeśli chodzi o punkt opieki nad dziećmi. Bo wszystko wskazywało na to, że będzie to raczej punkt opieki dla mam, które będą chciały w spokoju spędzić kilka godzin swojego życia.

Przed chwilą do kawiarni wparowała bardzo elegancka pani w nieskazitelnie białym płaszczyku i w szpilkach. Zapytała, czy jeżeli będzie przyrowadzać dziecko na zajęcia, to zapewni mu to zrównoważony rozwój, oraz czy w tej placówce edukacyjnej jest wysoki poziom nauczania, a także według jakiej metodyki pracują.

Ada zamiast od razu odpowiedzieć na wszystkie nurtujące nieskazitelną panią pytania, sama zaczęła się zastanawiać, bo o zrównoważonym rozwoju i metodyce zajęć akurat z Natalią nie rozmawiała. I może to był błąd. Nieskazitelna kontynuowała:

– Proszę pani, ja się na tym nie znam. Jestem prawnikiem. I chcę oddać moje dziecko specjalistom. Szukam zatem ludzi, którzy się na tym znają. Każdy, proszę pani, powinien się znać na swojej dziedzinie.

Adrianna potakiwała głową, błagając o ratunek Najwyższego, by skłonił Natalię do wybawienia jej z opresji.

Najwyraźniej Najwyższy usłyszał te błagania, bo Natalia odwróciła się w stronę rozmawiających kobiet i, widząc minę Ady, przysła jej na ratunek.

– Dzień dobry, pani – przywitała się i wyciągnęła rękę, jednak na widok nieskazitelnie białego płaszczyka i wypielęgnowanych dłoni

prawniczki zainteresowanej zrównoważonym rozwojem postanowiła ją natychmiast schować za siebie. Jeszcze przed chwilą malowała z dziećmi farbami i to nie pędzelkiem, a palcami i co tu dużo mówić: jej dłonie zamiast cieliste były brązowo-granatowe.

– Pani ma do ciebie kilka pytań – powiedziała Ada ucieszona, że Natalia wybawiła ją z kłopotu.

– Proszę, przejdźmy tam, bo muszę mieć dzieci na oku – zaprosiła elegantkę Natalia.

Kobieta podreptała w stronę drzwi, stukając wysokimi obcasami.

– Tu musi pani zdjąć buty. To pokój zabaw. Dzieci biegają na czworaka... Nie wchodzimy tutaj w butach.

Elegantka zsunęła czólenka i weszła na wykładzinę w dróżki. Usadowiła się na małym foteliku i zaczęła zadawać pytania.

Na początku Ada się przysłuchiwała, ale wkrótce stwierdziła, że „zrównoważony rozwój” jest jedynym zwrotem, jaki jest w stanie mniej więcej zrozumieć, i wróciła do swoich zajęć.

Po półgodzinie pani Marietta (bo tak właśnie pani nieskazitelna miała na imię) wyszła zadowolona z pokoju dzieci.

– Do widzenia. Na pewno tu wrócę z Olafem. Pani Natalia wie, co robi. Doskonale przygotowany pedagog – stwierdziła, uśmiechnęła się sztucznie i wyszła z kawiarni.

Ada nie wytrzymała. Zaraz zajrzała do Natalii.

– I co?

– Wiesz, powiem ci, że pomimo moich początkowych

wątpliwości, ona też jest człowiekiem.

Ada spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Bo?

– Bo miała dziurę w rajstopach!

– No i?

– No i dzięki temu uznałam, że jest normalna.

– A tylko normalni ludzie mają dziury w rajstopach?

– Nie, ale wiesz. Moja teściowa to jest taka „ą, ę”. Pamiętam, jak się bałam iść na pierwsze spotkanie. Wiesz, pani sędzia. Konwenanse i te sprawy. I moja mama mi powiedziała, żebym wyobraziła ją sobie, jak siedzi na kłocie.

– O, matko.

– No właśnie. I jak mi ona zaczęła o prawie rzymskim i jego wpływie na coś tam, to ja wyobraziłam ją sobie w wiadomym miejscu i natychmiast zaczęłyśmy rozmawiać o czymś innym. Okazało się, że obie uwielbiamy Guillaume’a Musso i poczułam, że mimo całej pozy, to może być to bratnia dusza.

– I myślisz, że to wszystko przez ten kłoc?

– Zdecydowanie.

– No tak.

– I tu ta dziura w rajstopach. Jak pani elegancka zaczynała swoje naukowe wywody, to ja zaraz spoglądałam na dziurę i natychmiast

przestawałam mieć tremę. Od razu mogłam normalnie gadać. Powiem ci, że nawet mi się to podobało.

– Ja tam nie wiem. Nie umiałabym chyba z taką gadać.

– Jakbyś zobaczyła dziurę, może byś umiała. Ona jest całkiem fajna.

– No może... Kondraccy dzisiaj będą?

– Mają być. Magda męża naprawia w gabinecie. Powinni być zaraz po szesnastej.

* * *

– Mama, a ja będę kiedyś duży?

– Jasne, że będziesz duży. Kiedyś będziesz nawet tatusiem.

– O, matko. Będzie dwóch tatusiów? – zapytał zdziwiony Niunio. Po chwili jednak stwierdził:

– Mama, ja nie ciem być tatusiem! Ciem być mamusiom!

– Michałku, tak się nie da. Najpierw będziesz tatusiem, a potem nawet będziesz dziadkiem.

– No doooobla. Ale dziadkiem Andziejem – dodał po chwili. Nie dał Magdzie dojść do słowa. – Bez sensu. Będzie dwóch tatusiów. I widzisz, Amelka? Będziesz musiała się mnie słuchać. A ja będę kazał ci się bawić samochodami.

Amelka siedziała naburmuszona.

– Mama, powiedz mu, że gada głupoty.

– Mama, ja nie gadam głupot! – zaprotestował przyszły tatuś Michał i się rozkleił.

– Dzieciaki! Cicho!

Oczywiście się nie uspokoiły.

– Słyszycie mnie? Spokój! – Magda była coraz bardziej zdenerwowana. Prowadziła samochód i potrzebowała chociaż odrobiny skupienia.

Oczywiście nie posłuchały. Właśnie się okładały pięściami. Miał rację jej mąż, kiedy powiedział, że ktoś, kto stwierdził, że dwa lata różnicy pomiędzy dziećmi to najlepsze rozwiązanie, musiał być bardzo pijany.

Magda Kondracka zatrzymała się na poboczu. I wymsknęło jej się bardzo niepedagogicznie:

– Mam tego dość! Wiecie co? – krzyczała. – Mam wrażenie, że czasem macie mnie głęboko gdzieś!

– Mama, wcale nie, my nie mamy ciebie gdzieś, my mamy cię na zewnątrz! – zawołała Amelka prawie z płaczem.

– No tak, ale robicie wszystko, by mnie dzisiaj zdenerwować. By mnie w ogóle zdenerwować!

– Mama, a pławda, że jak ktoś złobi kupę na długiego, to go baldzo zdenelwuje? – zapytał w temacie Michałek.

– O Boże... – westchnęła Magda, zdecydowana nie kontynuować tematu.

Byle dojechać do gabinetu. Tam już Natalia zadba o wszystko. I o chwilę spokoju dla matki, i o zrównoważony rozwój dla dzieci. Bo na tym Magdzie Kondrackiej również zależało.

Dała dzieciom komórkę do zabawy, co może było mało pedagogiczne, ale zawsze działało. Po chwili już zaśmiewały się, grając zgodnie w jakąś bardzo ogłupiającą grę.

Po raz nie wiadomo który Magda Kondracka pomyślała, że jest bardzo złą matką, ale obiecuje sobie, że kiedyś – KIEDYŚ – się poprawi. Tylko ten gabinet ogarnie i trochę się wyśpi. Miała nadzieję, że nastąpi to już niedługo.

* * *

Tata Jasia (a przynajmniej tak był wpisany w telefonie) bombardował Karolinę od rana telefonami. W końcu za czwartym razem odebrała.

Koniecznienie chciał się z nią spotkać, by przekazać jej jakieś bardzo ważne dokumenty.

– A może pan podjechać na Myśliwską? Tu taka kawiarenka jest...

Nieczęsto spotykała się z pacjentami w kawiarni. Zwykle wybierała zacisze swojego gabinetu, ale tym razem bardzo nie chciało jej się tam jechać.

– Jasne, będę za chwileczkę.

– Może za dwie chwileczki – zaproponowała Karolina i roześmiała się. Lubiła tatę Jasia. Szkoda, że był jej pacjentem. Poszła do domu, zrobiła makijaż. Prawie nigdy tego nie robiła. Rozpuściła burzę loków

i była gotowa na spotkanie z bardzo sympatycznym mężczyzną.

To, że jest jej pacjentem, było chyba jego jedyną wadą. No cóż. Nie można mieć wszystkiego.

* * *

Adrianna właśnie kończyła tort na chrzest kolejnego mieszkańca jej osiedla. Z radością myślała, że następne dziecko dołączy wkrótce do jej małej grupki w pokoju zabaw. Czasem było pięcioro dzieci, czasem nawet więcej. Ustaliły stawkę dziesięć złotych za godzinę i okazało się, że jest to na tyle mało, że kobiety chętnie zostawiają im dzieci pod opieką.

A raczej Natalii. Przyzwyczyły się, że Natalia jest zawsze dwie godziny pomiędzy dziesiątą a dwunastą i trzy godziny po południu. A jak potrzeba, to przyjdzie i w innym terminie.

Często też organizowały warsztaty. Może dochód nie był zbyt wysoki, ale po odliczeniu wszystkich kosztów Adrianna miała dodatkowy tysiąc w swoim gospodarstwie domowym. No i nie musiała zatrudniać niani. To też była wcześniej ważna pozycja w jej domowym budżecie. Akurat pomyślała o tym, że jeżeli chodzi o wynajem tego pomieszczenia obok, to jest zdecydowanie posucha, gdy wszedł biegacz.

Biegacz z tortu.

Jako żywy.

Adrianna nie byłaby sobą, gdyby sobie nie przypomniała, jak czule głaskała go po umięśnionych udach i, prawdę mówiąc, nie tylko.

Biegacz wszedł (o dziwo, nie wbiegł), rozejrzał się uważnie, zatrzymując wzrok na Adzie, i zapytał, czy oferta wynajmu lokalu obok

jest aktualna.

– Poznaję pana... – oświadczyła Adrianna, po czym westchnęła.

– Ale... Ale... Czy my się kiedyś spotkaliśmy?

– No pan mnie nie spotkał, ale ja pana... – Ada zaczerwieniła się. – Głaskałam – dodała bardzo cicho.

Biegacz zmarszczył czoło.

– Hmm. No na pewno nie. Pamiętałbym... Zdecydowanie bym pamiętał...

Ada wybuchła śmiechem.

– O, matko, nie w ten sposób! Po prostu robiłam figurkę na tort. Ten pana urodzinowy. I tort też robiłam. Smakował?

– To pani jest tą mistrzynią? Rewelacja! Proszę mi powiedzieć, czy jak trzymam siebie na półce, to się coś ze mną stanie?

– No... Nie będzie pan tak smakował jak teraz.

– Czyli co? Nieużywany się popsuje? – dopytywał mężczyzna.

– No... Nieużywany nie będzie pan taki... Smakowity...

– A teraz?

– Co teraz?

– Teraz jest okej?

– No... Ten z cukru jest na pewno... Zjadliwy...

– A ten nie z cukru?

– Czyli pan?

– Po prostu Arek.

– Adrianna.

– Piękne imię.

– Dziękuję.

Na chwilę zaległa cisza.

– A w życiu też tak jest? Że trzeba używać?

– Używać życia?

– Tak. Zanim się zepsuje. I nie będzie takie smakowite.

– Jak się ma okazję... To może tak...

– A ty miewasz okazję?

– A muszę odpowiadać na to pytanie?

– Chciałbym znać odpowiedź.

– Wiesz. Z ludźmi nie jest chyba jednak tak jak z figurkami z cukru... Chociaż jak stoją w samotności gdzieś zapomnieni, to też chyba schną. Umierają... Kurzą się...

– Filozoficznie.

- Może...
- Czyli nie zapominać. I korzystać z szansy, jaką daje nam los.
- Tylko jak ją zauważyć?
- Kupić okulary – odpowiedziała Ada.
- Różowe?
- Nie, nie różowe. Różowe mogą wyblaknąć, a potem zostaje szara rzeczywistość.
- To może lepiej bez okularów?
- Może...

Adrianna nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że to nie jest zwykła rozmowa. Serce jej biło jak oszalałe, a facet najnormalniej w świecie ją denerwował. Nie, może to nie było właściwe określenie. Ale... Na pewno poruszał jakieś nuty w jej sercu. Dawno się tak nie czuła. Nie zdążyła zgłębić tematu okularów, bo trzasnęły drzwi i weszła siostra Arka.

- O, widzę, że się już poznaliście.
- Czar prysł. Jak zawsze różowe okulary spadły, nim zdążyła przez nie naprawdę popatrzeć.
- Dogadaliście się już we wszystkim? – zapytała dziewczyna.
 - We wszystkim nie – odparł Arek, patrząc Adzie w oczy. – Ale myślę, że w pewnych kwestiach podpasowaliśmy sobie.
 - No to dobrze – stwierdziła, kompletnie nie zdając sobie sprawy

z iskier, jakie przeskakują pomiędzy jej bratem a cukierniczką.

– A co do ceny? Dogadaliście się?

– Dwa tysiące miesięcznie... – powiedziała Ada, która jakoś tak bardzo, bardzo zaczęła chcieć, by Arek wynajął pomieszczenie obok. Po chwili się zreflektowała, że chłopak nawet nie widział lokalu. I że ona nie ma pojęcia, jaką działalność on tam chce prowadzić. – Może pójdziemy zobaczyć?

– A nie widziałeś jeszcze? – Siostra Arka zmarszczyła brwi. – To co wy tutaj robiliście?

– Rozmawialiśmy. Chodźcie, zobaczymy.

Ada odeszła od tortu. Jak dobrze, że Natalia właśnie wzięła dzieciaki na spacer. Może spacer to za dużo powiedziane, ale siedzi z nimi gdzieś na placu zabaw.

Lokal, który chciała wynająć, był połączony z kawiarnią, ale można było też wejść przez drugie wejście. Nowy gospodarz musiałby postawić ściankę działową.

– Proszę. Tu jest pierwsze pomieszczenie. Całkiem spore.

– Bo ja bym chciał tutaj zrobić małą siłownię.

– Siłownię? – Ada się zdziwiła. – Ale koło cukierni?

– No co. W sam raz!

– Ale czy klienci będą kupować u mnie ciacha, jak ty ich będziesz kusił smukłą sylwetką?

– Myślę, że to supersymbioza. Oni będą u ciebie jedli, a potem

będą przychodzić do mnie.

– No, nie wiem... Ale okej. Tu jest największe pomieszczenie. – Przeszła dalej. – Tutaj są kolejne dwa. Nie wiem, czy planujecie tylko jeden rodzaj ćwiczeń. Jest też łazienka, mogłyby być prysznic i szatnia.

– Blanka, zobacz – ożywił się Arek. – Tu wszędzie są okna. Wentylacja też. Tutaj mogłyby być rowery. Tutaj pokój z lustrami do aerobiku czy treningu personalnego. A tutaj sprzęt.

– Planujemy siłownię tylko dla kobiet – wyjaśniła Blanka. – Widziałam tu sporo młodych mam. Słyszeliśmy, że pani też zajmuje się opieką nad dziećmi?

– No... Koleżanka...

– A czy byłaby możliwość podpisania z panią umowy, by nasze klientki korzystały z pani usług w czasie ćwiczeń po preferencyjnych cenach? Taki pakiet? Bo myślimy, że dużo kobiet chciałoby, ale nie mają z kim zostawić dziecka. Ja sama mam małe dziecko i wiem, jak czasem jest ciężko...

– Ja też wiem – powiedziała ze zrozumieniem Ada. – Mój Michał ma rok. Niania mnie zostawiła i to wszystko – wskazała na pokój zabaw – wyszło zupełnie przez przypadek.

– Masz dziecko? – Arek popatrzył na Adę wnikliwie.

– Mam – odpowiedziała nieco ostro i spojrzała mu w oczy.

Wyglądał, jakby się zmartwił. Adrianna poczuła w sobie lwicę. Jak to? Najpierw się nią interesuje, a potem, gdy dowiaduje się, że ma syna, wycofuje się. Niech spada.

Jeśli ktoś nie jest w stanie zaakceptować tego, że ma dziecko, to

niech lepiej idzie swoją drogą. Ale z czegoś trzeba żyć. Musi wynająć ten cholerny lokal. A facet wydaje się uczciwy.

– Dobra. Bierzemy – powiedział jakby bardziej oschle. Nie patrzył już jej w oczy. Czar prysł.

– Kaucja w wysokości jednego czynszu... – powiedziała cicho Ada.

– Dobrze. Przygotujesz umowę? Czy my mamy się tym zająć?

– Jeśli macie jakiś wzór, to chętnie bym skorzystała.

– Okej. Prześlę ci mailem. Wieczorem. A mogę poprosić o numer konta? Nie chciałbym, by i ten lokal ktoś mi sprzątnął sprzed nosa.

– A już jakiś inny lokal ktoś ci sprzątnął?

– Nie... Lokal nie... – Arek się zamyślił. – Ale w życiu różnie bywało.

Ada wyciągnęła kalendarz, spisała numer konta na karteczce i podała ją Arkowi.

– Dziękuję. Dzisiaj wpłacę. Proszę o sygnał esemesem, gdy dojdzie. Tu jest mój numer. – Wręczył jej wizytówkę.

– Na pewno wyślę.

– Chciałbym ruszyć jak najszybciej ze ścianką. W sobotę zamykasz i w niedzielę też masz zamknięte?

– Tak.

– Nie chcę ci psuć dnia pracy. Przyjdę w niedzielę i zrobię.

– Sam będziesz robił?

– Nie, nie sam. Wezmę kolegów. Żadna filozofia ściankę postawić. Potem będzie trochę roboty w środku, ale jak widzę nie za dużo. Już chcę być oddzielony, by ci nie przeszkadzać. W niczym – powiedział i jakoś tak smutno się uśmiechnął.

Adrianna miała wrażenie, że coś się skończyło. Coś, co się jeszcze nie zaczęło.

No, ale jak jemu jej syn przeszkadza, to naprawdę nie mają o czym rozmawiać.

W drzwiach minęli Natalię z dziećmi.

Michała trzymała na rękach, Zosia była w wózku, a Mikołaj dreptał obok.

– Chyba kupię wózek jak dla bliźniaków – oznajmiła z wysiłkiem w głosie. – Albo nauczę wreszcie chodzić tego twojego chłopaka. Bo klops z niego coraz większy, a latać nie chce. Babki w piasku klepie, przemieszcza się, ale nie na nogach. Ma jeden sobie tylko znany sposób poruszania się. I zasuwa, jak cholera – trajkotała nieustająco. Wreszcie zauważyła, że coś się w Adzie zmieniło.

– Ale co ty, smutna jesteś? – zapytała troskliwie.

Ada wzruszyła ramionami i zapytała:

– Słuchaj, co byś zrobiła, gdyby ci się wydawało, że mogłoby z kimś coś być, ale ten facet się wycofuje, jak się dowiedział, że masz dziecko.

– Czekaaj, czekaaj. Biegacz?

Ada pokiwała głową.

– Ale przecież wy się dopiero co spotkaliście?

Ada znowu potwierdziła.

– To ja już nic nie rozumiem.

– No widzisz? A ja mam rozumieć? No, ale jak ktoś nie akceptuje mojego dziecka, to niech spada.

– Masz rację. Michał jest najważniejszy.

– Właśnie. I każdy facet będzie musiał to zaakceptować, o ile będzie chciał być ze mną.

– Wiesz, że to będzie dla niego trudne?

– A kto powiedział, że życie jest łatwe? Jak o coś walczysz, to potem bardziej to szanujesz. A jak wszystko masz podane na tacy, to potem nawet nie zauważasz, że to masz. Nic na siłę, moja droga.

* * *

Natalia zasypiała już w swoim łóżku, obok Krzysztof czytał książkę. Po chwili ją odłożył i zaczął przytulać się do żony. Natalia go odsunęła. Owinęła się mocniej swoją kołdrą i sennie wyszeptała:

– Krzysiu, nic z tego. Nie mogę tak ulec od razu. Musisz o mnie zabiegać. – Ziewnęła. – Jak ci się oddam cała, to potem nie będziesz mnie szanował.

Krzysztof nic z tego nie rozumiał. Myślał, że już się nachodził, by

zdobyć żonę. Nanosił kwiatów. Nazabiegał o nią. Był także pewien, że żona oddała mu się już w całości. Był jednak także przyzwoitym mężczyzną i słuchał żony, aczkolwiek się do tego nie przyznawał. Skoro jego żona twierdziła, że jest inaczej, niż myślał przez pięć lat ich małżeństwa, nie oponował. Widać było inaczej. Krzysztof Kalinowski postanowił kupić nazajutrz tulipany dla żony. Zasypiał i nie mógł opędzić się od myśli, co to znaczy, że żona nie oddała mu się cała. Bardzo go to intrygowało. I zasnął z uśmiechem na ustach. Był pewien, że po tulipanach jego żona zmieni zdanie.

Ale co to, do cholery, znaczy, że mu się odda cała?

Bardzo go to intrygowało.

Nieźle, gdy żona tak bardzo intryguje po dziesięciu latach znajomości.

* * *

Magda jechała do pracy. Spieszyła się, bo w przychodni jedna klientka się spóźniła. A wiadomo, jak jedna się spóźnia, to potem wszystko się wali.

Usłyszała miauczenie.

Boże. Kot?

Nieemożliwe. Skąd w samochodzie wziąłby się kot?

– Miauuuuuu.

Rozpaczliwy dźwięk zdawał się dochodzić jakby z torebki.

Magda Kondracka przerażona zatrzymała się na poboczu. Miała

coś w torebce.

Torebkę miała wielką i przepastną, więc niejeden kociak by się w niej zmieścił. Nerwowo rozsunęła zamek. Najpierw zajrzała do środka, a potem nieśmiało wsunęła rękę.

– Miauuuu.

Wzdrygnęła się. Po chwili usłyszała:

– Jestem głodny! Miauuu.

Magdalena przełknęła nerwowo ślinę. Rozejrzała się po samochodzie, by sprawdzić, czy nie ma niepożądanego pasażera. Była sama.

Kolejne „miauuuuuu” zabrzmiało jeszcze bardziej rozpaczliwie. I w tym samym momencie jej komórka się rozświeciła. Na wyświetlaczu widoczny był mały kot Tommy, który wydierał się, że jest głodny i chce mu się siku. Natychmiast!

Jezu, jak to wyłączyć?

Tommy nadal krzyczał, że chce mu się siku. Magda zakryła telefon torebką. Spod torebki rozlegało się w dalszym ciągu rozpaczliwe wołanie.

Stojąc na światłach, wydostała tę cholerną komórkę, nakarmiła kota, napoiła, pomogła mu się wysiusiać i zaległa błoga cisza. Do czasu oczywiście.

Właśnie czyściła panu Markowi dolną czwórkę, kiedy rozległo się głośne nawoływanie kogoś, że jest głodny.

Pan Marek spojrzał pytająco.

Magdalena wyjęła mu ślinociąg z buzi.

– Panie Marku. To mój telefon. Czy umie to pan wyłączyć? Dzieciaki bawiły się i coś mi zainstalowały, a ja teraz muszę karmić, poić i sikać razem z kotem Tommym. Jakbym miała zbyt mało obowiązków.

Wspólnymi siłami odinstalowali kota i nastąpiła błoga cisza.

– Matko. Jak cudnie. Jak ja doceniam ten cichy czas. Zabieramy się do roboty, panie Marku.

– A już było tak miło. Myślałem, że będzie jakaś nagroda za uratowanie pani przed tym drapieżnym zwierzęciem.

– Będzie, będzie. Zrobię panu jednego zęba gratis.

Nie takiej nagrody oczekiwał pan Marek. No, ale cóż. Dobrze, że chociaż zęby będzie miał zrobione.

* * *

Zuzanna Wolicka nie do końca dała się przekonać, że pierścionek rodowy jest najfajniejszy.

– Widzisz, Stasiulku – mówiła, objadając się jabłkami, które Stasiulek dokładnie obierał i kroił na ćwiartki, wydrążając przy tym gniazda nasienne. – Jak myśmy się oświadczeni, to poszliśmy po normalny pierścionek, do sklepu, a nie jakiś stary z szafy. – Wzruszyła ramionami. – Ty wiesz? On nawet brudny był. Taki cały poczerniały. Tata wziął swoją starą szczoteczkę i go czyścił moją pastą do zębów. – Zuzanka była wyraźnie zdegustowana. – Stasiulku, przecież jak ja idę na urodziny, to nawet nie pomyślę o tym, żebym jakieś stare

zabawki oddała. Raz oddałam kolezance grę, bo dostałam na urodziny takie dwie, ale ona zupełnie nowa była. Nawet z powrotem zawinęłam w papier i kokardkę. Ale pierścionek? To na całe życie!

Stasiulek nie mógł nic powiedzieć, bo Zuzanna nie pozwalała mu dojść do głosu.

– A może on jej nie kocha? – zastanawiała się głośno zasmucona dziewczynka. – Przecież jak się kocha, to się oddaje drugiej osobie wszystko, prawda? A mój ojciec chce jej dać stary, brudny pierścionek z szafy.

– Zuzanko, ale to właśnie jest wszystko!

Zuzanna patrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Masz jakąś pamiątkę, taką najcenniejszą, której nie dałabyś nigdy nikomu? Której nawet nikomu nie pokazujesz, bo jest ona dla ciebie na tyle cenna, że nie chcesz nawet, by ktoś na nią patrzył?

Zuza zamyśliła się.

Przypomniała sobie o małej broszce. Bursztynowej różyczce ze srebrną łądyżką. I z małym zdjęciem. Jedynym, na którym była Zuzanna zaraz po urodzeniu i jej mama. Wymęczona trudami porodu. Skarby te Bachor miał głęboko ukryte. W drewnianej zamykanej szkatułce, którą chował w tapczanie pod pościelą. Raz do roku potajemnie tam zaglądał. Zawsze w swoje urodziny. Chociaż przez chwilę był tam z nią i zastanawiał się, dlaczego odeszła. Nigdy o to nie zapytał ojca. Nie chciał go martwić. On i tak miał sporo powodów do zmartwień.

– Przekonałeś mnie – mruknęła dziewczynka. – Mam nadzieję, że chociaż bukiet kwiatów kupi. Albo zabierze ją do jakiegoś SPA.

– Och, pojechałabym do SPA! – oznajmiła rozmarzonym głosem

Zosieńka.

– Ja też! – zawtórowała jej Zuzanna.

– A ty wiesz, co się robi w takim SPA? – zapytała Zofia Kruk.

– Nooo... Ma się ogórki na oczach i ciebie masują.

– Och tak! – zamruczała Zosieńka. – Przystojni panowie masują...

– Zosieńko! Ale po co przystojni, jak masz ogórki na oczach? – zapytał autentycznie zdziwiony, jak zawsze rezolutny Bachor.

* * *

Parys Antonio ogórkami by nie pogardził. Podejrzliwie patrzył na swojego pana, który miotał się po całym domu, pakując do dwóch wielkich walizek. Nie denerwował się wcale, przypatrywał się podejrzliwie, aczkolwiek ze stoickim spokojem. Pamiętał, jakie były ustalenia, i był pewien, że z małą dziewczynką będzie miał bardzo szczęśliwe życie. Do Holandii nie chciał jechać. Przecież znał lepsze rzeczy do jedzenia niż holenderskie tulipany. A już na pewno znała je pachnąca truskawkami dziewczyna, która często pachniała dodatkowo ojcem dziewczynki. Miał trafić do ludzi, których kochał. A pan niech w spokoju leczy się w tej Holandii i wraca zdrowy.

* * *

Jacek Wolicki myślał na szczęście dokładnie tak, jak jego córka. Wprawdzie nie przewidywał ogórków na oczach w nadchodzący weekend, ale SPA kojarzyło mu się z gorącą sauną, lodowatą wodą i gorącą kobietą. A dokładniej gorącym Milaczkiem.

Opętała go ta dziewczyna i sam się zastanawiał, jak to się stało.

Kochał w niej wszystko.

Miękkie palce, miękkie stopy, długie nogi, bardzo miękki brzusek. Taki, że przytulenie do niej było czymś tak niewyobrażalnie przyjemnym, że mógł tak leżeć całą noc. Albo i dwie. Albo nawet całe życie. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego matka Zuzy nie dostała od niego pierścionka prababci Wolickiej, ale nie mógł sobie tego przypomnieć.

Widocznie nie chciał, by go dostała. Prosta sprawa.

Pierścionek leżał na stole. Wyszorowany, w małym czerwonym pudełeczku na atlasowej poduszeczce.

Jacek sięgnął po telefon.

Uległ namowom córki i kupił jej komórkę. Dzięki temu wiedział zawsze, gdzie jest. Tak to już jest z samotnym ojcem, że jego dziecko czasem pałęta się po koleżankach.

– Zuza. A gdybym wyjechał na weekend?

– Sam czy z Milaczkiem?

– No... Oczywiście, że z Milaczkiem.

– No, ale wtedy oboje będziecie cudzołóżyc?

Jacek się zakrztusił.

– Ale jedzicie do hotelu?

– No myślałem o czymś nad morzem. Czymś bardzo, bardzo

fajnym.

– To czekaj, tato. Jak wynajmiecie to, to będzie to przez chwilę tak jakby wasze. Czyli to łóżko będzie na chwilę pożyczone, czyli okej.

Jacek Wolicki nic z tego nie rozumiał. I nawet nie zamierzał rozumieć. Logika kobiet, nawet tych najmniejszych, go przerażała. A wkrótce wokół niego będą same kobiety. Może by sobie chociaż chomika kupił. Albo psa. Zuza molestowała go o zwierzaka, ale nie teraz, nie teraz...

– I kwiaty kup, tata.

– Jakie kwiaty?

– No kwiaty. Dużo róż.

– Zuzanko, ale one zwiędną w czasie drogi.

– Nieważne, tata, nieważne. Ty nic nie pogoogłałeś o tych zaręczynach. Co ty byś beze mnie zrobił.

Faktycznie. Życia bez swojej córki sobie nie wyobrażał. Byłoby nudno i okrutnie smutno. Zadzwoił do Milaczka.

– Milenko, jesteś w domu?

– Jestem. Schodzić na dół?

– Słuchaj, bo ja chciałbym cię porwać na weekend. Tylko my dwoje.

– Dwoje? A Zuza?

– Zuza bardzo mnie prosiła, bym pozwolił jej na wizytę u twojej

ciotki.

– Mojej ciotki?

– No, Zosieńki.

Milaczek zmarszczył czoło. Zbyt dużo tych zbiegów okoliczności. Ciotka się znowu wtrąca. Ale jeśli dzięki temu wtrącaniu ma okazję spędzić cały weekend z Jackiem...

Gdy się rozłączyła, zadzwoniła do ciotki.

– Ciociu, czy ty rajfurzysz?

– Rajfurzę? A coś ty znowu, dziecko, wymyśliła? Oj tam, zaraz rajfurzę. A co się stało?

– No, Zuzankę wzięłaś do siebie.

– Dziecko chciało ze Stasiulką w warcaby pograć czy inne karty. Wiesz, oni mają te swoje tajemnice.

– Hmm. Tajemnice powiadasz.

– Tajemnice, Milaczku. Baw się dobrze nad morzem!

– A skąd ty wiesz, że ja jadę nad morze?

– Ekhm... Zuzanka mówiła, że jej tata dzwonił. No, domyślam się, że sam nie jedzie...

– Ehehehe.

– Muszę-już-kończyć-Milaczku-pa – powiedziała jednym tchem i Milena usłyszała sygnał rozłączonego połączenia.

Ładnie, ładnie.

Miejmy nadzieję, że mieszanie ciotki tym razem wszystkim wyjdzie na dobre.

Bo Milenka nie miała już siły na kolejny nieudany związek. Ostatnio w ogóle na mało co miała siłę. Praca ją wykańczała, zatem miły pobyt w SPA bardzo jej się przyda.

O ile tam jej Jacek nie wykończy.

Ale jak przyjemne może być to wykańczanie!

* * *

Adam Kondracki zadzwonił do żony, że jest tak zmęczony po dyżurze, że idzie na piwo z kolegami. Jasne. Koledzy wszyscy młodszy, nie mieli domów wypełnionych dziećmi i żonami. Ostatnio prowadzał się z kolegą ze szpitala Augustynem i jego przyjacielem Cyrylem. Jak można ludzi tak skrzywdzić imionami. Na początku myślała, że to przezwiska, ale niestety. Zarówno Cyryl, jak i doktor Poniatowski byli na wskroś prawdziwi. I otóż z nimi jej bardzo wyczerpany mąż musiał w Browarni pić piwo. Znając życie, to przyjdzie nad ranem.

Tak też się wydawało jej pięcioletniej córce.

– Mama, znając życie, to tata nie wróci prędko.

No tak. Pięć lat, a życie już zdążyła poznać.

– Mama, zaśpiewaj kołysankę – rozkazał Niunio.

– Na Wojtusia z popielnika... – zaczęła Magda. Dzieciaki jej cicho

zawtórowały. Lubiła z nimi śpiewać. Znały już prawie wszystkie piosenki z dzieciennych lat. – Była sobie raz królowa, pokochała grajka, król wyprawił im wesele i skończona bajka.

– Mamo, a dlaczego właściwie skończona bajka? – zapytała Amelka.

– No cóż. Tak to czasem bywa... – powiedziała cicho Magda. Ale faktycznie. Piosenka stara jak świat, a nawet w tamtych czasach bajka się kończyła w momencie zamążpójścia księżniczki. I jak to teraz dziecku wytłumaczyć. Na dodatek dziecku, które przed chwilą stwierdziło, że „zna życie”.

– Śpijmy dzieciaczki.

– Mama, a opowiedz mi jeszcze na dobranoc wielki o znikaniu.

– Siedzi baba na cmentarzu, trzyma nogi w kałamarzu, przyszedł duch, babę w brzuch, baba w krzyk, a duch znikł – wyrecytowała Magda.

– Mama, a co jest w bziuchu?

– A jak myślisz?

– Ciało?

– No tak. Żołądek, wątroba, śledziona...

– Kochana jesteś, mamusiu, ze mi to powiedziałaś... – Magda spojrzała na syna z miłością.

Amelka już spała.

– Śpij już, kochanie.

– Mama, ja ciebie kocham tyle lazy, ile wszystkich wywlotek i cienzalówek na świecie.

– Ja ciebie też. Dobranoc.

Magda Kondracka zeszła na dół, usiadła w fotelu i włączyła film. Właśnie się kończyła jakaś komedia romantyczna. Ślubem.

Psst. Skończona bajka.

* * *

Adam Kondracki pił w Browarni, bardzo jednak kochał swoją żonę. Tłumaczył właśnie przyjaciołom, że koniecznie muszą założyć rodziny, bo nie ma nic lepszego niż powrót do pachnącej pościeli, a dokładnie do pachnącej żony leżącej w tej pościeli.

Z każdym piwem kochał żonę jeszcze bardziej.

Po siódmym stwierdził, że ta miłość jest już tak wielka, że musi koniecznie wracać do domu. Zamówił taksówkę i z Gdańska Głównego do Matemblewa pojechał przez Sopot. Coś mu nie pasowały krajobrazy i nieco długo jechał, ale się nie stawiał. Zawsze płacił trzydzieści dwa złote nocą, to teraz też tyle zapłaci. Ni mniej, ni więcej. Będzie się wyklócał. Postawi się, o ile da radę stanąć. Może i Adam Kondracki jest pijany, ale wie, za ile dojechać do domu.

– Sto dwadzieścia siedem – oświadczył nieuczciwy kierowca.

– O nie, mój panie – wycedził Adam przez zęby. – Zawsze płaasę szyyydzieści dwa złote, to i teraz zapłacę szyyydzieści dwa złote. A że pan chciał w moim towarzystwie zwiedzać Sopot, to już nie moja brocha – powiedział tonem śpiewnym, charakterystycznym dla osób zbyt długo

przesiadających w knajpach. Podniósł się dumnie z fotela i wyszedł, a w zasadzie prawie wyleciał z samochodu.

Grzecznie załatwił swoje potrzeby fizjologiczne pod drzewkiem na własnej posesji i dopiero wszedł do domu.

Było, jak się spodziewał. Pachnący dom, pachnąca pościel, a w niej pachnąca żona.

Jest szczęściarzem.

Gdyby wiedział, że tak jest po ślubie, ożeniłby się kilka dobrych lat wcześniej.

Położył się na łóżku w ubraniu, zdjął tylko buty i natychmiast zasnął.



ZOFIA KRUK
STWARZA WARUNKI.
POTAJEMNIE STWARZA
OCZYWIŚCIE

– Niunio, ty wymyśl sobie karę jakąś za piszczenie i wrzeszczenie. Bo naprawdę nie mam już siły.

– Dobła, mama, to jak będę pisał, to nie będę jadł słodczy aż do wieczora.

Magda spojrzała na niego pytająco. Michałek najwyraźniej myślał. Po chwili dodał:

– Mama, ale wiesz... ja mozie... MOZIE... nie będę pisał. Mozie będę normalnie mówił. Ale MOZIE.

Magda Kondracka była na skraju wyczerpania. Syneczek był bardzo uroczy, ale też tym urokiem potrafił omotać wszystkich wokół siebie. Gorzej, gdy ktoś stawał się odporny na jego zagrywki i zaczynał od niego wymagać tyle, ile od każdego normalnego trzyipółletniego dziecka.

Magda próbowała już wszystkiego. Karolina poradziła jej ostatnio zaznaczanie na tablicy motywacyjnej wszystkich sukcesów Michałka. Nawet tych najdrobniejszych. Przez dwa dni szło im całkiem nieźle. Aż do dzisiaj, kiedy to stwierdziła, że ten patent chyba nie działa.

Rano Niunio się rozdarł, bo nie potrafił założyć bluzki. Jak to miał w zwyczaju pisał niemiłosiernie.

– Spokojnie! – krzyknęła Magda. – Pomogę ci.

Pisk natychmiast ustał.

– Grzećna mama. Dostaniesz plusa. – Michał wyciągnął ręce w górę i w ciszy pozwolił sobie nałożyć bluzkę.

Nic. Byle do matury. Chociaż ta matura to będzie okropna. Swoją niemiło wspominała, a teraz jeszcze dwa razy będzie musiała ją zdawać. Raz z Michałem, a raz z Amelką. Boże, jak ciężko jest wychować człowieka na ludzi!

* * *

Remont w kawiarni rozpoczął się już w środku nocy. Ada nie bardzo wiedziała, jakim cudem się to odbyło, ale w piątek miała jeszcze do dyspozycji wielkie przestrzenie, a gdy w poniedziałkowy poranek przekroczyła próg, okazało się, że jej cukiernia bardzo się skurczyła. Na granicy dwóch lokali stała biała, starannie wymalowana ścianka działowa. Nawet obrazki kawiarniane wisiały tam, gdzie powinny.

Za ścianą rozlegało się szuranie. Widać ostro zabierali się do roboty. Sama była ciekawa, kiedy ruszą. Nie to, żeby wybierała się na siłownię, ale może kiedyś?

Pół nocy piekła tort. Tort specjalny. Musiał być najpiękniejszy na świecie. Bajkowy. Jej syn kończył rok. Chciała spędzić ten dzień z nim zupełnie sama. Leżąc na podłodze we własnym domu, bawiąc się, śmiejąc i jedząc właśnie tort.

Wcześniej już ustaliła z Anią, że tego dnia jej nie będzie. Ewentualnie pod telefonem. Przyszła na chwilę tylko po pieczywo, zobaczyła ściankę działową, przywieszzone obrazki, poprzesuwane stoliki.

– Idzie nowe – stwierdziła zdecydowanie. – Dziś Michaś kończy pierwszy rok swojego życia. A tutaj coś się zaczyna. Będzie dobrze.

Ania wyszła zza lady i mocno uściskała Adrianę, po czym wręczyła jej dwie paczuszki.

– To dla Michasia – powiedziała, wskazując na jedną. – A to dla dzielnej mamy. Taki drobiazg.

Michaś dostał zabawkę, a Ada mosiężną małą żabkę.

– Wrzuć ją do kasy. Niech tam zawsze będzie. Zapewnia bogactwo.

Ada się roześmiała. Ale co tam. Mała mosiężna żabka w kasie na pewno nie zaszkodzi.

* * *

– Pani Ady dziś nie ma? – Arkadiusz wszedł do kawiarni.

– Nie, dziś jestem ja – odparła Ania i uśmiechnęła się swoim najbardziej promiennym uśmiechem.

– A kiedy będzie?

– Jutro. Dziś ma urodziny syna. Świętują.

– Ach, rozumiem... To poproszę cztery drożdżówki dla chłopaków. Kawę też poproszę. Piwska nie pozwalam im pić. Bebcony tylko od tego rosną, a robota nie idzie. – Mrugnął okiem i wyszedł.

* * *

Ada karmiła właśnie Michasia tortem. Specjalnie upiekła taki, by chłopiec mógł go jeść. Śmietanowo-malinowy. Z jego ulubionymi bohaterami z Dobranocnego Ogrodu. Nieoczekiwanie do drzwi zadzwonił dzwonek. Otworzyła.

– Kurier – przedstawił się gość.

– Kurier? – zapytała zdziwiona.

– Mam przesyłkę dla pewnego małego mężczyzny.

– Przesyłkę?

– Proszę tu podpisać.

Adrianna podpisała. Mężczyzna wręczył jej dość spore pudło, zapakowane w kolorowy papier i przewiązane wstążką.

– A od kogo to? – zapytała.

– Tam wszystko powinno być.

Pożegnała kuriera i weszła do pokoju. W pudełku było drugie pudełko zapakowane w bardzo szeleszczący papier. Michałowi bardzo się to podobało. Dobrą chwilę poszeleścił, a dopiero potem zainteresował się, co jest w środku.

To był największy zestaw klocków duplo, jaki Ada widziała w swoim życiu. Jakieś budynki, zwierzęta. Wysypała wszystko na ziemię. Michaś się roześmiał.

Od kogo był ten prezent?

Chyba już wiedziała. Tatuś sobie na chwilę o dziecku

przypomniał. Uśmiechnęła się smutno i wróciła do zabawy.

* * *

Jacek Wolicki porwał Milenkę do Jastarni. Pierścionek po prababci Wolickiej niemalże parzył go w serce. Miał go w wewnętrznej kieszeni kurtki i przysięgłby, że tam było gorąco.

Wymyślił sobie, że weźmie Milenkę na długi spacer, tam padnie przed nią na kolana (bo córka uświadomiła go, że bez padania na kolana to się zupełnie nie liczy) i zapyta, czy za niego wyjdzie. Miał nadzieję, że tak. Właściwie nie przewidywał innego rozwiązania, ale zawsze gdzieś z tyłu głowy czaiła się ta nutka niepewności. Z jednej strony chciał, by było już po całym zamieszaniu, a z drugiej nie mógł się doczekać reakcji Milenki na pierścionek. Nie spodziewał się, że Milaczek miał zgoła inne plany na ich wspólny pobyt w Jastarni. Powiedziała, że jest tak zmęczona, że jedyne co, to jest w stanie siedzieć w jacuzzi albo wylegiwać się z nim w łóżku.

Dostała w kość pod nieobecność szefa, ale żeby aż tak?

– Jacuś, może jutro pójdziemy... – mruzczała, siedząc w bąbelkach.
– Czuję się jak w raju.

W tym momencie Jacek Wolicki poczuł się mężczyzną. Zrobił to, w czym, jak wiemy, mężczyźni są mistrzami, czyli napiął klatkę piersiową do granic wytrzymałości i przesunął cały tłuszcz z brzucha w bicepsy, po czym powiedział:

– Milaczku, ty jeszcze nie wiesz, jak wygląda raj. – Po chwili spuścił powietrze i już wyglądał zupełnie normalnie. – Zaraz przyjdę.

Kapiąc mokrymi bokserkami, podążył do pokoju hotelowego, gdzie z kurtki wyjął pierścionek. Obejrzał, czy wszystko jest na swoim

miejscu, wziął kwiaty, które wcześniej kazał przysłać do pokoju (skąd ta Zuza wiedziała, że tak można?), i poszedł z powrotem na basen.

Milenka nadal leżała w jacuzzi w tej samej pozycji, w jakiej była, jak ją zostawiał.

– Nie każ mi nigdzie wychodzić – szepnęła.

Jacek się zestresował.

– Nie chcesz nigdzie wychodzić? – zapytał drżącym głosem.

– Nie. Nigdy.

– Milaczku! A za męża?

Stał z bukietem kwiatów w jednej dłoni i małym czerwonym puzderkiem w drugiej. Wyglądał iście żałośnie. Prawie goły, bo cóż liczą się marne spodenki i to na bosaka.

Milenka otworzyła jedno oko. Ukazał jej się widok piękny, bo przedstawiający bukiet róż.

Otworzyła drugie oko. Zobaczyła sierotę, znaczy Jacka Wolickiego, który miał bardzo zbolalą minę.

Spojrzała na niego.

– Milaczku, wiem, że nie chcesz nigdy nigdzie wychodzić, ale może zrobisz wyjątek i wyjdiesz za mnie? – zapytał.

Milena otworzyła jeszcze szerzej oczy. Czowała się, jakby grała w jakimś filmie. Zerwała się na równe nogi, zapominając, że w innych strojach wygląda zdecydowanie lepiej niż w stroju kąpielowym, i mocno przylgnęła do Jacka.

– To znaczy tak? – zapytał. – Czekaj, Zuza kazała mi uklęknąć, powiedziała, że bez tego się nie liczy.

Ukląkł na mokrej podłodze i wsunął pierścionek na palec Milenki. Pierścionek siedział ciasno, ale pasował. Jak to dobrze, że prababcia Wolicka była sporą kobietą!

– Tak! Jasne, że tak! – odparła radośnie Milenka. Oczywiście, że nie zamierzała nigdzie wychodzić, ale wiadomo, ZA MAŻ to zupełnie co innego.

* * *

Zofia Kruk właśnie konferowała przez telefon.

– Zuzanko, udało się – obwieściła. – Normalnie odetchnęłam z ulgą. Gdyby nie my, to by tak się prowadzali jeszcze z pięć lat. A zegar biologiczny tyka. A jedynakiem być jest do dupy, Zuzanko. Ja coś o tym wiem.

– Zosieńko, przecież masz siostrę.

– Mam, ale mój pierwszy mąż był sam jak palec. Mówię ci. Na wszystkich jedynaków patrz zawsze podejrzliwie. Taka moja rada.

Bachor pokiwał głową. Zapamiętał, by zapisać sobie tę radę w zeszycie. Skrupulatnie notował wszystkie złote myśli zasłyszane od Zofii Kruk.

– Zosiu, ja to sobie wszystko zapiszę. Bo wiesz, ty już stara jesteś i kiedyś ciebie nie będzie. I jak ja sobie w życiu poradzę?

Zofia Kruk najpierw się zastanawiała, czy się obrazić za to słowo

na literę „s”, ale jednak zmieniła zdanie.

– Zuzanko, kto jak kto, ale ty sobie ze wszystkim poradzisz.

– No dobra, to jaki teraz mamy plan? Kupujesz im łóżko, by Milaczek nie poszedł do piekła?

– Zuzanko. A pomyślmy dalej. Jak już ten twój brat się pojawi...

– Siostra.

– Dlaczego siostra?

– Wolę siostrę.

– No dobra. Ale powinna mieć swój pokój.

– No, ale dlaczego? Ja bym chciała się nią opiekować. Może być w moim!

– Zuza, a jak będzie ryczała całą noc?

– No dobra. Zosieńko, przekonałaś mnie. No, ale co robić?

– Już ja wiem, co robić.

* * *

Kilka dni temu Zofia Kruk dowiedziała się, że na osiedlu Myśliwskim jest cukierniczka, która robi najlepsze i najpiękniejsze torty. A że szła do koleżanki na urodziny, musiała mieć efekciarskie wejście.

Koleżanki nie lubiła zbytnio, ale było to towarzystwo, u którego

należało „bywać”.

– Stasiulku. Wejdziemy, pogadamy i wyjdziemy. – Spojrzała na minę męża. – Ty nawet nie musisz gadać – dodała, wiedząc, jak jej mąż lubi konwersować na spotkaniach towarzyskich. Lubił brydzyka i tyle. Ostatnio się zapaścił w tym brydzyku, bo jego żona wzywała go wciąż na jakieś rauty i imprezy. Chadzał tam tylko ze względu na nią. Gdyby nie miłość, dawno by zaszył się w swoim kąciku z jakąś dobrą lekturą. Najlepiej sensacyjną.

Zofia w końcu dopięła swego.

Wyruszyła do cukierni. Nie miała tak daleko, więc nawet nie ciągnęła Staszka, tylko zamówiła taksówkę. Jednak nie cukiernia była najważniejsza w tym całym wyjściu. Tort owszem smaczny i piękny, ale najważniejsza była biała kartka wisząca na drzewie.

„Cztery słoneczne pokoje na osiedlu Myśliwskim”.

Uśmiechnęła się. Wyciągnęła komórkę, ale niestety nie była w stanie nic wystukać, bo nie wzięła okularów. Weszła jeszcze raz do cukierni. Oprócz cukierniczki siedziała tam kobieta z trójką dzieci w różnym wieku.

– A tu przedszkole jest? – zapytała Zofia.

– Taki punkt przedszkolny. By zapracowana mama mogła w spokoju wypić kawę.

– A zapracowana babcia? Hmm... A w zasadzie ciocia-babcia? No, można powiedzieć ciocia... Czyli ja?

– Oczywiście.

– To ja na pewno będę korzystać. Bo młodzi kupują teraz

mieszkanie. Znaczący, oni jeszcze o tym nie wiedzą. Ale się dowiedzą. W swoim czasie. Może mi pani wykręcić ten numer, bo coś mi oczy łożawia? – poprosiła i uśmiechnęła się promiennie do Ady. – Dziękuję bardzo. – Podniosła słuchawkę do ucha. Chwilę porozmawiała, uśmiechając się do słuchawki, po czym stwierdziła:

– Mam pół godziny na kawę i ciasteczko. Poproszę waniliową babeczkę. Tę z truskawką. Wygląda rewelacyjnie! I czarną kawę. Bardzo mocną.

Ada spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– No, dobra – westchnęła Zofia. – Bezkofeinowa jest?

– Jest – odparła Ada. – Czyli czarna, mocna i bezkofeinowa?

– Tak jest – powiedziała Zofia Kruk, po czym wyjęła swój kalendarz i przygotowywała się do negocjacji cenowych. Bo ci młodzi do niczego się nie nadają. Wszystko trzeba za nich zrobić. – Jestem ciekawa, czy jak będę stara, to też będę umiała tak wszystko załatwiać – zamruczała prawie siedemdziesięcioletnia Zofia i ugryzła babeczkę.

* * *

Jacek Wolicki już w drodze do domu doszedł do wniosku, że oświadczyzny to nie takie hop-siup. To nie jednorazowy incydent, ale decyzja życiowa, która zmienia wszystko. U twojego boku pojawia się wspaniała życiowa partnerka, ale w dodatku ta partnerka ma zamiar wyrzucić twoje dotychczasowe życie do góry nogami, a co gorsza, ty się zupełnie z tym godzisz. I na dodatek jesteś wielce z tych zmian zadowolony.

Nie dziwił się Adamowi, że go ta biblijna Ewa zamotała. Bo jeżeli Adam czuł to samo do Ewy, co on do Milaczka, to sprawa była nader

prosta.

– A gdzie będziemy mieszkać? – zapytała nagle Milenka.

Prawdę mówiąc, Jacek Wolicki myślał, że jeszcze przez pewien czas będzie tak jak do tej pory, to znaczy Milenka będzie przychodzić do niego, gdy Zuza zaśnie, a o trzeciej czterdzieści pięć wracać do swojego łóżka. Był jednak mądrym facetem i wiedział, że pytanie było zadane nie bez powodu i że taką odpowiedzią może sobie pogorszyć życie, więc odrzekł dyplomatycznie:

– Musimy się zastanowić nad kupnem czegoś nowego. – Milenka patrzyła na niego z uśmiechem. Widać odpowiedź była dobra. Zatem kontynuował:

– Wiesz, by w nowe życie wejść z zupełnie czystą kartą.

Wzrok narzeczonej mówił wszystko. Jacek Wolicki powiedział dokładnie to, co dziewczyna chciała usłyszeć. Był bardzo dumny z siebie. Jutro jej powie, że chce mieć z nią dziecko. Kiedyś.

Nie wiedział jeszcze, że o takich sprawach rodzice decydują nader rzadko i zwykle przesądza o tym los.

Miał się o tym przekonać już wkrótce.

* * *

Zuzanka pod dyktando Zofii wpisywała adres biura nieruchomości w przeglądarce internetowej.

– Kochana, teraz to zostawisz na laptopie taty.

– To nasze nowe mieszkanie? Zosieńko, ja nic nie rozumiem, ale

niech ci będzie.

– Kiedy wraca tata?

– No za chwilę.

– Dobra, ja Milence też ustawiłam to jako startową – powiedziała Zofia z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. – Nie dam im więcej niż dwa dni, jak będą chcieli oglądać to mieszkanie. Zuzanko, zrób wszystko, by tam z nimi pojechać. Mnie mogą nie chcieć, bo potem powiedzą, że ja się we wszystko wtrącam. Tam zaraz wtrącam. – Wzruszyła ramionami. – Ludziom trzeba pomagać, prawda?

Zuzanna się uśmiechnęła. Oj, trzeba. Na przykład sąsiadowi od Parysa Antonia ona wkrótce miała zamiar bardzo pomóc.

* * *

Milenka była pewna, że widzi znaki. Znaki dostrzegła we wszystkim. Choćby w tym, że przed chwilą zadzwonił do niej Jacek i opowiadał o jakimś słonecznym mieszkaniu na Osiedlu Myśliwskim.

– Czteropokojowe?

– Tak.

– Jacuś. To musi być jakiś znak, bo ja też właśnie je oglądam – powiedział Milaczek.

Oczywiście nie spodziewali się, że dobry los te znaki daje przy nieznaczej pomocy ciotki Zofii i Bachora, ale na szczęście daje.

– Może się umówię i zobaczymy je?

Podsluchujacy Bachor usmiechnal sie z triumfem.

– Po pracy?

– Tak. Zadzwońe do nich i się umówimy!

Zuzanna Wolicka po raz kolejny w swoim dziesięcioletnim życiu stwierdziła, że Zofia Kruk jest genialna. I bardzo się cieszyła, że będzie ją miała w rodzinie. Bo przecież skoro Milenka będzie żoną jej taty, a Zosieńka jest ciotką Milenki, to będzie dla niej... No właśnie. Kim? Ciocią? Babcią? Hmm. Dziewczynka intuicyjnie wyczuwała, że jej kochana Zosieńka wolalaby pozostać Zosieńką. No nic. Zapyta ją przy okazji, jak ma ją w końcu nazywać.

* * *

Zofia Kruk właśnie sprawdzała, czy na konto sprzedającego mieszkanie wpłynęła pokaźna zaliczka. Umówiła się z nim, że zatrzyma to mieszkanie do czasu, aż się młodzi zdecydują. Obiecał również, że będzie milczał jak grób na temat wizyty ekscentrycznej starszej pani, która bardzo nalegała, by właśnie to mieszkanie kupić.

Zgodnie z jej przewidywaniami, Jacek i Milenka szybko dadzą się złapać na haczyk. Osiedle Myśliwskie było blisko Matemblewa, gdzie Zofia Kruk mieszkała. Na Zaspę przebijać się przez te korki to szmat czasu, a tutaj, jakby się Milenka uparła, to nawet z wózkiem na piechotę by mogła. Po co gdzieś dalej. Tam i słonecznie, i cztery pokoje, akurat.

Nic. Pozostało czekać, aż powiedzą jej o tym. A ona wtedy uda zaskoczenie i powie, że w prezencie ślubnym albo zaręczynowym dorzuci im się do tego pięknego mieszkania. I jeszcze pochwali za rewelacyjny gust. Zofia Kruk się usmiechnęła. Jakie to życie byłoby nudne, gdyby nie Milaczek. Głupia ta Anka, że siedzi w Bieszczadach, jak jej córka podejmuje życiowe decyzje. Ale Anka zawsze była

dziwołaniem. Nie to co Zofia Kruk. Jej siostra. Kwintesencja normalności przecież.

* * *

Jeszcze tego samego dnia Jacek z Milenką i Zuzą pojechali oglądać mieszkanie. Zuzanna nie musiała nawet udawać zachwyty. Była oczarowana. W szczególności bliskością lasu, który idealnie nadawał się do wyprowadzania psa. Bo to, że będzie pies, wiedziała z pewnością. Wszak pewnego rodzaju manipulacji uczyła się od mistrza. A w zasadzie od mistrzyni. I bardzo jej się to podobało.

Milenka była zachwycona wszystkim. Balkonem, sypialnią, wielką przestronną kuchnią i wykafelkowaną już łazienką i to na dodatek w takim kolorze, jaki jej się marzył. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że Zuzanka z nimi nie będzie, bo miała zamiar pogadać z Jackiem, ale niestety musiała to zostawić do wieczora. Pewna rzecz ją niepokoiła i musiała się tym podzielić z Jackiem. Otóż w tym całym zamieszaniu zaręczynowym zabrakło jej jednego kobiecego punktu programu.

Test ciążowy trzymała w torebce. W swoim życiu robiła ich już tak wiele, zawsze łudząc się, że będzie mamą. Tym razem się bała. Chciała odwlec ten moment jak najdłużej.

Niemniej jednak musiała o tym powiedzieć Jackowi. Tylko nie przy Zuzie.

Tym bardziej duże mieszkanie będzie im potrzebne.

Zuzanka latała wte i wewte po całym mieszkaniu. Pan, który je sprzedawał, dyskretnie usunął się na bok, pozwalając im zaglądać w każdy kąt.

– Jacek. Tu będzie pokój dziecienny – uśmiechnęła się Milena.

– Czyżbym o czymś nie wiedział? – zapytał Jacek, myśląc, że zadaje pytanie retoryczne. Okazało się jednak inaczej.

– Chyba jestem w ciąży – powiedziała po prostu Milenka. – Ale oświadczyłeś mi się nie dlatego, że jestem w ciąży, prawda? Łzy jej same z oczu pociekły.

Jacka zamurowało.

– Jak... Jak to... Robiłaś test?

– Nie cieszysz się, prawda?

– No... Nie wiem, co powiedzieć – przyznał się zaskoczony Jacek.

– Nie cieszysz się...

– Milaczku. Cieszę się. Cieszę się wszystkim, co jest z tobą związane, ale daj mi ochłonąć. Przytulił ją.

Jakże miał inne uczucia teraz niż wtedy, gdy dowiedział się, że Zuza będzie na świecie. Był młody i zupełnie się nie cieszył. Myślał, że świat mu się rozsypał w drobne kawałki. Gdyby ktoś mu wtedy powiedział, że ta blondwłosa dziewczynka będzie największą miłością jego życia, nie uwierzyłby. A teraz? Teraz cieszy się, że będzie ojcem. Bardziej dojrzałe podchodzi do życia.

– Bierzemy to mieszkanie! – oświadczył. – Planujemy powiększenie rodziny... Już niedługo. Proszę nam zarezerwować je do poniedziałku... Musimy się zastanowić nad pieniędzmi...

– Ciocia na pewno nam pomoże – powiedziała Milena nieśmiało.

– Musimy sami sobie radzić.

Milenka się uśmiechnęła. Jak ciotka sobie coś postanowi, na pewno znajdzie na to sposób. Dobrze, że chociaż mieszkanie pozwoliła im wybrać samodzielnie. Milenka nie zniosłaby chyba, gdyby ciotka aż tak się wtrącała w ich życie.

Gdy wyszli z budynku, minęli kawiarnię.

– Trzeba to uczcić – oznajmił Jacek.

– Co uczcić?

– Wszystko! – dodał szybko.

Weszli do kawiarni. Akurat była remontowana. A w zasadzie nie kawiarnia, tylko za ścianką działową coś buczało i piszczało.

– Przepraszamy za dzisiejsze hałasy. Jak państwo zdecydują się na kawę, to babeczka od firmy będzie gratis – zaproponowała Ada.

– A my tu będziemy mieszkać, a my tu będziemy mieszkać! – pochwaliła się Zuza, energicznie podskakując.

– Cudownie! A gdzie dokładnie?

– W tamtym bloku, na pierwszym piętrze.

– Aaaa, to witamy w naszym gronie. Całkiem tu u nas sympatycznie. Czasem myślę, że jak na wsi. Wszyscy się znają. Dużo młodych mam jest. Mamy tu kącik dla dzieci. Trochę młodszych niż ty – zwróciła się do Zuzy.

– A będę mogła tu przychodzić się z nimi bawić? – zapytała Zuza. Czasem lubiła pokazać maluchom, jaka jest bardzo dorosła.

– Jasne, zapraszamy.

– A pani, jak już dziecko się urodzi, będzie mogła odsapnąć. Chociaż kawę wypić.

Jacek z Mileną popatrzyli na siebie. Ada się uśmiechnęła. Czasem intuicja podpowiadała jej różne dziwne rzeczy.

– Obok będzie siłownia. Już chyba zaczynają w przyszłym tygodniu. Zaraz obok mnie jest dentystka. Też młoda mama. Po drugiej stronie fryzjerka. Myślę, że będzie się tu państwu miło mieszkało. Proszę dać znać, kiedy się wprowadzacie. Na przywitanie przygotuję coś specjalnego.

Gdy już wyszli, Milenka nie wytrzymała i zapytała:

– Jacek, oglądałeś *Czekoladę*?

– Oglądałem.

– Słuchaj. Ona też jakaś taka magiczna jest, co?



PARAPETÓWKA, CZYLI KAŻDY W SZAFIE CHOWA TRUPA

– Trzeba zrobić parapetówkę – oświadczyła Magda, wchodząc do kawiarni.

– A kto się przeprowadził? – zapytała Ada. – Chyba nie masz na myśli tych, którzy się wprowadzają tam, koło Olafa. Nawet sympatyczni. Byli wczoraj u mnie.

– Nie, nawet nie wiedziałam. Ale pomyślałam sobie, że wy nie świętowałyście jeszcze otwarcia waszego wspólnego biznesu, mój mąż przeżył sztukowanie jedynki, dzieci mi z przedszkola nie wywalili, jest co świętować!

– No niby tak... Ale... Ja nie mam z kim Michała zostawić...

– A po co masz go zostawiać? Parapetówkę możemy zrobić u ciebie.

– Ale same baby – zastrzegła Natalia. Chwilowo miała dosyć mężczyzn i zaczęła się obawiać, czy swoich poglądów jednak za bardzo nie okazuje przy dzieciach. Nic oczywiście wielkiego, ale wymyślała bajki, które dziwnym trafem były nad wyraz feministyczne.

A to wszystko przez męża, który od kilku nocy, gdy dla odmiany Mikołaj się budził i płakał, odmawiał jakiegokolwiek współpracy, a co gorsza, wypierał się dziecka.

Zaspana Natalia (wszak chwilę wcześniej wstawała do córki) budziła męża, mocno go szturchając.

– Twój syn cię woła.

Mąż zaś całkowicie beztrosko przewracał się na drugi bok, mrużąc niewyraźnie:

– Kochanie, o drugiej w nocy to ja mam bardzo duże wątpliwości, czy to mój syn.

Rano oczywiście nie pamiętał całego zdarzenia, ale Natalia pamiętała je długo i gorzko przeżywała. Stąd też inspiracja do tworzenia nowych bajek, które opowiadała namiętnie dzieciom.

Na przykład ta o księżniczce Ludgardzie, która była zamknięta w wieży i delektowała się ciszą i spokojem, miała dużo czasu na czytanie książek, a księżę Bonifacy wspiął się do niej na górę z wielką siatką zakupów, a potem żyli długo i szczęśliwie, bo zbudowali partnerski związek. Oczywiście, co to jest związek partnerski wiedział jedynie Olaf, aczkolwiek w jego przekonaniu taki związek mogło tworzyć tylko dwóch wujków albo dwie ciocie. Bo jak jest wujek i ciocia to już nie może być partnerski. To jest normalne małżeństwo, ciocia gotuje i sprząta, a wujek myje co sobotę samochód.

Mama z tatą też mają normalnie.

Taki los.

Natalia żałowała przez chwilę, że nie może stworzyć związku partnerskiego z jakąkolwiek kobietą. Nie może z tej prostej przyczyny, iż żadna kobieta jej nie pociągała.

Gdy już pani perfekcyjna zabrała Olafa, Natalia wzięła Zosię, przytuliła do piersi i dała jej jeść. Siedziała chwilę w ciszy.

Chłopaki oglądali książeczki na materacach w pokoju, Amelka rysowała.

Ada właśnie spuszczała rolety. Rozpięła swój roboczy fartuszek, po czym w samych spodniach i staniku stała przed Natalią.

– Aduś, czy pociągają cię inne kobiety?

Przerażona Ada szybko zapięła z powrotem guziki fartuszka.

Natalia się roześmiała.

– O matko, mnie nie pociągają, spoko. Możesz się przebierać dalej. Ale wiesz? Olaf mnie dziś uświadomił, że partnerski związek według niego są w stanie zbudować wyłącznie wujek z wujkiem albo ciocia z ciocią. A matki zawsze zmywają gary.

– Mają zmywarki.

– Albo mają zmywarki. Ale ktoś do tych zmywarek musi te gary wsadzić.

– I pozamiatać.

– No właśnie. – Natalia westchnęła. – Bez sensu to wszystko.

– Co bez sensu? – zapytała Magda, która właśnie weszła.

– Bez sensu te związki partnerskie.

– Jesteście przeciw?

– Związkom partnerskim? Nie. A ty?

– Też nie. Niech sobie robią, co chcą.

– Kto?

– No jak to kto? Geje i lesbijki.

– O, widzisz? Kolejna.

– Co kolejna? – Magda nic nie rozumiała.

– No kolejna, która wiąże związki partnerskie tylko i wyłącznie z gejami albo lesbijkami. A gdzie mąż i żona, którzy równo dbają o dom, kasę i dzieci? – pytała Natalia. – Cyckiem nie nakarmią, ale resztę mogą robić.

– No, ba – rzekła Magda i usiadła. – Ale macie nastrój. To może dzisiaj ta parapetówka? – zapytała. – Dasz radę panią Anię załatwić na jutro? – zwróciła się do Ady.

– Jasne. I tak miałam mieć wolne – odpowiedziała Adrianna. – Dzwonić po Karolinę?

– Dzwon.

– Powiem jej, żeby jakieś wino przyniosła.

– Ale tak przy dzieciach? – zapytała Natalia. – A zresztą. Ja będę trzeźwa.

– Tobie niech kupi karmelowe piwo. Podobno wzmaga laktację.

– Dziękuję bardzo. – Natalia pokręciła głową. – I co potem, będziesz miała moje mleko w ofercie cukierni?

Ada się skrzywiła. Dobra. Dzwonimy do Karoliny.

* * *

Karolina przyniosła ze sobą trzy butelki wytrawnego wina.

– Ja nie wiem, jak wy zamierzacie to robić przy dzieciach.

– No, jak to? Normalnie. Dzieci będą spały, a my będziemy piły wino.

– Zadzwońę po męża – powiedziała Magda.

– A jest w domu?

Magda wzruszyła ramionami.

– A gdzie jest? – dopytywała Karolina.

– Pewnie w pochwie innej kobiety.

Natalii wypadł widelczyk z ręki. Karolina prychnęła śmiechem.

– Spoko, spoko. Jest ginekologiem. Dobra, dzwonię.

– To ja też – odezwała się Natalia. – Mój pewnie grzebie w pieniądzech innej kobiety.

– Nie wiem, co lepsze – odparła Karolina.

– Już się uodporniłam. Ja siedzę w buzi innych facetów. I cyckami na nich napieram.

– Cyckami?

– No czasem tak. – Magda wzruszyła ramionami. – Jak się ma męża ginekologa, to się na wszystko człowiek uodparnia.

- Nie bałaś się?
- No co ty. O co? – zapytała zdziwiona Magda.
- Że sobie kiedyś pójdzie?
- Wiesz, popatrzeć sobie nie pójdzie, bo patrzy na co dzień – tłumaczyła i wystukiwała esemesa. Po chwili usłyszała dźwięk. – No i będzie za dziesięć minut. Właśnie wracał do domu. A twój, Natalia?
- Mój też za chwilę.
- A może przeniesiemy się do mnie do góry? – zaproponowała Ada. – Położę Michała... Mówiłam, że te schody muszą zrobić.
- Może ci moi fachowcy ci dziurę wyrzną? – zapytała Magda.
- Madziu. Kasa. Ja nie mam męża, który siedzi w pochwach innych kobiet. – Roześmiała się. – Ale właśnie wpłynęła zaliczka od Arka, pierwszy czynsz już zapłacił, to może, może...
- Kim jest Arek? – zapytała zaskoczona Natalia.
- Biegaczem.
- Tym, którego głaskałaś po jajkach?
- Natalia! – ryknęła Ada. A po chwili dodała: – Tak, tym samym.
- No, ale... coś z tego będzie?
- No jak ma być, jak mu mina zrzędnęła na samą wzmiankę o Michasiu. Niech spada.
- Jasne. Niech spada.

- A poza tym on jest za chudy chyba dla mnie.
- Co ty opowiadasz?
- No co. Kiedyś miałam taką chudą koleżankę. I małą. A ja byłam jeszcze grubsza. Wyglądałyśmy jak kryzys i rekompensata.
- Kryzys i rekompensata? – Dziewczyny ryknęły śmiechem i nie mogły się uspokoić.
- Dobra, to jak chłopaki przyjdą po dzieci, to z Michałem się przeniesiemy do góry. Trochę dziwnie parapetówka w innym miejscu niż parapety.
- A nie może tu spać w wózku? Potem go przeniesiemy.
- Ja go przeniosę – zadeklarowała się Natalia.
- Sugerujesz, że będę tak pijana, że własnego dziecka nie dam rady nieść? – Ada się roześmiała.
- O Boże, za mało wina przyniosłam. Co to za impreza, jak mamy trzy butelki na cztery osoby.
- Się dokupi.
- O, chłopaki idą. – Adam Kondracki z Krzysztofem właśnie weszli do kawiarni.
- Dzień dobry – zaczął Krzysztof nieśmiało.
- Hej – odpowiedziała Natalia. – To babska impreza. Bierzecie dzieci i idziecie.

– Phiii, a ja myślałem, że jeszcze pójdziemy na dupeczki – oświadczył Adam.

– Dupeczki? – zapytała zdeglustowana Karolina. – Adam, czy ty z racji swojego zawodu, jeszcze nie masz ich dość?

– O nie, kochana. To zupełnie dwie różne sprawy. Czy dupeczka przychodzi do ciebie, czy ty idziesz do dupeczki.

Karolina się zamyśliła. W sumie racjonalna argumentacja. Niemniej jednak jej natura burzyła się nawet przed nazwaniem kobiety „dupeczką”. To takie niezbyt miłe... Dupeczka. Też coś.

Mężczyźni zabrali dzieci. Gdy wychodzili, do kawiarni weszła mama Olafa. Marietta. Wyglądała mizernie. Podkrążone oczy, widoczne mimo grubej warstwy pudru, w oczach łzy.

– Zamknięte? – zapytała.

– Zamknięte – odpowiedziały chórem dziewczyny.

– A to dupa. – Zazwyczaj idealna niemal pod każdym względem prawniczka usiadła na krześle i zaczęła płakać.

Dziewczyny popatrzyły na siebie. Niezbyt miały ochotę spędzać wieczór z Mariettą, która najbardziej na świecie dbała o zrównoważony rozwój swojego jedynaka. Nie to, że one nie dbały, ale... No właśnie. ALE. Chwilę wpatrywały się, jak Marietta zanosi się łzami. Pierwszą inicjatywę przejęła oczywiście Karolina.

– Co się dzieje?

Marietta wzruszyła ramionami.

– Chcesz pogadać?

Pokręciła głową.

– Posiedzieć chcesz?

Przytaknęła.

– A wina chcesz? – zaproponowała Ada.

Marietta znowu pokiwała głową. Natalia naląła jej wina do szklanki, bo kieliszków w tym lokalu raczej nie było. Mama Olafa wypła całą szklankę duszkiem. Dziewczyny popatrzyły z przerażeniem na Karolinę. Ta kiwnęła głową i stwierdziła:

– Idę do sklepu. Kupię jeszcze ze dwa.

Ada pokiwała ze zrozumieniem.

– Karmi mi kup – poprosiła Natalia. – Boję się, że na trzeźwo tego nie zniosę.

Ada się roześmiała.

– Mogę ci jeszcze dać tort nasączony alkoholem. Pewnie Zosia się ucieszy.

– Poproszę.

Karolina wyszła do sklepu, a one siedziały bez słowa. Natalia naląła Mariettcie kolejną szklankę wina, a ta znowu wypła ją duszkiem. Oczywiście nic nie mówiąc.

Natalia z Adą popatrzyły po sobie. Niezła impreza się szykowała. Pijana pani perfekcyjna, samotna matka, trzeźwa matka karmiąca, żona ginekologa i stara panna. Tfu. Singielka to się teraz nazywa.

No nic. Jakoś dadzą radę.

Do kawiarni wbiegła Karolina.

– To samo kupiłam. By jutro nas dzień nie przerósł. Dla ciebie karmi i sok mohito. Wiesz, będziesz miała substytut.

– A tu nadal grobowa atmosfera?

Ada z Natalią pokiwały głowami.

– Michaś zasnął. Jedyne pozytyw – powiedziała Ada.

Siedziały chwilę w milczeniu. Natalia otworzyła kolejne wino i nałapa dziewczynom.

– Pierdolę zrównoważony rozwój – odezwała się nagle Marietta.

Dziewczyny spojrzały na nią pytająco.

– Zauważacie, jakie to śliczne słowo? – kontynuowała Marietta. Zdjęła swój nieskazitelnie biały płaszcz i wysokie szpilki. Znowu duży palec wychodził przez jeszcze większą dziurę pończoch. Oczywiście był nienagannie pomalowany na kolor czerwony z opiłkami złota. – „Pierdolę” to śliczne słowo. Wyraża wszystko. Nic więcej nie musisz mówić. Moja koleżanka Donata Dolińska miała syna Piotrka. I wyszła za męża. Za Francuza. Wyjechała do Francji i na syna mówili Pierre. Pierre Doliński – zaczęła chichotać. – Pierdoliński, znaczy.

Dziewczyny nie wytrzymały i ryknęły śmiechem.

– Skrzywdziła dziecko, co? Ja chyba też krzywdzę. Tym cholernym zrównoważonym rozwojem. Nawet nie mamy czasu się do siebie przytulać czy pooglądać bajki. Konrad pozwala mi tylko na

Discovery. A on, jak jakiś tępak, nie wie nawet, co to Chima. Ani inne Sponge Boby Kanciastoporte. Taki jest stary maleńki.

– U nas się bawi – usiłowała pocieszyć ją Natalia. – Próbuje się bawić.

– Ja już nawet nie umiem się z nim bawić. – Marietta wzruszyła ramionami. – W poniedziałek po przedszkolu mamy basen, potem szybko się zbieramy z tego basenu i jedziemy do logopedy. We wtorek mamy angielski, a w środę skrzypce. W czwartek angielski i tai-chi. W piątek znowu pianino. W weekendy Konrad zabiera Olafa do muzeów i na koncerty muzyki klasycznej.

– Kim jest Konrad?

– Ojcem Olafa. Nie mamy ślubu, bo przecież on jest nowoczesny. Nie potrzebuje papierka do niczego. Poza tym ateista. Wierzy w jakąś cholerną materię. I wielkie bum.

– No, a czym się zajmuje?

– Jest profesorem filozofii.

– Aaaa – wydusiła z siebie Natalia. – To wszystko wyjaśnia.

– Kiedyś wyjechał na tydzień – zaczęła pani perfekcyjna i uśmiechnęła się. Już nie była taka perfekcyjna. Makijaż jej się rozmazał, a nos był już bardzo czerwony od ciągłego wycierania. – Wzięłam wtedy urlop i siedzieliśmy w domu w piżamach do dwunastej, a potem biegaliśmy jak szaleni po podwórku. Kupiłam sobie wtedy adidasy. Od tamtego momentu w nich nie chodziłam.

– Kiedy to było?

– W zeszłym roku, latem. Oglądaliśmy bajki, graliśmy w gry.

Klocki układaliśmy i byliśmy dwa razy na frytkach i hamburgerze. Nie smakowało to nam, ale w McDonalddie była kręcona zjeżdżalnia. Dlatego tam poszliśmy. Chociaż frytki Olaf wspomina. Konrad pozwala mu jeść tylko frytki z selera.

Karolina skrzywiła się i powiedziała:

– Wiesz co... On potrzebuje trochę luzu. Ty zresztą też.

– Ja? Ja nie mam czasu na luz. Jestem prokuratorem. W pracy non stop. A potem szoferem, bo przecież Olafa trzeba przywieźć tu i tam. I dlatego też go tutaj przyprowadzam. Bo tu jest fajnie. Konrad nie chce, by Olaf chodził do przedszkola. Wynajął na początku nianię. Mówiła do Olafa tylko po angielsku. – Wyciągnęła pustą szklankę. Natalia skwapliwie naląła każdej z nich. – Potem, w nocy nie mogę spać. Przychodzę do niego do łóżka, przytulam się i zasypiam. I kolejny wyrzut sumienia. Czytałam ostatnio o matce, która spała ze swoim synem do swojej śmierci. Umarła, jak miał 30 lat. Nie mógł się chłopak pozbierać.

– Marietta. Spokojnie. Wszystko załatwimy. – Karolina już miała w głowie plan naprawczy. Niby była na imprezie, niby piła wino, ale psycholog jak lekarz. Po pierwsze, nie szkodzić.

– No, ale przychodząc tu, pytałaś o zrównoważony rozwój – przypomniała jej Natalia.

Marietta znowu wzruszyła ramionami.

– Chyba z przyzwyczajenia.

– Wiesz... – zaczęła Karolina. – On nie ma czasu się bawić. W ogóle się bawi?

– Czy ja wiem? On chyba polubił takie życie. Ale ja nie lubię.

Mam wrażenie, że on jest smutny.

– Bo jest – potwierdziła Karolina. – Przyprawdź go kiedyś do mnie. Ja z nim pogadam.

– Karola jest psychologiem – wyjaśniła Ada.

– Cudowny zawód. Pewnie ze wszystkim sobie radzisz. Ja się gubię w tym życiu.

– Też musisz przyjść pogadać.

– Byłam u psychiatry. – Spojrzała po dziewczynach. – Nie, nie jestem nienormalna. Chyba – dodała, zastanawiając się chwilę. – Po prostu poczułam, że się gubię. Że jeszcze trochę i nie dam rady wstać z łóżka. To był chyba ostatni moment. Dostałam tabletki. Jest lepiej.

– Przyczynę trzeba zlikwidować – zawyrokowała Natalia. – A nie leczyć skutki.

– Nie ma szans – odparła smutno Marietta.

– Zawsze jest szansa – powiedziała Ada.

– Mam to życie poukładane. Zaplanowane co do minuty. Wszystkie części leżą na swoim miejscu.

– O, to tak jak Karolina – stwierdziła Natalia i westchnęła. – Ona nawet ręczniczki ma pozwijane w rolki.

– Ja też – przyznała zrezygnowanym głosem Marietta. – Ale tylko te dla gości. Te dla nas mam w szafie. Poskładane.

– Pewnie równo pod linijkę.

– Kiedyś miałam taki kartonik do składania. Teraz składam równo. Po prostu.

– Zazdroszczę. – Z piersi Natalii wydobyło się kolejne westchnienie. – Ja to czasem nie chcę w ogóle do domu wracać. Nie ogarniam tego wszystkiego. Ciuchy na wierzchu, pranie non stop. Tak czasem bym chciała mieć jeden pokój, gdzie byłaby graciarnia. Po prostu wrzucić tam wszystko, jak leci, i zamknąć drzwi. Tak sobie myślę, że ja jeszcze nie dorosłam do obowiązków domowych. Lubię z dziećmi pracować, wyklejać, rysować, lepić. Ale nienawidzę po tym sprzątać.

– Zauważyłam – odparła z udawaną grozą Ada i roześmiała się.

– No tak. Czasem sprzątasz po mnie – odpowiedziała Natalia, zmartwiona tym stanem rzeczy.

– Nie utrudnia ci to życia? – zapytała Karolina.

– Utrudnia. Cholernie utrudnia.

– To dlaczego nic z tym nie robisz?

– Dlaczego? Czasem robię. Wtedy rzucam wszystko i wywalam. Jak leci. Oglądam namiętnie programy o sprzątaniu. Książek na temat sprzątania mam chyba z pięć.

– O? To takie są? Nie wiedziałam nawet. Może coś robię źle?

– No, proszę cię – odparła Karolina, uśmiechając się z pobłażaniem.

Dziewczyny nawet nie zauważyły, kiedy płynnie przeszły na „ty”.

– Ty powinnaś mieć książkę o tym, jak zrobić totalny bałagan

w swoim życiu – stwierdziła Natalia.

– A są takie?

– Nie mam pojęcia. Ja mam do tego wrodzony talent – przyznała Natalia i roześmiała się. – Ale faktycznie, gdzie przechodzę, tam zostawiam po sobie ślad. – Rozejrzała się wokół. – Myślę, że gdybym nie była taka, to bym do czegoś w życiu doszła. A nie była żoną przy mężu...

Natalia po raz kolejny naląła wina. Nie spodziewała się, że parapetówka nabierze charakteru wieczoru zwierzeń. Też napiłaby się wina z dziewczynami, ale pewnie Zosia nie byłaby zadowolona na drugi dzień.

Karolina poprawiła okulary i nagle wyznała:

– A ja bym chciała być nazwana dupeczką.

– Co, proszę? – Marietta niemalże zachłysnęła się winem.

– Dupeczką? – zapytała Magda. – Czemu akurat dupeczką?

– Bo każdy patrzy tylko na to „dr” przed nazwiskiem. A faceci przed nim zwiewają. Gdybym była dupeczką, to teraz zapewne narzekałabym na męża albo sączyłabym piwo karmelowe, bo moje dziecko by spało grzecznie w domu. A tak? Mam kurde, kota. – Łyknęła wina. – Kot to nie to samo. Niby masz do kogo się odezwać, gdy wracasz do domu, ale wołałabym męża. I dzieci.

– Jasne. Męża filozofa. – Marietta wytarła głośno nos, po czym rozpięła stanik i wyciągnęła go jednym rękawem bluzki, która kiedyś zapewne była wyprasowana.

– A ja myślałam, że ty nie jesteś normalna. A jednak trochę jesteś

– stwierdziła Magda, patrząc na nią badawczo. – Nikt tak doskonały nie może być normalny.

– Doskonały? – zdziwiła się głośno Marietta. – Ja już mam dość bycia doskonałą. Pierdolę to.

– Masz rację, że to ładne słowo. Jak Pierdoliński. – Karolina się roześmiała.

– Tak mojego chomika nazwałam... – powiedziała Marietta.

– Pierdoliński?

– No... Oczywiście, gdy nikt nie słyszy. Czasem mi się wymyśli i Olaf też już tak na niego teraz mówi...

– O matko. Rewelacja. Pierre Doliński. Szkoda, bo bym tak zaczęła kota nazywać.

– A nie ma jeszcze imienia?

– No jakoś nie ma. Zawsze był Panem Kotem. Boję się do niego przywiązywać. Zawsze jak się do kogoś przywiążę, to potem on odchodzi.

– Ale jak to, tak zupełnie bez faceta?

– No zupełnie nie. Ale wiecie, jak się faceci dowiadują, że mam doktorat, że robię habilitację, że jestem wykładowcą i mam gabinet psychoterapii, to normalnie zwiewają, gdzie pieprz rośnie.

– Też bym związała... – wyszeptała cicho Ada. – Ty ich przytłaczasz.

– Za mądra jesteś – potwierdziła Magda. – A gdybyś udawała głupszą?

- No, ale co mam niby robić?
- No, nie wiem. Chichotać jak Doda?
- E tam, mi się wydaje, że Doda to tylko maska.
- No właśnie. Więc weź tę maskę na siebie załóż. Nie spowiadaj się im od razu z całego życia.
- Tak też już próbowałam.
- I co?
- I prawie każdy facet, którego spotykam, nadaje się na terapię.
- O Boże – skwitowała Natalia. – A musisz na nich patrzeć jak psycholog? Nie możesz jak normalna kobieta?
- E tam, nie ma normalnych kobiet.
- I kto to mówi? – Ada się roześmiała.
- A pacjenci? Nie ma wśród nich jakiegoś fajnego?
- Jest jeden. Przychodzi z synem... Fajnie się rozmawia... Nawet raz byliśmy na kawie. – Karolina uśmiechnęła się do miłego wspomnienia. – Oczywiście kawa w sprawie syna. Bliżej miałam do kawiarni niż do gabinetu.
- To ten, co siedziałaś z nim u mnie?
- Ten sam.
- Ciacho.

– No i przystojny, i inteligentny... Nie jest gówniarzem... Nie boi się mojego „dr” przed nazwiskiem, bo sam gdzieś tam we Francji jakąś dobrą szkołę kończył.

– Więc co z nim jest nie tak? – zainteresowała się Marietta. – Gej?

– Nie, no nie wyglądał na geja – zaprzeczyła Ada. – Widziałam go przecież.

– Nie, nie gej – odpowiedziała Karolina. – Ale wiecie. Mam zasadę. Nie umawiam się z pacjentami, a tym bardziej nie chadzam z nimi do łóżka.

– Pierdol to – powiedziała Marietta. Wino piła już prosto z butelki. Wyglądała zupełnie inaczej niż ta kobieta, która weszła jakiś czas temu do kawiarni i pytała o zrównoważony rozwój swojego dziecka.

– Chyba masz rację – przyznała jej Karolina. – Może najwyższy czas?

– To co? Umawiasz się z nim? – zapytała Natalia.

– Zobaczymy, czy będę miała odwagę, gdy wytrzeźwieję.

– To teraz pisz mu esemesa. Bo potem nie napiszesz.

– No co wy.

– Pisanie esemesów po pijaku to zło – stwierdziła Marietta, wyciągając komórkę. – Mam takiego kolegę. Adwokata. I kiedyś się z nim całowałam.

– Kiedy?

– No... Raz się całowałam, jak byliśmy we Wrocławiu. A raz jak byliśmy w Krakowie. Raz też się całowaliśmy w jego gabinecie. Znaczą dwa razy.

– Masz romans?

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma czas na romans?

– No, a kiedy się całowałaś?

– Jak oddałam Olafa tutaj.

– Możesz go częściej oddawać. I na dłużej. No chyba, że filozof będzie miał coś przeciwko.

– Filozof filo... filo... filozuje.

– Zofuje – poprawiła ją Natalia.

– I raz prawie z nim spałam – oświadczyła Marietta.

– Prawie? A można z kimś prawie spać?

– Można. Bo zadzwoniłyście, że Olaf ma gorączkę.

– Cholera. Mogłam nie dzwonić – powiedziała Natalia z poczuciem winy.

– Nie, no co ty – wzruszyła ramionami Marietta. – Przecież Olaf jest najważniejszy. Kiedyś nawet razem z Olafem i adwokatem byliśmy w kinie. Na bajce dla dzieci. Mój adwokat się tak chichrał, że Olaf chichrał się, patrząc na niego, a nie na film. Kupiliśmy sobie popcorn i colę. – Rozejrzała się, jakby się bała, że ktoś to usłyszy.

– Czyli zaakceptowałby synka?

– No jasne. On... On nie może mieć dzieci. Chorował. Jest już wszystko dobrze. Ale niestety dzieci nie będzie.

– Cholera.

– Prześpij się z nim – stanowczo poleciła Karolina.

– Czy to porada psychologa?

– Nieee, jestem tu incognito.

– Dobra, Karola, pisz esemesa do tego gościa.

– Co mam mu napisać?

– No, że fajnie było na kawie i że ciepło o nim myślisz.

– Daj, ja napiszę. Trzeba napisać, że pijesz jego zdrowie. By w razie czego, jak nie wypali, można było zwalić to na wino. – Natalia wyrwała telefon Karolinie.

Stukała coś przez chwilę.

– Jak on się nazywa?

– W telefonie „Tata Jasia”.

– Dobra. Poszło.

– Co napisałaś?

– „Jestem na babskiej imprezie, w tym samym miejscu, gdzie ostatnio piliśmy kawę. Piję Twoje zdrowie”.

– O Boże. – Karolina się lekko przestraszyła. – I co teraz?

– I nic. Jak nie śpi, powinien odpisać.

Po chwili rozległ się dźwięk telefonu, obwieszczający nadejście esemesa.

„Możemy się kiedyś razem napić wina?”.

– Hurra! – Natalia aż podskoczyła z radości. Karolina była bardziej zdezorientowana niż uradowana. Rozejrzała się i zapytała:

– Matko, co mu odpisać?

Marietta stuknęła zapamiętane w klawisze, Ada poszła do łazienki, Magda wyzerowała ciasteczka ze słoika stojącego na ladzie.

– No teraz to już musisz sama – odrzekła Natalia.

Kolejny brzdęk.

„No chyba, że nadal nie umawiasz się z pacjentami. Ale pamiętaj, pacjentem jest mój syn, nie ja”.

– A ty mu mówiłaś o tej swojej durnej zasadzie? – zapytała Magda.

– Mówiłam.

– I co on na to?

– Próbował mnie przekonać, że zasady trzeba łamać.

– No i super.

– A najbardziej mnie wnerwiają moi rodzice, którzy przy każdej możliwej okazji pytają, kiedy wyjdę za mąż.

– Jasne, najpierw pytają, a potem na kolanach do Częstochowy by poszli w intencji twojego rozvodu.

– Co ty mówisz?

– Mówię, jak jest. Moja mama nie cierpi mojego męża.

– Ale dlaczego?

– Za całokształt. Kiedyś... Kiedyś było między nami bardzo źle. Po każdej kłótni lądowałam u mamy. Opowiadałam jej wszystko... Teraz mama nie potrafi uwierzyć, że jakoś się podnieśliśmy, że jest lepiej.

– Jesteś szczęśliwa?

– Jestem. Chociaż czasem czuję się między młotem a kowadłem.

– Bo?

– Bo jak jestem u mamy, to tak mi gada na Adama, że ja już nie mogę tego słuchać. Czasem mam wrażenie, że o niczym innym już nie potrafimy rozmawiać. Nawet z księdzem rozmawiałam.

– Z księdzem?

– No tam u mamy jest mała parafia. Nie wiem, ile osób, ale wszyscy się znają. I jest ksiądz. Już takich chyba nie ma. Normalny. Ludzki. Dobry. Wiecie, ja do kościoła nie chodzę często, ale tam lubię. I ksiądz mi mówił, że ona nawet do niego chodzi i na Adama gada.

– Nie wyperswadował jej tego?

– Może na chwilę. Jak od niej wracam, to jestem negatywnie naładowana. I najchętniej bym się rozwodziła. Potem jestem w domu i się wyciszam. Mama nie potrafi zrozumieć, że jest dobrze. Że najgorsze minęło. Że powinna mnie wspierać, bo kiedyś, kurde, jej zabraknie i tylko on zostanie mi na świecie. I będę z nim żyła, bo go kocham. Gdybym go nie kochała, to przecież już dawno bym odeszła. A tak to się miało. Dzieci teraz coraz starsze, więc jest łatwiej. A mama myśli, że ja robię tylko dobrą minę do złej gry.

– Nie rozmawiałaś z nią o tym?

– Nie da się. Z nią nie da się rozmawiać. Przynajmniej na ten temat. Zaraz się denerwuje i z dziwnego powodu myśli, że ja kłamię. I że jestem taka nieszczęśliwa, że ona powinna mnie wyswobodzić z tego piekła, a nad Adamem uczynić jakieś egzorcyzmy.

– A o co poszło?

– Już sama nie pamiętam. Wiecie. Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

– Pierdol to – powiedziała po raz kolejny tego wieczora Marietta. – Ja wychodzę.

– Gdzie wychodzisz?

– Zrobić to, co kazałaś – zwróciła się do Karoliny. – Idę się przespać z moim adwokatem.

– Ej, no! – Natalia ją zatrzymała. – Pijana jesteś. Będziesz żałować.

– Nie będę. Lepiej grzeszyć niż żałować, że się nie grzeszyło.

– Marietta!

– Spoko. Mogę wam coś obiecać. Teraz zasnę, czyli się z nim prześpię, a seks będzie rano. Jak będę już trzeźwa.

– A filozof?

– Z filozofem pogadam za dwa tygodnie. Powiedział, że przez najbliższe dwa tygodnie nie mam się do niego odzywać, bo pisze jakiś poważny artykuł o poważnych rzeczach do poważnej prasy. Mniej więcej coś takiego. Zatem wychodzę. A ty, Karolina, odpisuj tacie Jasia.

– Co mam mu odpisać?

– No że wieczory masz wolne i czekasz na zaproszenie.

– Ale nie mam.

– To pierdol wszystko i sobie zrób – powiedziała jeszcze do niedawna pani perfekcyjna. Wzięła swój czerwony stanik, zgmiotła go i wsadziła do torebki. Zsunęła pończochy, wyrzuciła je do śmieci. Akurat w tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Był to uśmiechnięty młody mężczyzna.

– Słuchaj – powiedziała mu Marietta. – Obiecałam im, że najpierw będziemy spać, a seks rano.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Możesz mi to obiecać?

– Pod warunkiem, że seks będzie rano. – Roześmiał się.

– Jakbym się na ciebie rzucała wcześniej, to mnie zwiąż. Albo coś – oświadczyła. – Ciao, dziewczyny. Mówię wam, życie jest łatwiejsze, jak się wszystko...

– Pierdoli... – dokończyła szeptem Karolina.

Dziewczyny spojrzały na nią przerażone.

– We wtorek wino z tatą Jasia. O Boże.

– Ha. No widzisz? Marzenia się spełniają. Trzeba tylko chcieć.

– A jak on chce się ze mną spotykać tylko zawodowo?

– To powiesz, że koleżanka wysłała tego esemesa – podsunęła jej rozwiązanie Natalia. – I na dodatek nie skłamiesz!

– I... – zaczęła teatralnie Magda. – Jakby to powiedziała nasza nowa koleżanka...

– Pierdol to! – krzyknęły wszystkie i się roześmiały.

– Nawet ona fajna się okazała.

– Mówiłam, że jak się kogoś na kłopie wyobrazi, to zaraz się fajny robi.

– A ty ją sobie na kłopie wyobrażałaś? – zapytała Ada.

– Nie, ale dziura w rajstopach ją uczyłowiczyła.

– Myślicie, że się z nim prześpi? – zapytała Ada.

– Na dobre by jej to wyszło – stwierdziła Karolina.

– Pani doktor! – powiedziała z wyrzutem Natalia.

– No co? Kiedyś spotykałam się z jednym filozofem. O matko, to

była porażka. Wampir energetyczny.

– I co się stało?

– Uciekłam od niego. Udało mi się. Nachodził mnie jeszcze przez rok, dopóki nie zainteresował się inną. Ale jeszcze potem dzwonił, pisał, jaka to ona idealna. Miała jakieś takie dziwne imię. Marika?

– Marietta?

– O Boże. Myślicie, że to ten sam?

– Jeśli tak, to na sto procent powinna się z nim rozstać.

– Jak ona ma na nazwisko?

– Mam zapisane.

– No, ale to nic nie da, bo przecież ślubu nie mieli.

– A syn jest jego?

– No jego, ale mam tylko jej nazwisko.

– Zapytamy. Ale jak to jest on, to powinna spadać szybko. On nadaje się na terapię. Długotrwałą. A ona równa babka jest. Chociaż jak weszła do kawiarni, to byłam zrozpaczona...

– O Boże, kto to? – Natalia usłyszała dźwięk przekręcanego klucza w zamku.

– Złodziej!

– Ktoś jeszcze ma klucze? – zapytała Karolina.

Ada pokręciła głową.

– Biegacz! – zawołała.

– A wy jeszcze pracujecie? – zapytał Arek, wchodząc do kawiarni.

– Raczej skończyliśmy... – wydukała Ada. – Teraz się odprężamy.

– Ale już idziemy – wtrąciła Magda i spojrzała porozumiewawczo na dziewczyny.

– No właśnie – przytaknęły.

– Ada, tu przydałby się ktoś silny, by ci ten wózek pomógł wnieść do góry – zasugerowała Karola.

Arek spojrzał pytająco.

– Pomożesz jej? – zapytała Karolina, nie patrząc na Adę, bo gdyby ta mogła, zabiłaby ją wzrokiem.

– Jasne – zapewnił Arek. – Gdzie Michaś?

– Pamiętasz, jak ma na imię? – zapytała ze zdziwieniem Ada.

– Jasne. Był u mnie kiedyś przecież. Z Natalią. – Arek wskazał wymownie na Natalię.

Ada spojrzała na koleżankę wielkimi oczami.

– No kiedyś pokazywałam dzieciakom sztangi i takie tam... – tłumaczyła się niezdarne Natalia ze spuszczoną głową.

– No tak.

– Dobra, dziewczyny. To idziemy. Ja was odprowadzę, a sama wezmę taksówkę. To niedaleko – zarządziła Magda.

– Piękny wieczór. Już chyba wytrzeźwiałam. Może poćwiczę jeszcze? – zastanawiała się Karolina.

– Zwariowałaś.

– Lubię czasem tak pooddychać w nocy świeżym powietrzem. Jestem nocnym markiem... Wolę kłaść się spać o czwartej rano niż wstawać.

– Ja tam nakarmię małą i idę spać.

* * *

Ada została z Arkiem sama w kawiarni.

– Wina? – zapytała, chociaż za bardzo nie miała ochoty z nim być. Od czasu, gdy zareagował tak dziwnie, gdy dowiedział się o Michale, odsuwała się od niego.

– Unikasz mnie, prawda?

– Ja? Unikam? Nie, nie mam powodów, by cię unikać.

– Dziękuję za wino. Muszę wrócić samochodem do domu. Mam kawalek.

– A gdzie mieszkasz?

– Na Zaspie.

– W nocy to kawalek. Gorzej jak są korki... Pomożesz mi z tym

wózkiem? Nie chcę Michała wyciągać na dole. A obawiam się, że w tym stanie nie powinnam dźwigać mojego skarbu. Najcenniejszego skarbu – podkreśliła. Specjalnie. By wiedział.

– Jasne – uciął krótko i dodał: – Też powinnaś kiedyś do mnie na siłownię przyjść. Albo na inne zajęcia.

– Coś sugerujesz?

– Nie, nie, zupełnie nie.

– Wiem, że nie jestem chuda, ale dobrze się czuję w swojej skórze.

– To najważniejsze. Bo też pięknie wyglądasz.

Ada to przemilczała. Wzięła sweter, kocem okryła Michała i wyjechała wózkiem z kawiarni.

– To tutaj. Wejście jest z drugiej strony. A mieszkam zupełnie nad kawiarnią. – Uśmiechnęła się. – Kiedyś chyba sobie schody dorobię na górę. By nie latać naokoło. Latem i wiosną to jeszcze jest okej, ale zimą, to ubieranie i rozbieranie jest fatalne – tłumaczyła i otwierała drzwi do budynku. – Pierwsze piętro tylko.

Podniósł wózek, jakby ten nic nie ważył, i zaniósł go pod drzwi.

– To co? Idę – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Późno już...

– Pracujesz jutro?

– Nie, jutro śpimy z Misiem do południa. Znaczący ja próbuję spać. Ale pewnie Michaś mnie obudzi około szóstej. Wiesz, dzieci mają coś takiego, że jak jest wolne, budzą cię wcześniej, a jak trzeba wcześniej

wstać, to je trzeba budzić.

– Rozumiem.

– Może... Może chcesz wejść na herbatę? Wina nie proponuję, bo będziesz musiał wracać...

– Nie chcę przeszkadzać.

– Przeszkadzać? W czym?

– No nie wiem. W spaniu? A... Męża nie ma?

– Czyjego męża? – Ada otwierała drzwi do mieszkania. – Chodź, zrobię ci herbatę.

– Jak to czyjego? Twojego.

Adrianna się roześmiała.

– Ja nie mam męża.

– Chłopak?

Pokręciła głową.

– To jest mężczyzna mojego życia – powiedziała Ada z dumą i wskazała na Michała.

– To wejdę na tę herbatę. A może na wino? Dasz mi jakiś koc? To się prześpię na dole.

– Jasne. Śpiwór ci dam.

Położyła Michałka w łóżeczku i przebrała go w piżamkę. Nawet

się nie obudził.

Sama zdjęła buty, założyła gruby sweter, bo noc była dość chłodna. Wzięła kieliszki i naląła wina.

– Mam tylko takie. Dostałam kiedyś od kogoś.

– Myślałem, że jest jakiś pan Olechowski – powiedział.

– Był, ale się zmył. I nie Olechowski. Długa historia. I to taka, o której chciałabym zapomnieć.

– Nie chcesz o tym mówić?

– Czy ja wiem. Pomyłka sprzed dwóch lat. Był współnikiem mojego ojca. Starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Oczywiście żonaty. Mówił, że jest w separacji, że żona go nie rozumie i takie tam. Miałam dwadzieścia lat. Gdy okazało się, że jestem w ciąży, przyszedł do mojego ojca, powiedział, że przepisuje na niego firmę, a sam znika. I że ojciec ma sprzedać jego udziały i kupić mi coś, dzięki czemu będę mogła żyć. No i kupił. Mieszkanie i te lokale. Po czym się ode mnie odcięli. A jego nie widziałam już potem ani razu.

– Nie interesował się synem?

– Przez ten rok nie. Była między nami umowa, on znika, a ja go nie szukam i nie pytam o alimenty. Michaś w akcie urodzenia ma wpisane ojciec nieznany... To jest najgorsze. Nie wiem, czy da się to odkręcić. Widzisz. Nabroiłam. Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię, nawet dziewczynom o tym dzisiaj nie mówiłam. Jak się okazuje, każdy ma jakiegoś trupa w szafie. Nawet ja... Niedawno... Jakby się odezwał... Michaś dostał prezent na urodziny. Wypasione dupło... Nawet miło mi się zrobiło, że pamiętał...

Arek nie wyprowadzał jej z błędu. Uśmiechnął się. Sam wybierał

to duplo. Wziął dokładnie takie, o jakim marzył, gdy był jeszcze małym chłopcem.

– Byłem pewien, że nie jesteś sama... Że nie mogę włączyć z butami w twoje życie.

– Może lepiej nie wchodzić...

– Dlaczego?

– Bo syn zawsze będzie dla mnie na pierwszym miejscu.

– Ja to rozumiem.

– Naprawdę? Pamiętam, jak ci powiedziałam o Michale... Od razu się odsunąłeś.

– Myślałem, że ma ojca. Znaczy, że tutaj ma jakiegoś ojca, który zaraz mi da popalić. Wolałem się nie angażować... – Złapał Adę za rękę.

– Ale wiesz? Chyba już było za późno.

– To nie przeszkadza ci, że mam syna?

– Nie. On jest kawałkiem ciebie. – Pogłaskał ją po policzku. – Jaka ty jesteś miła w dotyku.

Posadził ją sobie na kolanach.

– Ciężka jestem... – zaproponowała.

– A ja jestem bardzo silny – zapewnił ją. – Przecież sztangi przerzucam.

Roześmiała się.

Głaskał ją po głowie, po policzku i mocno przytulał. Nie mógł przestać się rozkoszować jej ciepłem, miękkością, zapachem. Czuł się na właściwym miejscu. Po prostu wiedział, że niejedną wieczór jeszcze spędzą tak przytuleni. W takich momentach jak ten zaczynał wierzyć w magię.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Poczuł, że ona myślała to samo. Bez zbędnych deklaracji, bez niepotrzebnych słów.

Ich usta złączyły się w długim pocałunku.

– Ada... Daj mi ten śpiwór... Póki jeszcze mam siłę od ciebie wyjść.

– Nie wychodź...

– Wychodzę. Wypiłaś sporo wina. Nie chcę, byś potem czegoś żałowała.

– Nie będę...

– Aduś. Życie się jeszcze jutro nie kończy. Muszę wyjść. Chcę cię mieć całą, gdy nie będzie płynęło w twojej krwi tyle wina. – Biegacz uśmiechnął się i przytulił ją jeszcze raz.

Ada wyciągnęła z szafy śpiwór. Poduszkę spryskała swoimi perfumami i dała Arkowi.

Mężczyzna wziął go od niej i odwrócił się.

– Przyjdiesz jutro? – zapytała.

– Jasne... Przyjdę na śniadanie – odparł.

Ada zamknęła za nim drzwi, a serce jej trzepotało niczym motyl.

Umyła zęby i położyła się do łóżka. Po prawej stronie. Wyobrażała sobie, że Arek śpi po lewej. I wydawało jej się to tak normalne, jak to, że Michałek śpi w pokoju obok. Uśmiechnęła się do marzeń.

Każdy ma jakiegoś trupa w szafie. Najważniejsze, by tego trupa móc z kimś zakopać. By nie żyć z tą myślą samemu.

* * *

Następnego dnia Marietta wracała do swojego filozofa. Czuła się sponiewierana, ale szczęśliwa. Adwokat nie czekał, aż wytrzeźwiała, ale robili to tak długo, że zdążyła wytrzeźwieć w trakcie.

Nie chciała podejmować pochopnych decyzji. Może gdyby była sama? Ale był Olaf. On też potrzebował ojca, a na rozstaniach zawsze najbardziej cierpią dzieci.

Uśmiechnęła się do siebie.

Filozof prosił, by nie przeszkadzała mu przez najbliższe dwa tygodnie. Nie miała zamiaru. Och, nie miała zamiaru. Teraz Olaf był u jej mamy na krótkich wakacjach, to sobie pofolguje, a potem jak wróci, trzeba będzie coś wymyślić.

Marietta czuła, że żyje.

Przechodziła obok cukierni. W sali zabaw na różowej poduszce spał ten koleś z siłowni. Szkoda, że nie przytulał misia. Miś leżał obok. Pewnie dzieciaki go tak porzuciły.

Czyżby dołączył do dziewczyn, że tak zasnął na podłodze?

Widać nie bawił się tak jak ona.

Uśmiechnęła się do swoich wspomnień dopiero co minionej nocy.

* * *

Krzysztof Kalinowski został wykopany z łóżka (w dosłownym sensie) o godzinie dziewiątej rano. Jego żona oświadczyła, że koniec patriarchy i męskiego despotyzmu w tej rodzinie i że mąż też raz może wziąć swe dziecko (nawet nakarmione i przewinięte) na spacer. I drugie na dokładkę. Przygotowała ciuchy dla Mikołaja, Zosię przebrała i wręczyła tatusiowi niczym pakunek.

– A prysznic?

– Nie śmierdzisz. Dasz radę bez. – Pocałowała go na pożegnanie, po czym odwróciła się i poszła z powrotem do łóżka. Dawno tego nie robiła. Przykryła się mocniej kołdrą i natychmiast zasnęła.

Krzysztof Kalinowski, będąc na spacerze, oczywiście również zajrzał do kawiarni. I również zauważył Arka, tego koleśka z siłowni, leżącego na podłodze na różowej poduszce. Gdy wrócił do domu, nie omieszkał powiedzieć o tym swojej żonie.

– Niedobrze, niedobrze – powiedziała wyspana żona, podając mu kawę.

– Dlaczego niedobrze? – Krzysztof Kalinowski uznał, że jemu było właśnie bardzo dobrze. Nie wierzył swoim oczom. Wziął dzieci na dwie godziny, a żona wyspana, kawę podaje i jakoś... Jakoś tak wygląda kwitnąco!

– Niedobrze, bo nie było konsumpcji.

– Jakiej konsumpcji? Babeczek waniliowych?

– Jak zwał, tak zwał, Krzysiu. Można to nazwać babeczkami.

Mężczyźni są jednak prości. Nic nie rozumieją. Przecież od razu wiadomo, o co chodzi. Tylko czemu ta Ada wywaliła go ze swojego mieszkania, jak mogło być tak przyjemnie? Tego Natalia nie wiedziała. Ale miała zamiar koniecznie to zgłębić.



METODY WYCHOWAWCZE NATALII

– E tam – stwierdziła Natalia, gdy dowiedziała się, że nie było namiętnej ani sobotniej, ani niedzielnej nocy.

– No co „e tam”. Co się odwlecze, to nie uciecze – stwierdziła Ada.

– Twarda z ciebie sztuka.

– Nie.

– Nie?

– To on jest twardy. W sobotę poszedł spać na dół, bo nie chciał mnie pijanej, a w niedzielę musiał wracać.

– Całowaliście się chociaż?

Ada się uśmiechnęła.

– Dobrze i to. A nasza perfekcyjna?

– Nie zwierzała mi się.

– A była w ogóle?

– Nie, ale powinna się zaraz zjawić. I jedna, i druga. Magda rano tylko wpadła, by spytać o to samo co ty, ale ma mieć przerwę w rwaniu czy coś i przyjdzie na kawę.

– O! O wilku mowa! – zawołała Natalia.

– Kawy – rzuciła Magda Kondracka, która właśnie wbiegła do kawiarni.

– Dużej?

– Latte. Wielkiej. Zwariuję zaraz. Jak jeszcze raz mnie pokusi ekstrakcja ósemki, proszę mnie powstrzymać. Pacjent przeżył, ale ja ledwo.

– To powinniśmy jakieś wino mieć na tę okoliczność. Trzeba uczcić, że pacjent przeżył.

– Wina na razie dość.

– Będziesz po południu z dziećmiakami?

– Nie, dzisiaj nie. Dziś spokojnie, po domowemu. Muszę trochę pomieszkać. Wiecie co, w ogóle nie mam czasu. Wracam do domu z nimi, czasem tutaj przychodzę i już za chwilę trzeba iść spać. Weekendów pilnuję jak świętości. – Spojrzała na Natalię i powiedziała:

– Natka, chodź tutaj.

– Po co?

– No chodź.

Natalia podeszła.

– Jedynekę na stycznej masz do zrobienia.

Natalia zamknęła szybko buzię.

– To drobiazg. Wpadnij do mnie jakoś.

– Jakoś.

– Dzieci zostaw mężowi i przyjdź. Po ciąży trzeba zwrócić szczególną uwagę na zęby. Nie chcesz chyba sztuczną szczęką w szklance przy łóżku męża straszyć?

Natalia spojrzała na nią z wyrzutem.

– Załatw opiekę nad dziećmi i przyjdź do mnie. A w ogóle to twoje dziecko jakies greczne jest. Non stop śpi i śpi. Nie wiem, kim byłaś w poprzednim życiu, że zasłużyłaś na takie greczne dziecko.

– Jasne. Śpi. Szczególnie jak ma kolkę, albo coś. Bo jeszcze nie ząbkuje. Chociaż Mikołaj ząbkował cały czas. A przynajmniej takie miałam wrażenie.

– No to przynajmniej mi humor poprawiłaś. – Magda dopiła kawę. Pieniądze wrzuciła do koszyczka, bo wiedziała, że z własnej woli Ada nic od niej nie weźmie. – Dobra, uciekam, dziewczyny. Mam teraz superpacjenta. Śpiewaka.

– Śpiewaka?

– Ma otwartą buzię i zawsze nuci nam jakieś melodie, a my z asystentką zgadujemy. Zabawa przednia. Takie „Jaka to melodia”.

– O matko! I zgadujecie?

– Często tak. Dziś zapowiedział muzykę filmową. Moja asystentka powiedziała, że się przygotowuje. Ostatnio nie mogłyśmy zgadnąć. Nucił chyba z pięć razy. Wtem otworzyły się drzwi do gabinetu, pojawiła się głowa innego pacjenta, który siedział w poczekalni i usłyszałyśmy konspiracyjny szept „Miami Vice”. Potem ten z poczekalni stwierdził,

że nie mógł wytrzymać, jak tak się męczymy.

– O matko. A są jakieś nagrody?

– Satysfakcja – odparła z uśmiechem Magda. – Dobra, lecę. Mój mąż się nad botoksem zastanawia. Zwariował mi chłop na stare lata.

– Jakie stare?

– No czterdziestka niedługo. Dobra, dziewczyny.

– Pa!

Natalia poszła do sali zabaw bawić się z dziećmi. Wbrew temu, co mówiła Magda, była totalnie niewyspana, bo Zosia budziła ją kilkanaście razy. I nie wiadomo dlaczego. Gdy Natalia podchodziła do niej, brała ją na ręce, wszystko było dobrze. I tak spędziła pół nocy, wpatrując się w to otwarte okno naprzeciwko. Teraz dla odmiany ktoś się tam całował. Potem zamknął okno, ale nie zasłonił. Czuła się, jakby oglądała film. Dzięki temu noc jej się nie dłużyła. Ale potem całująca się para dziwnym trafem przyjęła pozycję horyzontalną, światło zgasło, więc Natalia mogła się tylko domyślać, czym się towarzystwo na czwartym piętrze zajmuje. Oddała się błogim rozmyśleniom, trzykrotnie odnosząc Zosię do łóżeczka. Tak to jest, jak człowiek za dużo przebywa w pozycji horyzontalnej.

Zosia była dzieckiem planowanym, aczkolwiek trochę później. Bardzo planowanym przez matkę, przez ojca trochę mniej. W każdym razie nie tak szybko. Natalii zdawało się, że cały czas chodzi w ciąży albo jest matką karmiącą. Nie pamiętała już czasu, kiedy spokojnie przespała całą noc. A takie noce jak ta, czyli siedzenie przy łóżeczku Zosi albo chodzenie z nią w kółko, też nie należały do rzadkości. Dlatego cieszyła się nawet, że mali Kondraccy dzisiaj nie zaszczycą jej swoją obecnością, bo o ile Amelka była dzieckiem anielskim, o tyle Michałek Kondracki, czyli Niunio, był z lekka absorbujący.

Postanowiła zatem oddać się mniej zajmującym zajęciom: układaniu puzzli, na dodatek tych łatwiejszych, i oglądaniu książeczek. Była już tak zmęczona, że nawet nie zauważyła, gdy do salki wpadła Magda.

– Ada, jest Ania?

– Za pięć minut będzie.

– Słuchaj, zajmij się dziećmi, ja Natalię wezmę na fotel.

– Ja nie chcę.

– Chcesz, chcesz.

Natalia nie miała nic do gadania. Kilka minut później leżała na fotelu dentystycznym, a Magda dyskretnie próbowała dać jej zastrzyk ze znieczuleniem.

– Luz. Nie będzie bolało.

Sam zastrzyk bolał. Trochę. Ale potem już nic. Natalia w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że oddaje się w objęcia Morfeusza. Nie była już na fotelu dentystycznym, tylko w swoim łóżku, grzecznie spała, a na dodatek nikt jej nie budził!

Natalia zerwała się gwałtownie.

– Spokojnie. Nic się nie dzieje. Chyba zasnąłś, co?

– Yhy.

– No popatrz. Tyle lat pracuję, a jeszcze mi się to nie zdarzyło. Dobrze się spało?

– Yhy.

Tak. Natalia Kalinowska lubiła chodzić do lekarzy, którzy z nią sobie gadają. I ona może z nimi pogadać. A dentysta niestety do takich nie należał. Mogła swoje zdanie wyrażać tylko dwoma sposobami. Albo być na tak, albo na nie.

Zamknęła oczy.

No to może chociaż się wyśpi. Dużo się zmieniło w stomatologii od traumatycznych przeżyć z jej przedszkolnych czasów. Oj, dużo.

* * *

Adrianna próbowała zajmować się dziećmi. Wszak mówi się, że łatwiej jest, gdy tych dzieciaków jest więcej, ale co za dużo, to niezdrowo. W szczególności, jeśli jednym z dzieci jest Niunio Kondracki.

Niunio Kondracki był piekielnie inteligentnym dzieckiem, aczkolwiek niezmiernie ruchliwym. Ada była bliska zawału serca, a przynajmniej miała takie wrażenie. Marzyła o chwili, kiedy Natalia wróci od Magdy z gabinetu i okiełzna towarzystwo.

– Dam ci pepsi, jesteś seksi – oświadczył Michałek Kondracki, zaśmiewając się przy tym w głos.

Adriannie już nie było do śmiechu. Próbowала im czytać, bawić się klockami, ale albo mała Zosia ryczała, a chłopaki się bili, albo Amelka kazała im skakać ze stołu i Ada bała się, że się pozabijają.

Zosia rozdarła się wniebogłosy.

– Dzieciaki. Ja tylko na chwilę idę do kuchni, zrobię Zosi mleko. Proszę, bądźcie grzeczni.

Niunio Kondracki uśmiechnął się niewinnie. Powinno to Adę zdziwić, aczkolwiek dobra to była dziewczyna, szczerza i zakładała, że jak ktoś się do niej uśmiecha, to robi to w celach życzliwych.

Nie było jej tylko przez chwilę. Naprawdę nie więcej niż dwie minuty.

Gdy wróciła, zaniemówiła.

Michałek był goły, latał po całym pokoju zabaw i darł się przeraźliwie.

Pozostałe dzieciaki przypatrywały się z zainteresowaniem.

Ada stała jak wryta. Po chwili do kawiarni weszły Natalia z Magdą. One szybciej doszły do siebie.

– Michał! Co ty robisz?

– Mama, nie krzycz na niego. On po prostu bawił się w Tarzana, władcę małp. On był Tarzanem, a my wiadomo... – tłumaczyła harce brata Amelka.

Magda była bezsilna. Podziwiała Natalię za jej cierpliwość, za to że zawsze sobie dawała radę. Ona sama tak nie umiała. Czuła się wyjątkowo złą matką.

Nie po raz pierwszy, zresztą.

* * *

Natalia Kalinowska na ogół czuła się dobrą matką. Na ogół. Jak wiemy, czuła się zdecydowanie gorszą sprzątaczką. A dokładniej, sprzątaczką wcale się nie czuła. Niestety, jej syn to zauważył i robił bałagan co najmniej taki jak jego mama.

Natalia najchętniej zamknęłaby oczy, by nie widzieć tej sterty ubrań do prasowania, naczyń do umycia i kubków po kawie porozstawianych po całym mieszkaniu. Czasem takie rozwiązywanie problemów jest całkiem fajne. Tylko potem jest jeszcze gorzej.

Siedziała z synem na tapczanie i zastanawiała się, od czego zacząć. Nie bardzo wiedziała. Mimo kilku książek, nikt nie dawał jej dokładnych instrukcji. Zatem lepiej byłoby usiąść i pomyśleć.

Kilka dni po imprezie w kawiarni przyszła do niej Marietta. Miała ubranka po Olafie i przyniosła dla Michała. Oczywiście same markowe. Usiadła na brzegu fotela, wypła kawę i w milczeniu rozglądała się po mieszkaniu.

– Jak będziesz potrzebowała pomocy, daj znać. – Wskazała na wieszak, uginający się od kurtek i płaszczy, jeszcze zimowych. – Mnie to bardzo uspokaja. Ja lubię.

– Przestań. Nie będziesz u mnie sprzątać. Muszę sama się ogarnąć...

– Dobra. Jak chcesz. Zostawiam worek. Jak coś ci się nie spodoba, oddaj komuś. Ja się sukcesywnie pozbywam. – Uśmiechnęła się. – Pamiętaj. Mnie sprzątanie odpręża.

* * *

Ada wciąż jeszcze miała przed oczami gołego Michałka, przewiązanego w pasie swoją bluzą i drącego się wniebogłosy. Jak jej

Amelka wyjaśniła, był Tarzanem. Mimowolnie się uśmiechnęła.

W ogóle chciało jej się uśmiechać na wspomnienie poprzedniego wieczoru. A w zasadzie całego dnia, który spędziła z Arkiem.

Że też mógł pomyśleć, iż ona ma męża... Przyzwoity facet, skoro dla niego syn równał się mężowi... Albo raczej nieprzyzwoity. Ale wtedy, gdy Michał już zasnął.

– Cześć – przywitał ją uśmiechnięty Arek, który właśnie wszedł do kawiarni.

Nie lubiła tego uczucia, gdy po pierwszej wspólnej nocy, a w zasadzie kilku bardzo intymnych chwilach, się rozstają, by potem znowu się witać. Tego przywitania nie lubiła. W tym pierwszym spojrzeniu PO można było wyczytać wszystko.

Już tyle razy widziała w oczach mężczyzn wyznanie, że to nie to, że była tylko na chwilę. Tym razem też bała się patrzeć.

– Aduś? Wszystko w porządku? – zapytał.

Usłyszała go. Już nie musiała patrzeć. Wiedziała, co wyczyta w jego oczach. Miała rację.

Nadzieja, niepewność, strach.

Ale było też coś, co widziała kiedyś bardzo dawno. Tylko przez chwilę. Miłość? Może za wcześnie o tym mówić, ale w jego spojrzeniu tliła się mała iskierka, która z czasem musiała przerodzić się w wielki płomień. To Ada wiedziała.

– W jak najlepszym porządku... – odpowiedziała i wtuliła się w jego ramiona.

Natalię odprężała praca z dziećmi. Była kreatywna. Lubiła śpiewać, kleić, rysować, wymyślać coraz to nowe zabawy. Kochała bajki. Wymyślała je i opowiadała dzieciom w zależności od swojego nastroju. Czasem zauważała, że dorośli pijący kawę w sąsiednim pomieszczeniu również się im przysłuchiwali.

Była otwarta na nowości, ale też strasznie wściekała się na głupotę ludzką. Tak jak wtedy, gdy jeden facet przyszedł i chciał nad nią odprawiać egzorcyzmy, bo zauważył, że dzieciaki bawią się klockami lego. A jak wiadomo, klocki lego i Hello Kitty to dzieła szatana.

Natalia prędko go wygoniła, bo sam wyglądał tak, że dzieci zaczynały się za nią chować na jego widok.

Gdy wyszedł, odetchnęła z ulgą i rzekła do Adrianny:

– Aduś. Powinnaś też mieć tutaj taką tablicę ze zdjęciami „tych państwa nie obsługujemy”. Bo ja drugi raz tego nie zniosę.

Magda Kondracka była nieustającym wyrzutem sumienia. To było jej drugie imię. Gdy siedziała w pracy, miała wyrzuty sumienia, że nie jest z dziećmi, gdy wracała do domu, do dzieci, próbowała trochę popracować, choćby dojść do ładu z jakimiś papierzyskami czy zamówieniami, ale niestety nie bardzo była w stanie się skupić. Dlatego miała wrażenie, że cały czas wrzeszczy na dzieciaki, a najczęstszym zdaniem, jakie wypowiada, jest: „nie mam czasu”. Starła się też rozmawiać z nimi po partnersku, po prostu mówiła im, że musi zarabiać pieniądze, a one wcześniej to zaczęły rozumieć. Co za podły świat.

Trochę się przestraszyła, że za często mówi o pieniądzach, gdy jej syn o drugiej w nocy zaczął ją wołać. Gdy zwlekła się ze swojego łóżka i weszła do jego pokoju, siedział zupełnie przytomny ze swoim ulubionym helikopterem w ręku.

– Mama, a ty masz dużo pienionsków?

– No trochę mam – odparła Magda i ziewnęła. – A co byś chciał, żebym ci kupiła?

– Odrzutowiec – odpowiedział bez wahania Michałek.

– Odrzutowiec? – Magda Kondracka natychmiast się obudziła. – No, aż tyle pieniążków to nie mam...

– Mama! Ale psecies tylko jeden! – wyjaśnił jej Niunio.

Magda przytuliła synka. O nie. Nie będzie pracowała tyle, by kupić mu odrzutowiec. Nawet jeden. Musi zwolnić. Bo na razie wygląda na to, że obcy ludzie wychowują jej własne dzieci. Zasypiała, przytulając Michasia.

– Mamo...

– Mhmhm?

– Pić mi się chce.

– Śpij, kochanie – zamruczała Magda przez sen. – Zaraz ci przyniosę – obiecała, łudząc się, że Michaś zaśnie.

Michaś miał inne plany.

– Mamusia. Jaka ty jesteś kochana, że mi psyniesies picie – oświadczyło upiorne dziecko o trzeciej w nocy.

Chcąc nie chcąc, Magda Kondracka zwlekła się z łóżka syna, zeszła na dół do kuchni i nalała mu wody z butelki. Jako dentystka nie uznawała żadnych słodkich napojów po myciu zębów.

Gdy wróciła, jej synek spał w najlepsze. Uśmiechnięty i rozkoszny niczym niemowlak.

Magda uśmiechnęła się. Wypiła wodę przygotowaną dla syna i wróciła do męża do łóżka.

* * *

Natalia, korzystając z okazji, że mąż był w domu, siedziała w toalecie. Kto by pomyślał, że ubikacja będzie rozkosznym miejscem azylu dla młodej mamy, gdy zechce pobyć sama. Sama ze sobą albo sama z książką, gazetą, czymkolwiek, byle nie dziećmi. Własnymi i cudzymi również. Chwilowo miała dość.

– Natalia, długo jeszcze? – dopytywał Krzysztof.

– Długo – odpowiedziała.

– Ja muszę wyjść! Kochanie, ty to robisz specjalnie!

A i owszem, robiła to specjalnie, ale Krzysztof nie musiał przecież o tym wiedzieć. Jak on siedział w łazience godzinę, to wszystko było w porządku.

– Natuś, ty to robisz specjalnie, żeby nie być z dziećmi!

I tym razem się z nim zgadzała.

– Kłopoty mam! – zawołała Natalia, przewracając kolejną kartkę

książki. Cóż począć, ta Bonda tak pisze, że się nie można oderwać. Niechby sam poczytał. Też by się przekonał.

– Natka, zostawiam dzieci i idę.

– Kochanie, nie rób tego! Mogą sobie krzywdę zrobić – powiedziała spokojnie.

Trzy strony do końca. Może się uda.

Krzysztof przez chwilę był cicho. Zdołała dokończyć książkę. Dowiedziała się, kto zabił, i poczuła się świetnie.

Wyszła z ubikacji.

– Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy słowami mężczyzny a kobiety, którzy wychodzą z ubikacji?

Krzysztof stał naburmuszony z Zosią na rękach.

– Nie wiem.

– Kobieta, gdy wychodzi z łazienki, pyta męża, czy ładnie wygląda, a mężczyzna mówi „teraz tam nie wchodź”.

– Wcale nieśmieszne – oświadczył Krzysztof Kalinowski. – Wychodzę. Idziesz dzisiaj do tej swojej PRACY? – zapytał drwiąco.

– Nie, zostaję dzisiaj w domu.

– To może trochę ogarniesz? Przecież nic nie będziesz robić.

Natalia zmroziła męża wzrokiem. Gdy tylko wyszedł, usiadła z dziećmi na podłodze i oddała się błogiemu lenistwu.

* * *

Magda Kondracka postanowiła być dobrą matką. Odebrała dzieci wcześniej z przedszkola. Niestety, już przy wejściu natknęła się na niezbyt zadowoloną dyrektorkę.

– Pani Magdo. Ja nie chcę wnikać w to, co państwo robią w domu... Są państwo przecież lekarzami. Ale dzieci opowiadają innym dzieciom, że istnieje takie zioło, które rozwiązuje wszelakie problemy... I ja tutaj naprawdę, prywatnie jestem za legalizacją, ale wie pani, to przedszkole i nie powinno się... Ja wiem, że państwo jako lekarze mają dostęp do różnych środków...

– Czegoś tutaj nie rozumiem... – wyszeptała Magda Kondracka przerażona. – Mówi pani o narkotykach? – dodała szeptem.

– Właśnie. – Pani dyrektor pokiwała głową. – Może państwo spróbują wytłumaczyć dzieciom, że to do końca nie jest właściwe.

Magda Kondracka nerwowo pokiwała głową. Skąd te dzieci mają takie pomysły?

– Misiaczkę, Amelko... Czy wy w przedszkolu mówiliście dzieciom o jakimś ziele? – zapytała, układając je do snu.

– No, o tym czarodziejskim. Co leczy wszystkie choroby i robi, że świat jest fajniejszy.

Magda dalej nie wiedziała, o co chodzi.

– Mama, bo Michała bolał brzuch i ryczał. I jak ty byłaś w gabinecie, to ciocia Natalia mu opowiedziała bajkę. O tym, że połknął Płaczka i dobra księżniczka Amelia przepłynęła siedem gór i siedem rzek.

- Przeszła – mechanicznie poprawiła Magda.
- Tak, szła i szła, szła i szła. Szłaaaaaa...
- I?
- No i poszła, żeby znaleźć zioło, które jest na wszystkie problemy. No i znalazła, i Michałek wypił to zioło i przestał płakać.
- Dobrze, że nie zapalił, a wypił – wyrwało się cicho Magdzie.
- Zapalił? A można zioło palić? – zapytała Amelka. – Ale fajnie, powiem w przedszkolu.
- Wiesz co, kochanie, może ty lepiej już nie opowiadaj bajek, które ciocia Natalia ci opowiada.
- Mamo, ale ona takie fajne bajki opowiada. Ja lubię, jak ty chodzisz do gabinetu. Wtedy ciocia Natalia opowiada bajki, ciocia Ada daje nam ciasteczka, a jak jest ciocia Karolina, to wymyśla straaaaasznie trudne zadania.
- Dobrze, kochanie. Zobacz, Michałek już śpi, też śpij, bo jutro będzie ciężko wstać.

O Boże. Zioło.

Magda Kondracka zaczęła chichotać. Szybko wyszła z pokoju, by nie obudzić dzieci, które dopiero co zasnęły.



„BĘDZIEMY MIELI DZIECKO” PRZYCZYNĄ SKANDALU

Magda i Natalia miały problemy związane z macierzyństwem. One były jeszcze przed Milaczkiem, który już był doskonale przygotowany i wiedział, że jego dziecko zaczyna mieć już uszy na właściwym miejscu. Zofia Kruk jak zawsze chciała być jeszcze lepiej przygotowana na wszystkie okoliczności.

Biegała i wszystkim, którzy chcieli (oraz nie chcieli) tego słuchać, mówiła, że rodzi im się dziecko. Oczywiście większość patrzyła na tę ekscentryczną starszą panią z powątpiewaniem, ale, jak można było się spodziewać, Zofia Kruk nic sobie z tego nie robiła.

Była właśnie ze Stasiulkiem w sklepie i zastanawiała się, czy lepiej wybrać niebieską grzechotkę czy różową. Nic, że Milenka mówiła, że jeszcze za wcześnie, by wybierać cokolwiek. Że jeszcze „wszystko może się zdarzyć”. Jakie wszystko? Pod dobrą opieką jest, tylko się uparła, że do roboty będzie chodzić. Na ZUS tyle płaci, zwolnień nie bierze, niech sobie robi małe wakacje dziewczyna. A zresztą, jakie wakacje! Dziecko przecież musi sobie beztrąsko z matką poleżeć, nawet w brzuchu, a nie przed komputerem siedzieć osiem godzin. No, musi porozmawiać z Milaczkiem. Bo naprawdę tak nie można. Podeszła do półki z dziecięcymi tekstyliami. Wzięła do ręki niebieski miękki kocyk.

– Jakie to będzie piękne, że będziemy mieli dziecko! – powiedziała z westchnieniem na tyle głośno, że młoda dziewczyna z widocznym zainteresowaniem spojrzała na, co tu ukrywać, starszą panią.

Zofia Kruk wcale się tym nie przejęła.

Przejęła się natomiast czymś innym. Uległa Staszce i poszła

z nim na jakieś podejrzané jedzenie. Miał czasami takie życzenia, by zjeść na mieście. I to nie na mieście w restauracji, tylko w jakimś podrzędnym barze. Cóż miała robić, gyros wyglądał nawet smakowicie, ale po nim Zofia Kruk bynajmniej smakowicie się nie czuła. Wręcz przeciwnie. Bolał ją brzuch i obawiała się, że jeżeli natychmiast nie dojdzie do toalety, wszystko zakończy się katastrofą.

Rzuciła kocyk z powrotem na półkę i stukając nowymi czerwonymi szpilkami, pobiegła szukać toalety. W międzyczasie stwierdziła, że da radę dojechać do domu. Biegła na parking. Staszek czekał przed wyjściem. Nie mogła się przyzwyczaić, że mają samochód. Gdy jeździła z panem Krzysiem taksówką, to wszystko było jasne. A tutaj ciągle nie mogła zapamiętać, czy to volkswagen, czy volvo. I to na „v”, i to na „v”. Ważne, że był granatowy. Staszek podjechał bliżej, Zofia wsiadła do samochodu i po prostu nie wytrzymała. Puściła siarczystego bąka. Nie robiła tego nigdy publicznie, nawet przy Staszku. Zawstydzona, odwróciła się w lewo, by przeprosić męża, był tylko jeden problem...

Za kierownicą nie siedział Staszek. Siedział inny mężczyzna, zupełnie nieprzypominający Stanisława. Zofia Kruk zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Otworzyła drzwi i wyleciała z auta jak z procy. Pobiegła kawalek, gdzie stał PRAWDZIWIY Staszek w ich nowym samochodzie.

– Stasiulku, uciekaj! – zawołała z paniką w głosie. – Uciekaj szybko.

– Zosieńko, stało się coś? – zapytał Stasiulek, ale jak każdy przykładowy mąż posłuchał żony, ruszył z piskiem opon i, szukając napisu EXIT, podążył za strzałkami kierującymi do wyjścia.

Kierowca, który był świadkiem niewątpliwie wstydliwego zdarzenia, również szybko ruszył z miejsca i najwyraźniej gonił Stasiulka, co jakiś czas wymachując rękami.

– Stasiulku, pędź!

– Przecież nie lubisz, jak szybko jeżdżę – denerwował się Stasiulek. – Tym bardziej po tych serpentynach. Zjeżdżał właśnie z parkingu w Galerii Bałtyckiej i ścisnął kierownicę kurczowo obiema rękami.

– Nie lubię – przyznała Zofia. – Ale w życiu każdego człowieka jest taki moment, kiedy łamie swoje zasady. – Pomyślała o zdarzeniu sprzed chwili. – Pędź, Stasiulku! Szybciej!

Staszek wyjechał z Galerii Bałtyckiej, skręcił w lewo, za nim jechał cały czas granatowy samochód z wymachującym w dalszym ciągu facetem. Facet machał coraz bardziej intensywnie. Zosieńka zamknęła oczy, modląc się, by pan wymachujący zniknął jak najprędzej. Niestety, tak się nie stało. Dojechali do Grunwaldzkiej i przywitało ich czerwone światło. Zofia Kruk jęknęła.

W samochodzie za nimi otworzyły się drzwi i wyszedł z nich mężczyzna.

Zofia Kruk jęknęła po raz drugi. Głowę schowała w ramiona. Gdyby mogła stać się niewidzialna, pewnie by to zrobiła. To się w głowie jej nie mieści. Dama puszczająca bąka i to jeszcze w samochodzie obcego faceta.

Machający zapukał w szybę.

Zofia Kruk skuliła się, nerwowo patrząc w okno.

Stanisław otworzył szybę. Przez okno zajrzał młody przystojny facet.

– Proszę państwa. Na szczęście już wywietrzało, ale pani torebkę

zostawiła.

Po tym zdarzeniu na kilka dni odechciało się Zofii Kruk załatwiania jakichkolwiek sprawunków. Miała również kilka cichych dni ze swoim ukochanym mężem, bo ten, co na nią spojrzeł, to zaczynał głośno rechotać. I w żadnym wypadku nie mógł się powstrzymać, mimo że bardzo chciał.

* * *

Magda Kondracka natomiast planowała zrobić manewr opiekuńczy. Pozostawiła wieczorem dzieci ojcu i udała się na cotygodniowe zakupy w całodobowym Tesco. Dzień dał jej się we znaki, a na dodatek lodówka była pusta. Jak ona nie zrobi zakupów, to już chyba nikt. Zatem wzięła trzy siatki i pojechała.

Gdy wróciła, była jeszcze bardziej wyczerpana. Tak łudziła się, że gdy wróci z tego cholernego sklepu, dzieci wykąpane będą grzecznie spały w swoich ślicznych piżamkach. Niestety, los bywa przewrotny. Dzieci układały klocki duplo, natomiast mąż i ojciec grzecznie spali na fotelach w swoich równie ślicznych piżamkach.

Magda zakłęta sobie w ciszy, zgarnęła dzieci na górę, wsadziła je razem do wanny, po czym po kolei wytarła, przebrała i położyła do łóżek.

Usiadła najpierw koło Michałka.

– Mama, ja cię bardzo lubię. I jak mi dajes łapkę, cię lubię, i jak mi nie dajes łapki, też ciem bardzo lubię.

– Bardzo się cieszę, Michałku – powiedziała Magda.

– I Amelkę lubię, i tatę lubię. Syskich mieszkańców lubię

i kota cioci Karoliny tes!

– Mama, bajkę – zarządziła Amelka, która była bardziej pragmatyczna.

Magda resztkami sił położyła się przy córce.

– Opowiem. – Westchnęła ciężko. – Nie będę czytać. Otóż dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami, żyła sobie księżniczka Rozalinda. Książę Julian do tejże księżniczki miał pod górkę. Czyli ciężko mu było. Mimo to wdrapał się do niej pod tą górę, z wielką siatką z zakupami, by stworzyć wraz z księżniczką Rozalindą partnerski związek.

– I co dalej?

– No właśnie, co dalej? – zapytała samą siebie. Michałek już spał.
– Chyba żyli długo i szczęśliwie.

– Fajna bajka, mamo. Może nie taka fajna jak cioci Natalii, ale też może być. Dobranooooooc – ziewnęła Amelka.

– Dobranoc. – Magda Kondracka nie dodała już, chociaż miała na to ochotę, że to, co właśnie opowiedziała dzieciom, to się nazywa fikcja literacka. I że nie ma faktów w tej bajce. Nawet tych „faktów autentycznych”.



MATKA KALINOWSKA I PIERRE DOLIŃSKI

Zofia Kruk siedziała w domu i cierpiała. Po wydarzeniu w Galerii Bałtyckiej miała awersję do wszelakich sklepów wielkoformatowych, a przecież czas leciał i musiała zapewnić młodemu dziecięciu należytą wyprawkę! To nic, że nie wiedziała, czy chłopak, czy dziewczynka, to nieistotne. Szczególnie w państwie, w którym słowo GENDER brzmiało we wszystkich stacjach telewizyjnych.

– Stasiulku, a gdyby tak znaleźć jakiś mały śliczny sklepik, gdzie...

– Gdzie nie ma parkingu podziemnego? – Stasiulek zaczął znowu chichotać.

– Stanisławie! Ja się chyba z tobą rozwiodę! – oburzyła się Zofia Kruk i trzasnęła drzwiami.

Jak za starych dawnych czasów zawołała pana Krzysia.

– Myślałem już, że pani o mnie zapomniała – żalił się pan Krzyś.

– Ależ w życiu. Mąż tylko samochód kupił. Ale powiem panu, panie Krzysiu, że już mam dość tego samochodu, na jakiś czas.

– A to niby dlaczego?

– A tam, taka nieprzyjemna sytuacja miała miejsce na parkingu. I odechciało mi się własnych samochodów. Jak taxi, to wiadomo, oznakowane, a tak to musisz szukać swojego. A wszystkie, panie Krzysiu, podobne.

– Prawda, pani Zosiu. Ale i tak pani nie przebije mojego kolegi.

– A co z kolegą?

– A kiedyś czekał na klienta w Galerii Bałtyckiej. Wie pani, na takiego ważnego, dlatego wziął limuzynę, nie swojego merca z kogutem. I wsiadła do niego jakaś babka i baka puściła – zaczął opowiadać pan Krzyś i zaśmiał się. – Wyobraża sobie pani, pani Zosiu? Myślała, że wsiada do swojego auta. – Pan Krzyś już się śmiał w głos.

Otóż Zofia Kruk sobie wyobrażała.

A nawet, można powiedzieć, знаła tę historię.

I to z autopsji.

Zawtórowała panu Krzysiu śmiechem, by nie wzbudzać podejrzeń, po czym kazała się zatrzymać. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem.

– Pan mnie tu wysadzi, panie Krzysiu – poprosiła. – Muszę pooddychać.

– Źle się pani czuje?

– Nie, panie Krzysiu. Muszę pooddychać. Jak będę stara, będę się źle czuć, teraz co najwyżej mogę mieć chwilowy spadek nastroju. Proszę się kręcić tutaj nieopodal. Zadzwoń.

Zofia Kruk musiała się przejść. Bardzo przykro jej było, że już krążą anegdoty na jej temat. Jasne, ona sama mogła się z siebie śmiać, ale inni? W żadnym wypadku.

Minęła mały kolorowy sklepik z napisem „Koty na Płoty”. Podobało jej się.

Otworzyła drzwi i natychmiast zapomniała o problemach. Dostała oczopląsu. Tylu kolorowych, wzorzystych materiałów nie widziała jeszcze nigdy.

– O Boże – powiedziała i usiadła na białej kanapie.

– Źle się pani czuje? – Podeszła do niej wysoka dziewczyna.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Chyba jestem we właściwym miejscu. – Zofia Kruk powoli odzyskiwała animusz. – Szukam czegoś dla malucha. Bo wie pani, dziecko nam się rodzi!

Dziewczyna spojrzała z powątpiewaniem na panią w kwiecie wieku, która oznajmiła jej właśnie radosną nowinę.

– Jeszcze pół roku. Zatem mamy czas. Zdążę się wszystkiego nauczyć.

– Nauczyć?

– No tak. Wyprawkę chcę uszyć. Mówiłam, że dziecko nam się rodzi.

– No tak... – Dziewczyna była bardzo zdezorientowana. – Nam, czyli komu?

– No mi i Stasiulkowi. – Zofia chwilowo zapomniała, że jest obrażona na męża. – Milaczkowi, Jackowi i Zuzie.

– Acha – przytaknęła właścicielka „kociego” interesu, która była coraz bardziej zdezorientowana. Jednak doświadczona przebywaniem z artystami różnej maści, przeszła nad tymi informacjami do porządku dziennego. Po dwóch godzinach zadowolona Zofia Kruk uszyła swój pierwszy kocyk i była z siebie bardzo zadowolona.

– Do zobaczenia za tydzień – pożegnała się z uśmiechem.

Jak to człowiekowi poprawia się zaraz humor, jak się do roboty zabierze.

Całe życie się człowiek czegoś uczy. Nawet tuż przed siedemdziesiątką.

Następnego dnia również z uśmiechem na ustach usiadła do maszyny. Jeszcze Zuzankę musi zabrać. Zofia Kruk zawsze wiedziała, że do czegoś ma talent. Bardzo żałowała, że tak późno go odkryła.

* * *

Magda wpadła do kawiarni na poranną kawę.

– Wiecie co, dziewczyny? Czasami sobie myślę, że chrzanię tę robotę. Że pójdę tańczyć na rurze, że będę striptizerką. I wiecie co? – zapytała. – Przypominam sobie, że jestem gruba i nie umiem tańczyć...

– E tam. Niektórzy lubią grube.

– Tja. Fetyszyści.

– Jak zwał, tak zwał. Niektórzy lubią stopy, niektórzy cycki, a inni grube. Poza tym nie ma kobiet grubych. Są tylko takie, które mają większą erotyczną powierzchnię użytkową.

– Jasne – powiedziała Ada. – Nie wierzę. Na przykład do Arka przychodzą same cizie.

– E tam. Sam przychodzi do ciebie na ciasteczka. Cizie zresztą też.

– No właśnie. A mnie namawia na siłownię. Albo inne rowery. –
Wzruszyła ramionami. – Zawsze podkreśla, że będę się lepiej czuła.
I będę mniej nerwowa. A czy ja się źle czuję? Czy ja jestem nerwowa?

W kawiarni zaległa cisza.

– No co? Jestem? Czy ja jestem nerwowa?

Magda ugryzła ciastko. Pokręciła głową, sugerując, że nie może
mówić z pełnymi ustami.

– No dobra. Może trochę jestem.

– Wiecie, o czym marzę? – zapytała nagle Natalia w zamyśleniu. –
By mieć do dyspozycji łazienkę z gorącą wodą na godzinę. I by w tym
czasie nikt, ale to nikt nie walił mi w drzwi.

– Ja też o tym marzę. Zobaczcie, zeszyliśmy na psy. Pół życia się
uczyć, by mieć marzenia dotyczące godziny spędzonej samotnie
w kiblu. Masakra.

Nagle do kawiarni wpadła Marietta. Roztrzęsiona. Już raz ją taką
widziały, ale wtedy był wieczór i była impreza.

– Sorry. Nie ma wina – uprzedziła na wszelki wypadek Ada.

– Nie chodzi mi o wino – powiedziała Marietta.

– O filozofa? – zapytała Magda.

Pani prokurator pokręciła głową.

Wypiła duszkiem sok pomarańczowy.

– Adwokat? Olaf?

– Nie, z nimi wszystko w jak najlepszym porządku. Przyzwyczajam Olafa do adwokata. I odwrotnie. A filozof filozuje.

– A wiesz, że to były facet Karoliny?

Wiadomość ta nie zrobiła zbytniego wrażenia na Marietcie.

– Słuchaj, Karoliny nie ma, a my nie za bardzo wiemy, o co cię wypytywać, by ci pomóc.

– Nieważne. Natalia, może pójdziemy do ciebie ogarnąć szafę? – rzuciła niespodziewanie pani perfekcyjna.

– Ogarnąć szafę? – zainteresowała się Magda.

– No, posprzątać.

– Ej, no... – obruszyła się Natalia. – Nikt nie będzie mi sprzątał szafy!

– Natka... Pomogę ci...

– Nie, no co ty. Głupio jakoś tak.

– Natka. Ale Pierre Doliński mi umarł. Muszę odreagować.

Wszystkie dziewczyny zbladły. Po imprezie nawet polubiły Mariettę, a Pierre'a Dolińskiego jeszcze bardziej, mimo iż znały go tylko ze słyszenia.

– To znaczy... Terapii potrzebujesz?

Marietta kiwnęła głową.

– I wydaje ci się, że moja szafa ci pomoże? – zapytała Natalia.

– Dokładnieee – wyszlochała Marietta. Wytarła nos w nieskazitelną czystą chusteczkę z monogramem i włożyła ją do torebki.

– Idź, Natalia. Trzeba dziewczynie pomóc – powiedziała Magda.

Natalia zgarnęła dzieci ze sobą, Zosię położyła do wózka, Mikołaja wzięła za rękę, a Michałka posadziła na krawędzi wózka.

– Matka Polka potrafi, jak chce. A ja? Jestem typowa matka Polka.

– Mama, ty nie jesteś matka Polka! – oburzył się Mikołaj. – Ty jesteś matka Kalinowska!

Matka Kalinowska westchnęła. Włączyła dzieciom piosenki z Youtube. Niech się trochę poruszają.

Niestety, repertuaru nie przewidziała. Z komputera dobiegło:

Mama starła kurz

i naczynia zmyła już.

Teraz głowę sobie łamie,

jak do ładu dojść z kartkami.

Tata obiad zjadł

i w fotelu siadł.

Milczy, jakby stracił głos,

i w gazetę wetknął nos.^[1]

– Czy ty to słyszysz? – wycedziła przez zęby do Marietty. Marietta właśnie opróżniła całą szafkę z butami i wycierała ją to na mokro, to na sucho, to robiła jeszcze inne cuda, o których Natalia nie miała pojęcia. – Tę piosenkę.

– Nie słyszałam.

– Puszczam jeszcze raz. Posłuchaj, jaka indoktrynacja od wczesnych lat! Tatuś sobie obiadek je i czyta gazetę, a matka kurze wyciera, obiady gotuje i jeszcze papierzyska jakieś przegląda.

– Puszczaj.

Posłuchały jeszcze raz.

– Nawet ja nie jestem w stanie tego zaakceptować – przyznała z westchnieniem pani nieskazitelna i zaczęła wkładać buty do pachnącej szafki.

– No widzisz? A tyle się mówi o gender. A tu trzeba zacząć nie od sukienek, ale od zmiany repertuaru zespołów dziecięcych. Zgłoszę chyba tę piosenkę jako szkodliwą społecznie.

Mikołaj miał odmienne zdanie. Bawił się właśnie swoją ulubioną betoniarką i podśpiewywał:

– Mama stała kuz i nacynia zmyła juss!

Praca u podstaw. Jakby gdzieś już o tym czytała. Nie ma to jak pozytywizm we wczesnej edukacji przedszkolnej.

Jej też by się przydała praca u podstaw. Ale ze ścierką i szmatą. Powinna iść na korepetycje do Marietty. Albo na szkolenie. Obawiała

się jednak, że kurs „Sprzątanie w weekend” nie wystarczy.

Męczyła się samym patrzeniem na panią nieskazitelną, jak ją zawsze w myślach nazywała.

Matka Olafa w przeciwieństwie do matki Kalinowskiej była kobietą na wskroś zorganizowaną. To był ten typ, który spodnie od piżamy prasuje w kancik i śpi w wielkiej różowej opasce na oczach.

Wprawdzie zgodnie z zaleceniami Natalia usiłowała wyobrazić sobie Mariettę w mniej poważnych sytuacjach, ale było ciężko.

Szła jak przecinak.

Segregowała ciuchy na dwie kupki: te, których jej zdaniem Natalia nie mogła założyć w żadnym wypadku, wrzucała do czarnego worka, resztę układała w szafie. Oczywiście kolorystycznie. Gdy ogarnęła szafę, w ekspresowym tempie wpadła do łazienki i kuchni.

Natalia była zmęczona samym patrzeniem na nią, zatem starała się nie patrzeć. Oczywiście musiała, bo w momencie kiedy do pokoju wparowuje biała kobietka z odkurzaczem i przepędza wszystkich z podłogi, trudno było na nią nie patrzeć.

Po kilku godzinach skończyła. Dom lśnił jak nigdy.

– Dziękuję ci bardzo, Natałko... Jestem gotowa, by powiedzieć o tym Olafowi. O Pierdolińskim.

– Trzymaj się, kochana. Wiesz... Jakbyś kiedyś miała jeszcze potrzebę, zapraszam. Bo coś czuję, że ten twój nieskazitelny dom to zbyt małe wyzwanie dla ciebie. A u mnie możesz odreagowywać, że hej!



[1] Fasolki „Smutne reggae”

RÓWNOWAGA W PRZYRODZIE MUSI BYĆ, A UCZEŃ PRZERASTA MISTRZA

Milenka jeździła do najlepszego doktora w mieście, czyli do Augustyna Poniatowskiego. Doktor Poniatowski przyjmował na Zaspie, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała, więc mogła tam chodzić nawet na piechotę. Właśnie miała zamiar przechodzić przez ulicę, gdy na trawie zauważyła coś dziwnego. Trudno było nie zauważyć. Na trawniku stał słoń. Wielki szary słoń.

Milaczek stanął jak wryty.

Poczuł się z lekka dziwnie, bo jakby nie patrzeć, słoń nie był zwierzęciem występującym zbyt często w Polsce, tym bardziej na wolności. Bezpańskie koty, owszem, ale bezpańskie słonie?

Przetarła dłonią oczy. Chyba ciąża jej nie służy. Nic nie pomogło. A było jeszcze gorzej. Teraz już nie widziała jednego słonia, a stado słoń. A kawałek dalej wielbłąda.

Zaczęła się rozglądać, czy wokół są jacyś ludzie, a jeżeli są, czy widzą to samo, co ona. Niestety, osiedle jakby wymarło. To był zły znak.

Drżącą ręką wyjęła z torebki telefon.

– Cześć, kochanie! – Milenka usłyszała głos Jacka.

– Cześć. – Jej głos nie był tak radosny. – Jacek, wyobrażasz sobie? Jestem na Zaspie i tutaj się pasie stado słoń.

– Hmm – dyplomatycznie wymruczał Jacek. – Milenko, a czy u lekarza już byłaś?

Nie wierzył jej. No pewnie, gdyby jej ktoś powiedział, że na Zaspie pasie się słoń i wielbłąd, też by nie uwierzyła, więc co się dziwić.

– Nie, właśnie idę.

– A może przyjadę po ciebie? Wrócę z pracy wcześniej?

– Nie, kochanie. Dam sobie radę.

* * *

Jacek Wolicki bardzo się zmartwił. Zanim zwolnił się z pracy, wygooglał sobie wszystko na temat zaburzeń psychicznych w ciąży i zmartwił się jeszcze bardziej. Dowiedział się, że u kobiety w ciąży i w okresie połogu zaburzenia psychiczne mogą wystąpić po raz pierwszy w życiu, ale może też dojść do nawrotu czy zaostrzenia stwierdzonych wcześniej zespołów psychopatologicznych. Że mogą się pojawiać pierwsze epizody schizofrenii i zaburzenia urojeniowe.

Słonie i wielbłąd z urojeniami miały bardzo wiele wspólnego.

Jacek wracał z pracy bardzo zmartwiony. Nic. Są różnego rodzaju specjaliści, to zapewne pomogą Milence. Nigdy nie może być tak różowo.

Jacek Wolicki minął właśnie most na Zaspie i skręcił w ulicę Jana Pawła. Chciał zmienić pas, więc spojrzał w lewo.

Po lewej stronie, na trawniku nieopodal ulicy stał słoń. Wraz z kolegami, dodajmy. I wielbłądem.

Przypomniął sobie wszystko, co zdążył poczytać o urojeniach i schizofrenii, i zrobiło mu się jeszcze gorzej. Nie ze względu na siebie, ale na Zuzannę, która to wszystko będzie musiała wziąć na swoje biedne małe barki.

Zatrzymał się na poboczu, by odetchnąć. Nawet wysiadł z samochodu. Słonie widział nadal. Do wielbłąda dołączył drugi.

– A co ty tutaj, tata, robisz? – usłyszał nagle głos swojego dziecka, o którego los się właśnie przed chwilą martwił.

– Zuzanko... Czy ty widzisz to samo co ja?

– No widzę. Właśnie przyszedłam to oglądać. Fajnie, co? Słonie w środku miasta! I wielbłądy!

– A ciebie to, Zuzanko, nie dziwi? – zapytał Jacek, może trochę uspokoiony, bo w to, że dwie osoby mają zwidy, to jeszcze można uwierzyć, ale że trzy, to już mało prawdopodobne.

– No dziwnie trochę, ale cyrk przecież przyjechał – odrzekła i pokazała na wielki namiot, którego Jacek jakoś wcześniej nie zauważył.

– Zuzanko! Kocham cię!

Zuzanna wiedziała o tym doskonale, ale zdziwiła się nagłym wybuchem uczucia swojego ojca. No nic. Czasem się zdarzają gorsze dni, nawet dorosłym.

– Tata, uciekam, bo muszę coś jeszcze załatwić.

Jacek Wolicki spojrział jeszcze raz z miłością na córkę i pojechał wprost do gabinetu Augustyna Poniatońskiego, gdzie miał zamiar uspokajać Milaczka, że to nie urojenia ciążowe.

Nie spodziewał się, że tam czekają na niego kolejne niespodzianki. Na razie cieszył się, że wszyscy są w miarę normalni, ale też wiedział, że będzie musiał te słonie i wielbłądy jakoś odreagować.

* * *

Zuzanna też najchętniej by odreagowała, bo jeszcze nigdy nie denerwowała się czymś, co musi załatwić. Ale jak zwykle, dobry los pomaga dobrym ludziom, a Zuzanna Wolicka do dobrych ludzi z pewnością się zaliczała.

Opiekun Parysa Antonia wyjechał dokładnie tego dnia, w którym słonie i wielbłądy pasły się na Zaspie, a Milenka przyszła od doktora Poniatowskiego z radosną nowiną, że Zuza będzie miała siostrę.

Jacek Wolicki jęknął. Nie miał nic przeciwko kobietom, ale jednak jakaś równowaga w przyrodzie musi być.

– Same baby – jęknął.

– Biedny tatuś. – Zuzanna usiadła mu na kolanach. Bardzo ją cieszył smutek Jacka z powodu tego, że wokół niego same kobiety. Znacznie mogło ułatwić jej to zadanie, do którego próbowała się przygotować już od kilku dobrych tygodni.

– Powinna być jakaś równowaga, prawda, tato? – powtórzyła. – Zobacz, nawet w klasie jest trochę chłopaków i trochę dziewczyn – kontynuowała.

Jackowi jeszcze wtedy nie przyszło do głowy, że córka ma jakiś ukryty plan wobec niego i że ta rozmowa do czegoś prowadzi.

– Bo gdyby było dobrze samym dziewczynom na świecie, to by

nie wychodziły za mąż. Prawda?

– Prawda. – Jackowi w głowie zapaliła się mała lampka, że jego pierworodna coś knuje.

– I wtedy dałbyś mnie do żeńskiej szkoły. Z internatem na przykład. By mieć spokój.

Druga lampka. Znał trochę swoją córkę, zaskakiwała go nieustająco, ale tym razem nie miał pojęcia, do czego zmierza.

– Zuzanko, czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

– No trochę tak.

– Trochę?

– Bo ja tak sobie pomyślałam, że nie chcę, byś był jedynym mężczyzną w tym naszym okropnym babińcu. Wiesz, kobiety się kłócą, plotkują, są złośliwe i robią dużo tego, no... Jak to mówi Stasiulek... Jazgotu robią dużo.

– No i?

– No, a ten sąsiad jest chory. I musi jechać do Holandii do szpitala.

– Który sąsiad? – Jacek, mimo że na początku nie wiedział zupełnie, o co chodzi, to z każdym zdaniem Zuzanki jeszcze coraz mniej rozumiał.

– Biedny jest, nie?

– Ale co mu jest?

– Nie wiem. Ale musi do szpitala. Bardzo daleko. Bo Holandia to

bardzo daleko, prawda?

– No tak sobie. – Jacek próbował się nie denerwować.

– A prawda, że uczyłeś mnie zawsze, by ludziom pomagać, tak?

– No tak. Zawsze, Zuzanko. O ile jesteśmy w stanie.

– Właśnie! I ja postanowiłam pomóc. I tobie, i temu panu. Od Parysa Antonia.

– A co ma z tym wspólnego Parys Antonio? – Jacek Wolicki czuł, że niepokojąco zbliża się finał tej rozmowy.

– No właśnie. Bo pan Parysa Antonia jedzie do tej Holandii. A Parys chyba nie lubi tulipanów.

– Dziecko, ja z tobą zwariuję. Powiedz mi wreszcie w kilku krótkich żołnierskich słowach, o co chodzi.

Zuzanna westchnęła, zaczerpnęła sporo powietrza w płuca i jednym tchem wyrecytowała:

– Bo-ja-powiedziałam-że-nie-ma-problemu-i-my-go-weźmiemy.

– Kogo? – Jacek Wolicki zaczął chyba rozumieć, o co chodzi.

– Parysa Antonia.

– W żadnym wypadku!

– Tata. – Zuzanna pokręciła głową. – Już pozamiatane.

– Jak to pozamiatane?

– No, jego pan przed chwilą wyjechał. Do Holandii. Bo przecież ci mówiłam, że on jest chory i ma jechać do szpitala, a ludziom trzeba pomagać...

– Jezu, a gdzie jest teraz Parys?

– Czeka grzecznie pod drzwiami. To jest bardzo grzeczny piesek. – Zuzanna uśmiechnęła się słodko do ojca. – Dziękuję ci, tatusiu – powiedziała wzruszonym głosem i rzuciła się ojcu na szyję.

Boże. Ciężki żywot przed Jackiem. Córce nie może się oprzeć, Milence nie może się oprzeć, wkrótce kolejna panna będzie, która go również zaczaruje. Może i lepiej, że będzie ta równowaga w domu? Wstał i otworzył drzwi. Na wycieracze stał Parys Antonio. Obok niego leżała wielka płócienna torba z wyszytym monogramem P.A. Zawierała karmę, kilka puszek, książeczkę zdrowia i instrukcje wychowawcze.

– Tata. Musimy przenieść go przez próg.

– Co?

– Przecież to jego nowy dom!

Jacek Wolicki jęknął. Na szczęście Parys Antonio zdecydował się sam przejść. Polizał rękę Jacka, otarł się o Zuzankę i wskoczył na fotel. Zuzanna przykucnęła na dywanie i wtuliła się w niego.

Jacek się uśmiechnął.

Jak potem zrobi jeszcze jednego faceta, to będzie równowaga. Ale potrzeba do tego zdecydowanie większego mieszkania. Już nie mógł się doczekać, kiedy się przeprowadzą.

* * *

Adam Kondracki zastanawiał się nad zdrowiem psychicznym swojego syna. Otóż syn miał czwarte urodziny i w przeciwieństwie do niego, Adama Kondrackiego, miał imprezę. Podobnie jak jego ojciec na urodziny dostał środek lokomocji w postaci niebieskiego błyszczącego rowerka, z doczepianymi bocznymi kółkami.

Dostał go już dwa dni wcześniej, bo Adam ukrył go w garażu, a jak wiadomo, dzieci mają niesamowitą zdolność do odnajdywania tego, co ukryte.

Michał Kondracki zażądał wniesienia rowerka do domu i stwierdził, że będzie z nim spał.

– Ależ Niunio, jak to?

– No!malnie. Tata. No!malnie. Ja pod koldełką i lowelek pod koldełką.

– Oj, tata, pozwól mu – poprosiła Amelka. – Ona spała zawsze sama, aczkolwiek jak każda księżniczka musiała mieć w swoim łóżku niewyobrażalną ilość poduszek.

Michałek natomiast spał zawsze z zabawką, którą lubił najbardziej. Często były to bardzo dziwne rzeczy. Na przykład młotek. Młotek prawdziwy, nie zabawkowy. Albo samochód zdalnie sterowany. Kiedyś miał misia, który gadał i śpiewał. Też z nim spał, ale gdy Niunio go ruszył, miś zaczynał się uaktywniać i budził cały dom. Adam schował misia do szafy, czym doprowadził niemalże do zawału swoją żonę. Bo miś się uaktywnił w najmniej pożądanym przez nich momencie.

Otóż którejs namiętnej nocy, kiedy korzystali z okazji, że dzieci były u babci, nagle rozległ się wesoły głosik: „A kuku, widzę cię”.

Magda poderwała się, jakby usłyszała upiora.

Adam Kondracki zaczął się śmiać i wyjął z szafy rozgadanego misia.

Ale ku swojej wielkiej rozpaczy, nie było już seksu tamtego wieczora. Magda stwierdziła, że będzie musiała długo leczyć traumę. Na szczęście nie było tak źle. Trauma się wyleczyła, a oni znowu mogli się do siebie, ekhm, przytulać.

Ale o ile spanie z gadającym misiaczkiem było nawet normalne, o tyle z rowerem wydawało się Adamowi co najmniej dziwne.

Próbował przekonać syna, że może jednak nie, że kto to widział, by spać z rowerem.

– Tata, a czy ktoś powiedział, że nie można spać z lowelem? – zapytał. – Cy to jest gdzieś napisane?

Adam Kondracki przypomniał sobie swoją pierwszą noc ze swoim czarnym szaleństwem. I swoje myśli. „A czy ktoś powiedział, że nie można spać w samochodzie?”. Popatrzył na syna i ten od razu mu się jakiś taki inteligentny zdał.

– Masz rację, synku. Postawił rowerek na łóżku w nogach Michała, zabezpieczył go kocykiem, by w razie czego Niunio się nie poobijał.

– Kocham cię, tatusiu.

– Ja ciebie też.

– No i widzisz? Sam pseciez mówiłeś, że jak się kogoś kocha, to się z nim śpi. Ja kocham mój lowel, a Amelka poduski. – Ziewnął.

Widać niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Pamiętaj, Niunio. Tylko w dzieciństwie masz tak fajnie, że masz i imprezę dla kumpli, i nową brykę dostajesz. Potem już musisz wybierać. Całe życie to sztuka wyboru. Chodzi o to, by wybrać dobrze. Raz a dobrze.



TRZECIA CZTERDZIEŚCI PIĘĆ – O TEJ PORZE TEŻ SZCZĘŚCIE PACHNIE WANILIĄ

Była trzecia czterdzieści pięć.

Adrianna Olechowska kończyła właśnie dzieło życia. Trzypiętrowy tort na czterdzieste urodziny Adama Kondrackiego. Figurki lepiała chyba trzy dni. Nawet Arek próbował coś kleić, ale skończyło się na wysmarowaniu Ady czekoladą i potem zlizywaniu z niej słodkiego kremu.

No ileż można?

Arek stwierdził, że można.

– Jesteś taka mięciutka – powiedział z zachwytem podczas tej uczy.

Adrianna zastanawiała się, czy w ustach umięśnionego i twardego jak skała Arkadiusza to jest komplement, ale sądząc po tym, co on wyprawiał, z pewnością mu ta miękkość nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie. Wprawdzie początkowo pamiętała o kryzysie i rekompensacie, ale szybko zapomniała.

Miała wrażenie, jakby chciał zapamiętać wszystko swoimi dłońmi i ustami, by potem, gdy nie będzie wraz z nią, mógł sobie dokładnie odtworzyć.

Niemniej jednak, by skończyć tort na urodziny-niespodziankę dla Adama, Ada musiała się sprężyć i delikatnie, aczkolwiek stanowczo, odeprzeć ataki mężczyzny. Zamknęła się w kuchni na klucz

i powiedziała, że nie wyjdzie, aż skończy. Tak było poprzedniego dnia.

Tego dnia, o trzeciej czterdzieści pięć właśnie kończyła kremową piramidę. Arek przewracał się na drugi bok. Adrianna się uśmiechnęła.

Jakoś wszystko się powoli układa.

Spojrzała w okno.

U Natalii świeciło się światło. Pewnie karmi. O. U Karoliny też się paliło światło. Znowu ćwiczysz? O trzeciej w nocy? No tak. Kiedyś opowiadała, że czasem tylko w nocy ma na to czas.

Ale tym razem chyba robiła coś innego.

W oknie poważnej pani psycholog pojawiły się dwa cienie.

To, co te dwie postacie robiły, można by nazwać ćwiczeniami fizycznymi, aczkolwiek nie do końca. Ada pomyślała, że wszystko zaczyna się dobrze układać.

Cukiernia zaczęła przynosić całkiem przyzwoity dochód. Odejście niani okazało się tak naprawdę początkiem nowego...

A najbardziej miłą sprawą jest ten śpiący mężczyzna w jej łóżku. Wszak, jak powiedział Niunio Kondracki, każdy śpi z tym, kogo kocha.

* * *

Natalia o trzeciej czterdzieści pięć faktycznie karmiła Zosię, ale nie była w domu sama. I na dodatek nie była też z mężem. Krzysztof wyjechał do Warszawy i miał wrócić następnego dnia.

Wieczorem do jej drzwi zapukała zapłakana Marietta z Olafem.

Natalia zdziwiła się, bo przecież pani elegancka nie miała drugiego Pierre'a Dolińskiego, ale widać, że coś jej na sercu leżało.

– Olaf, idź się pobawić z Mikołajem – rozkazała. Olaf, bardzo dobrze wychowane dziecko, uczynił to natychmiast.

– Co się dzieje? – zapytała Natalia.

– Konrad – wyszeptała przez łyżę. – Konrad odszedł.

– No, ale... – zaczęła głośno zastanawiać się Natalia. – A co z adwokatem?

– No nic – płakała Marietta. – Adwokat się cieszy, a ja... Ja się trochę do Konrada przez te wszystkie lata przywiązałam.

– No tak. – Natalia czuła, że to nie wszystko, co Marietta chce powiedzieć. Czekwała zatem dalej.

– Ona jest malarką.

– Ona?

– Ty wiesz, jak ma w pracowni? Wszędzie farby, słoiki jakieś, pędzle, płótna zrolowane. Burdel ma! – wyrzuciła z siebie pani elegancka.

– Może nieład artystyczny.

– Może i tak... Natuś... U siebie już wszystko zrobiłam. Nawet zastawę świąteczną umyłam, ale wiesz... – Rozejrzała się wokół.

– Jasne, działaj. – Natalia wzruszyła ramionami. – Ale nie będzie ci przeszkadzać, gdy położę dzieciaki i sama pójdę spać?

Marietcie nie przeszkadzało.

Zatem, gdy Zosia się obudziła o trzeciej czterdzieści pięć, Natalia nie poznała swojego mieszkania.

Marietta siedziała w fotelu zmęczona i uśmiechnięta.

– Dziękuję ci, Natalia.

– Ty wariatka jesteś – stwierdziła karmiąca mama. – Jak patrzę na ciebie, zaczynam wierzyć, że sprzątaczką w swojej pracy może czuć się spełniona i odnajdywać sens. – Roześmiała się.

Marietta wiedziała, że sens jej życia, Olaf, śpi w jednym łóżku z Mikołajem Kaliszewskim. Zrobi wszystko, by był szczęśliwy. Z adwokatem jeszcze się wstrzyma. Nie będzie podejmować pochopnych decyzji.

Sprzątanie oczyściło ją od środka.

– Muszę cię tego nauczyć, Natka. Nawet nie wiesz, jak to pomaga. I wiesz, co ja robię z malarką?

– No?

– Pierdolę! – powiedziała słodko Marietta, po czym zasnęła w fotelu.

Natalia uśmiechnęła się. Jakże miło było tu mieszkać... To się Krzysiu zdziwi, jak przyjedzie. Odłożyła Zosię do łóżeczka, przytuliła się do poduszki i zasnęła.

* * *

W innym domu, na innej poduszce leżał Parys Antonio.

– Parys, nie rób ehehehe – jęknęła przez sen Zuzanka.

– Ehehehe – zadyszał Parys Antonio.

– No dobra. To chociaż się posuń.

Pies posłusznie się przesunął. Leżał już na skrawku łóżka, ale wiedział, że niesłuchanie się tej cudownej istoty może spowodować, iż znajdzie się na podłodze. Zimnej podłodze, bo w nowym mieszkaniu na Myśliwskiej dywanów jeszcze nie było. W ogóle nic jeszcze nie było. A to była ich pierwsza noc w nowym miejscu.

„Jak żyć?” – zastanawiał się Parys w swoich psich myślach. „Jak żyć?”.

Jak żyć, wiedziała natomiast Milenka, która spała przytulona do Jacka. Ku wielkiej uldze Bachora kupili nowe łóżko i biedny Milaczek w związku z tym już nie musiał obawiać się czeluści piekielnych.

Milenka do końca nie rozumiała, dlaczego ma pójść do piekła, ale gdy Zuza ją uświadomiła, że jeżeli dorzuci się Jackowi do łóżka, czeka ją życie pozaziemskie w niebie, skwapliwie to uczyniła. Blondwłose dziecko twierdziło, że na tych sprawach zna się już doskonale. Milenka nawet nie śmiała powątpiewać.

Zuzanna już trzy razy była na konsultacjach prawniczych w sąsiednim mieszkaniu u cudnej pani Marietty i jej syna Olafa. I dokładnie wiedziała, że „majątek nabyty przed powstaniem wspólności majątkowej małżeńskiej, czyli co do zasady – przed ślubem, nie wchodzi do tej wspólności po ślubie”. Znała też na pamięć paragrafy o tym mówiące, ale przecież nie będzie o tym informować Milaczka. Niech Milaczek sobie w spokoju rośnie, a Zuzanna się wszystkim

zajmie. Jak z czymś nie będzie mogła sobie poradzić, na pewno Zofia Kruk jej pomoże. Najważniejsze, że łóżko nabyli wspólnie i Milaczek nie cudzołoży. Trzeba dbać o rodzinę, a Milaczek przecież już za chwilę miał nią być.

* * *

O rodzinę zadbała również Magda Kondracka, która dzień wcześniej wywiozła dzieci do mamy. Wszak planowała całonocną zabawę ze swoim czterdziestoletnim mężem i jego licznymi gośćmi.

Obmyśliła wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Miała zamiar zabrać męża na odprężający spacer. Knajpa, gdzie miała się odbywać impreza, znajdowała się tuż przy lesie. Magda rysowała właśnie trasę ich spaceru po leśnych ścieżkach. Wszyscy zaproszeni goście chwilę przed mieli się ukryć za drzewami. Każdy za innym. I sukcesywnie na trasie do nich dołączać.

Już nie mogła się doczekać zdziwionej miny męża, kiedy zacznie się zastanawiać, co tu jest grane. Kiedy zacznie składać sobie wszystkie kawałki układanki w jedną całość. Kiedy zauważy, że spacer kończy się w cudnej Kalinówce, a z głośników leci „40 lat minęło jak jeden dzień”.

Och jak chciałaby, by już był ten wieczór!

Przytuliła się do męża, który właśnie przeżywał przez sen, że za trzy dni już nie będzie miał trójki z przodu. A na dodatek jego skąpa żona żałuje mu na imprezę. Nie był z tego faktu zadowolony.

* * *

Zadowolony natomiast w dalszym ciągu był Parys Antonio. Śniło

mu się, że właśnie udało mu się ukraść tej miłej pani z cukierni tuzin babeczek waniliowych z truskawką w środku.

Jeszcze takich pyszności w całym swoim życiu nie jadł. Rozpływało się toto w ustach, bo Parys Antonio z pewnością miał usta. Nie tylko w swoim śnie. Delektował się smakiem, począwszy od pierwszej, aż do jedenastej. Dwunastą zostawił Zuzannie, swojej ukochanej przyjaciółce. Wprawdzie niechętnie, ale wiele jej zawdzięczał. Na przykład nowy dom i pozostałe jedenaście babeczek.

– Parys, nie mlaskaj – mruknęła przez sen Zuzanna. – Posuń się i nie rób ehehehe.

– Ehehehe – zadyszał Parys Antonio i polizał Zuzę w rękę.

Smakowała i pachniała wanilią.

Wszak szczęście pachnie wanilią. Prawda?

Gdańsk, fotel, Puszysław mruczy – 4 kwietnia 2014 r.

DLA SMAKU – WANILIOWE BABECZKI Z TRUSKAWKĄ W ŚRODKU

Gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, jak smakuje szczęście pachnące wanilią, radzę wypróbować te waniliowe cuda! Tak, to te same babeczki, które ukradł we śnie Parys Antonio. Wszak szczęście pachnie wanilią!

To przepis Moniki Paluszkiewicz i Nataszy Sochy – autorki książki „Gotuj, karm i kochaj”. Smacznego!

Składniki na 12 waniliowych babeczek z truskawkami:

120 g masła,

pół szklanki cukru,

2 jajka,

3/4 szklanki mąki pszennej,

1 łyżeczka proszku do pieczenia,

środek z laski wanilii,

2 łyżki śmietanki kremówki,

12 dużych truskawek.

Mąkę przesiewamy z proszkiem do pieczenia i odstawiamy na bok. W osobnej misce ucieramy masło, aż będzie jasne i puszyste. Dodajemy cukier i dalej ucieramy. Wbijamy jajka, dokładnie miksujemy.

Dodajemy środek z laski wanilii, przesianą mąkę z proszkiem oraz śmietankę i mieszamy drewnianą łyżką. Formę na muffinki wykładamy papilotkami. Ciasto wlewamy do papilotek i do każdej wkładamy jedną truskawkę. Pieczemy w temperaturze 190°C przez około 20–25 minut, do tzw. suchego patyczka. Po wystudzeniu dekorujemy cukrem pudrem lub lukrem.



OD AUTORKI

Gdyby ktoś powiedział mi dziesięć lat temu, że będę pisarką, pomyślałabym, że sobie żarty ze mnie stroi.

Gdyby ktoś powiedział mi pięć lat temu, że za pięć lat skończę pisać dziesiątą książkę – nie uwierzyłabym.

„Szczęście pachnące wanilią” jest dziesiątą napisaną przeze mnie książką. (Wydana jest jako dziewiąta, więc racja, że nie możecie się doliczyć!). Mam komputer przed sobą, tekst zupełnie jeszcze świeży i sama nie mogę w to uwierzyć.

Zawsze śmieję się, że pisarz ma najmniej do roboty w swoich powieściach. Musi tylko umieć słuchać, podsłuchiwać, patrzeć i potem łączyć wszystko w jedną całość. Tak było też i tym razem.

Na początku dziękuję Tomkowi za inspirację. Normalnie mam w domu Adama Kondrackiego! (Tak, mój mąż tak umie – wszystko z brzucha przesunąć w bicepsy!).

Dziękuję moim dzieciom, Liliance i Mateuszowi, długo zwanemu „chiba lacej Niuniem”.

Większość dialogów dziecięcych jest prawdziwa. Mój syn swoimi tekstami wywoływał u mnie wielokrotnie ataki śmiechu. Nie mogło się to zmarnować.

Kolejne podziękowania za teksty dziecięce kieruję do Agnieszki Paszek i jej córki WERAŃKI za „skończoną bajkę”. Dziękuję też Karolinie Dwórznik i jej córce Tosi za ogórki na oczach w SPA i Koty na Płoty, karmiącej matce Magdzie Olejniczak i jej karmionej córce

Emilce za otwarte okno w środku nocy naprzeciwko, Marzence Grochowskiej za karmienie kota Tedy'ego, Grażynie Chabrze-Godlewskiej za śpiewającego pacjenta na fotelu dentystycznym i zgadywanki (wyobrażacie sobie, że to historia prawdziwa?).

Paniom z Koronowa dziękuję za baki Zofii Kruk – to też opowieść autentyczna.

Pani Asi za historię o łopacie i zastawionych drzwiach w garażu.

Agacie Łybackiej dziękuję za słonie na Zaspie – ja, chodząc do tego samego lekarza, co ona, widziałam wielbłądy. Mnie też nikt nie wierzył!

Iwonie van Bureen za ręczniczki i chomika.

Pani Franciszce Fryt za kryzys i rekompensatę, a jej wspaniałej córce Magdzie Fryt za radość życia i za to, że mi o tym opowiedziała.

Nataszy i Monice dziękuję za przepis na waniliowe babeczki z truskawką. Skończyłam książkę, więc będę miała czas je upiec, chociaż Monika chce mnie odchudzać, więc nie wiem, nie wiem...

Mojej mamie – jak zwykle za ratowanie tonącego i za soboty rano, gdy mogę długo spać.

I nieustająco dziękuję Marysi, Oldze i Mateuszowi. Za wszystko, a w szczególności za to, że dzięki nim czuję się czasem bardzo ważna. A to dodaje mi skrzydeł!

I jeszcze, by się podlizać szefowi – dziękuję panu Januszowi M. za to, że kiedyś podjął ten beletrystyczny eksperyment. Mam nadzieję, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej!

Jeszcze tylko chciałam napisać, że Kolorowe Przedszkole

w Matemblewie jest super i żadnych „talantuli” tam nie znaleziono!

Jeżeli komuś zapomniałam podziękować, przepraszam.
Reklamacje uwzględnia się!

Kochane Czytelniczki i Czytelnicy. Wiecie... Bez Was nie byłoby tej dziesiątej książki. Bo to dzięki temu, że chcecie mnie czytać, istnieję jako Magda – pisarka (jeszcze przez małe „p”).

Zapraszam na [facebook.com/Witkiewicz](https://www.facebook.com/Witkiewicz) i koniecznie piszcie do mnie maile na: magdalena.witkiewicz@gmail.com!